



Steffen
JACOBSEN

Jednorožec

Steffen Jacobsen

Jednorożec

Tłumaczenie Edyta Stępkowska

Saga

Jednorożec

Tłumaczenie Edyta Stępkowska

Tytuł oryginału Enhjørningen

Język oryginału duński

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright ©2016, 2023 Steffen Jacobsen i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726916850

Jako ludzie jesteśmy genetyczną elitą; czującym, myślącym i kreatywnym produktem niezliczonych zdarzeń genetycznych, mutacji i nieprawidłowych transkrypcji.

Gary Hamel

PROLOG

Bata Pora, Kaszmir, Indie

Jedynym, co w oczach Michaela odróżniało Bata Porę od tylu innych przygranicznych miast Kaszmiru, było więzienie okręgowe. Miał szczerą nadzieję, że to tu skończy się trwający cztery miesiące pościg za człowiekiem widmem przez Kraj Wielkich Rzek u stóp Himalajów.

Siedział teraz na tylnej kanapie range rovera z duńską flagą trzepoczącą przy przedniej szybie i przez lornetkę oglądał położone w dolinie miasto. Zabudowę stanowiły typowe dla tej okolicy jedno- i dwupoziomowe betonowe domy z płaskimi dachami rozrzucone bez ładu i składu po obu stronach leniwej brązowej rzeki. Między nimi kłębiły się nisko zawieszony kable energetyczne i sznury z praniem, tworząc skomplikowaną sieć nad wiecznie zatłoczonymi ulicami. A w tym wszystkim zwracał uwagę szczególnie rodzaj wypłaszczenia terenu, cechujący każdą osadę potężnego Hindukszu.

Po tak długim czasie wszystkie miasteczka w Kaszmirze wydawały mu się takie same.

Zapalił papierosa i raz jeszcze przeczytał pomięty teleks, który drogą przekupstwa uzyskał od sekretarki w duńskiej ambasadzie w New Delhi. Był przekonany, że zawiera kluczowe dla niego informacje i srodze przepłacił, wręczając statecznej Hindusce dziesięć tysięcy rupii za to, żeby przez tydzień nie przekazywała tych informacji pozostałym pracownikom ambasady i jak najszybciej powiadomiła naczelnika więzienia, że wybiera się do niego niejaki Michael Berg, *chargé d'affaires danoise*.

Ale to było dwa dni temu, a teraz nie był już taki pewien swego.

Spotkał w lusterku ciemne oczy wiozącego go kierowcy w turbanie. Dostrzegł w nich pewne zniecierpliwienie. Wiedział, że mężczyzna miał żonę i trójkę dzieci, których od dawna nie widział.

– Okej, Gurpalu – mruknął Michael. – Nie wiem tylko, czy zniosę kolejną...

– Jestem pewien, że Bata Pora to miejsce, którego szukamy, sahib – kierowca przerwał mu stanowczym tonem. – Widziałem to miejsce...

– Tak, we śnie, wielki Gurpalu Singhu. Powtarzasz to za każdym razem, kiedy się zatrzymujemy na jakiejś zapuszczonej górskiej drodze. I za każdym razem wierzysz, że na jej końcu leży Shangri-La.

– Ale przecież on musi gdzieś być – zauważył Gurpal przytomnie. – Żywy człowiek nie może się tak po prostu rozpłynąć, Michaelu.

– Cztery miesiące temu bym się z tobą zgodził, ale wygląda na to, że Silasowi Monellowi jednak się udało. Albo po prostu nie jestem dość dobry.

– Nie mów tak – obruszył się tamten. – Nie wolno żyć w cieniu domniemanej porażki.

Michael puścił do niego oko. Poznali się parę lat wcześniej. Gurpal Singh, wówczas kopenhaski taksówkarz, ryzykując życie i zdrowie, pomógł Michaelowi powstrzymać zamach islamskich terrorystów w budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Honorowa emerytura, jaką w ramach zasług przyznał mu duński rząd, pozwoliła Gurpalowi wrócić do ojczyzny i rodziny.

Range rover ruszył wyboistą górską drogą, a Michael z niepokojem przeglądał dokumenty.

W małej klaustrofobicznej i przegrzanej kostnicy na zwłoki więźniów przeznaczono cztery szuflady. We wszystkich kątach stały ciemne parujące kałuże wody ciekącej z nieszczelnych rur chłodniczych. Panujący tu zaduch Michael filtrował sobie niezapalonym papierosem. Sierżant Hazari, młody naczelnik więzienia, uśmiechał się życzliwie.

Jego wygląd był nienaganny, wręcz wymuskany. Idealna gęsta broda, uśmiech jak z reklamy, śnieżnobiały turban, lśniący skórzany pasek z pasem na ramię i ostre jak brzytwa kanty munduru w kolorze khaki. Mężczyzna musiał być zmiennocieplny, bo na jego twarzy nie było ani kropli, podczas gdy Michaela można było wykręcać z potu. Sierżant dał sygnał kwatremistrzowi, który otworzył górną szufladę po lewej, przysunął do otworu podnośnik hydrauliczny i podniósł platformę na wysokość klatki piorsiowej. Na nią wysunął tacę ze zwłokami i nowa fala trupiego zapachu zmusiła Michaela do cofnięcia się o krok i poluzowania krawata. Hazari cały czas

mu się przyglądał i tym razem w jego uśmiechu dało się dostrzec pobłażanie.

Podnośnik zniżył się do wysokości kolan pod ciężarem owiniętym w grube, poplamione prześcieradło. Wystawały spod niego dwie chude białe stopy. Michael obejrzał kawałek tektury przywiązany włóczką do prawego palucha denata. Zanotowano na nim jedynie datę, bez żadnego nazwiska.

– Zmarł dzisiaj?

– Dziś rano, panie Berg. Ten młody człowiek trafił do nas zaledwie trzy dni temu i konsekwentnie odmawiał ujawnienia swojego nazwiska i narodowości. – Kwatermistrz zrobił minę jak iluzjonista przed sztuczką, po czym odsunął prześcieradło. Michael zamknął oczy i poczuł coś w rodzaju wymęczonej satysfakcji. W jednej chwili zyskał pewność. Nie musieli z Gurpalem szukać dalej.

Chwilę później, zaczął uważnie przyglądać się wychudzonym zwłokom. Usta były czarną jamą z mocno przetrzebionym uzębieniem. Ciało zdobiły prymitywne tatuaże, pamiątki po epoce hipisów: ptaki, róże wiatrów, pacyfy, tęcze i gwiazdy. Oczy chłopaka miały taki sam kolor jak paznokcie. Cienka, jasna broda sięgała obojczyków, a na głowie miał brudne blond dready. Wszędzie widoczne były niebieskie siniaki po dawnych nakłuciach. Najwięcej w pachwinach, na nadgarstkach i w zgięciach łokci. Miał nienaturalnie wygiętą szyję, podłużny krwiak od jednego ucha do drugiego, haczykowaty nos, jak wiele osób w jego rodzinie, i szerokie, wypukłe czoło. Śmierć dodatkowo wyostrzyła jego rysy twarzy.

Dla zachowania pozorów Michael przejrzał stos fotografii, zerkając na twarz zmarłego.

– Za co go aresztowano?

Hazari się uśmiechnął.

– Przede wszystkim za to, że w miejscowym liceum sprzedawał surowe opium. Ale również za to, że nie miał ważnej wizy, nie mówiąc o pozwoleniu na pobyt czy pracę. Panie Berg, nie możemy dopuścić, aby przybysze z Zachodu demoralizowali naszą młodzież.

– Oczywiście. Miał jakieś pieniądze?

– Znaleźliśmy przy nim trochę rupii, ale niewiele. Mieszkał we wraku fiata bez kół i tablic rejestracyjnych. I widać było, że od dawna nie zjadł normalnego posiłku. To wielka tragedia, panie Berg, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że to pierwszy przypadek, kiedy musieliśmy aresztować

któregoś z tych młodych podróżników. Z jakiegoś powodu nasz kraj działa na zachodnią młodzież jak magnes.

– Ma pan na myśli zachodnich narkomanów?

Widać było, że sierżant poczuł się niezręcznie. Pewnie nie chciał wyjść na człowieka uprzedzonego.

– *Well*, być może szukają duchowego spokoju w tutejszych aśramach i wspólnotach. Przynajmniej na początku. Ale potem niestety często kończą u nas. A konkretnie tam. – Mężczyzna wskazał na pustą dziurę w ścianie, która Michaelowi skojarzyła się z jednokierunkową drogą do piekła.

– No tak. I paszportu, jak rozumiem, też nie miał? – Michael z trudem przepychał słowa przez gęste powietrze.

Hazari przestąpił z nogi na nogę, a jego lśniące brązowe buty skrzypnęły lekko.

– Kiedy z powodu zapalenia wątroby nie mogą sprzedawać krwi do banków, z reguły następnym krokiem jest sprzedanie paszportu pakistańskiemu pośrednikowi. To chodliwy towar w niektórych organizacjach islamistycznych. Głównie tych podróżujących. Jak Państwo Islamskie, Al-Kaida, Boko Haram. Chętnych nie brakuje. – Mężczyzna odwrócił się na pięcie i wskazał na ścianę, z której odpadł spory fragment kafelków.

– Abbottabad jest jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów stąd na zachód. Można powiedzieć, że Osama bin Laden przez kilka lat był naszym sąsiadem. Tkwimy w czymś na kształt chronicznego oblężenia ze strony Pakistanu.

Michael spojrział na zegarek.

– Rozumiem. Co się stało zeszłej nocy?

– Udało mu się rozerwać i przegryźć swój koc. Z pasków splótł sznur, przywiązał go do kraty i się powiesił. Tak naprawdę zmarł jakiś czas przed świtem. – Przez gładką młodą twarz sierżanta Hazariego przemknął cień podziwu.

– Był sam?

– Niestety, panie Berg. Nie mamy możliwości zaoferować naszym osadzonym cel jednoosobowych – odparł tamten szorstko. – To nie Dania, sam pan rozumie.

– Czyli nie był sam? – dociekał Michael.

– Nie, nie był.

– I nikt nie zaalarmował strażników ani nie próbował go powstrzymać?

Z punktu widzenia Hazariego ten wątek był zamknięty. Chwilę patrzył na Michaela czarnymi oczami bez wyrazu.

– Być może współsadzeni uszanowali jego wybór, a może spali. Kto wie?

Michael czuł w tej chwili już tylko przemożne pragnienie opuszczenia tego cuchnącego, przytłaczającego bastionu średniowiecza. Otworzył ak-tówkę.

– Pozwoli pan?

Naczelnik zapraszająco machnął ręką.

– Naturalnie.

Michael naciągnął lateksowe rękawiczki, otworzył rolkę specjalnej taśmy i starannie zdjął odciski palców zmarłego. Potem wsunął w usta mężczyzny patyczek i pobrał wymaz ze śluzówki. Wymazówkę włożył do próbówki ze środkiem konserwującym, a końcówkę odłamał. Hermetycznie zamknął próbówkę, napisał na etykiecie kilka słów i zakończył identyfikację, fotografując telefonem twarz i tatuaże denata.

Hazari skinieniem dał znak kwatermistrzowi, który zasłonił zwłoki, uniósł podnośnik i wsunął tacę z powrotem do szuflady w ścianie. Michael powstał chwilę i patrzył, jak taca wsuwa się do środka, a wieko zamyka się i zatrzaskuje. Ukłonił się Hazariemu, a ten uprzejmie przepuścił go w drzwiach.

Szli chłodnym korytarzem z kolumnami sięgającymi półokrągłego sklepienia wysoko nad nimi. Michaelowi przyszło do głowy, że to mógł być kościół. W każdym razie panowała tam cisza jak w kościele. Przestrzenie między kolumnami były zagrodzone czarnymi kratami z kutego żelaza zwieńczonymi drutem kolczastym i przewodami pod napięciem. Za kratami stłoczono nieprzebrane masy więźniów. Michael nie pojmował, jak starczało podłogi dla nich wszystkich. Może spali na zmianę. Albo jedni na drugich. Byli wśród nich wychudzeni starcy o srebrzystych brodach, profilach i oczach jak u drapieżnych ptaków i w poszarpanych turbanach – rdzenni mieszkańcy północnych prowincji. Byli też młodzi mężczyźni z okolicznych miast w jaskrawych nylonowych koszulach i dżinsach. I wreszcie gangsterzy w średnim wieku: potężnie zbudowani i patrzący Michaelowi w oczy twardo i przekornie.

Ten zakątek Indii już od czasów Aleksandra Wielkiego stanowił epicentrum konfliktów biegnących w poprzek granic, plemion, klanów, religii, a z czasem nawet rodzin. Dokładnie tak jak na Bliskim Wschodzie. „W Kasz-

mirze więzienia zawsze będą przepełnione”, pomyślał Michael. Więźniowie wisieli uczeplieni krat i przyglądali mu się z ciekawością. Większość wzrokiem pozbawionym nadziei.

Naczelnik Hazari nie zwracał na swoich klientów najmniejszej uwagi.

– Więc kim on był, panie Berg?

– Jedynym dzieckiem kogoś bardzo wpływowego. Nazywa się Silas Monell. Przeżył dwadzieścia trzy lata.

– Monell...? To nazwisko chyba coś mi mówi.

– Jeśli pan otworzy swój telefon i obejrzy go pod mikroskopem, to znajdzie pan je wygrawerowane na co najmniej połowie komponentów. To samo dotyczy pańskiego komputera i konsoli do gier pańskiego syna. Jeśli ma pan syna.

– Czyli chodzi o *tego* Monella?

– Obawiam się, że tak. Dlatego przykro mi, ale chyba musi się pan liczyć z pewnym zainteresowaniem ze strony światowych mediów.

Mężczyzna znieruchomiał, wyraźnie przytłoczony informacjami od Michaela. Ostatecznie wyprostował plecy i wysunął brodę. Był gotów. Niech się dzieje, co chce.

Michael był przekonany, że sierżant Hazari zajdzie daleko.

Wyszli na ostre słoneczne światło. Michael założył ciemne okulary i zrobił kilka głębokich wdechów, żeby pozbyć się z gardła i ust zapachu zwłok. Zapalił papierosa. Patrzył na odległe niedostępne białe szczyty pasma Hinduksuz. Doskonale rozumiał magnetyczne działanie tego kraju na zbłąkane dusze. To było dobre miejsce, żeby się ukryć. Również przed sobą samym.

Białe range rover stał zaparkowany za dwoma zakurzonymi policyjnymi dżipami z kogutami na dachach i długimi antenami kołyszącymi się na lekkim wietrze, który omiatał dolinę. Widząc Michaela, Gurpal uruchomił silnik. Duńska flaga przy szybie lśniła bielą i czerwienią.

– Skąd pan wiedział, którą ambasadę powiadomić? – spytał Michael.

Naczelnik wskazał na ich samochód, podszywający się pod flotę ambady.

– Na plecaku miał taką samą flagę. Stąd.

– Dobrze pomyślane. Naturalnie powiadomię bliskich, sierżancie Hazari.

Młody mężczyzna uśmiechnął się skromnie.

– Dziękuję, panie Berg. Będę wdzięczny. Najlepiej zrobić to od razu. Jak pan widział, mamy w kostnicy tylko cztery szuflady. Z Silasem Monellem

wszystkie są zajęte, więc... W każdym razie potrzebujemy możliwie naj-
szybciej otrzymać dalsze instrukcje dotyczące zmarłego.

– Zaraz do nich zadzwonię.

Sierżant Hazari zasalutował uroczyście. Być może pod jasnym, dopaso-
wanym garniturem, białą koszulą, neutralnym krawatem i sztywną postawą
Michaela rozpoznał towarzysza broni.

Michael wybrał numer w komórce i położył dłoń na ramieniu kierowcy.

– Gurpalu, podkręć trochę klimatyzację, bo się rozpływam. I ruszajmy
stąd. Poza tym przecucie cię nie myliło. Dotarliśmy do celu. To była Shan-
gri-La. Możesz wracać do żony i dzieci.

Gurpal w uśmiechu pokazał wszystkie złote zęby i samochód ruszył.

W słuchawce odezwał się męski głos:

– Michael?

– Panie Monell, to był Silas. Niestety nie żyje. Przykro mi.

– To pewne? – Jego ton był oschły.

– Zrobiłem zdjęcia, pobrałem odciski palców i próbkę DNA – wyjaśnił
Michael. – I tak, jestem pewien, że to on.

W południe skwar w dolinie był nie do zniesienia. Michael zdjął mary-
narkę i krawat i spojrzał błagalnie na Gurpala. Ten wzruszył ramionami.
Nic więcej nie mógł zrobić. Klimatyzacja była bez szans. Samochód toczył
się główną ulicą szczelnie wypełnioną ludźmi i zwierzętami. Dromader za-
ciekawiony wbił w Michaela swoje dziewczęce oczy. Michael puścił do
niego oko. Gurpal co chwila wciskał klakson i Michael włożył sobie palec
do drugiego ucha, żeby słyszeć głos w słuchawce.

– Jak to się stało i kiedy? – chciał wiedzieć Bertram Monell.

– Trzy dni temu aresztowali go za sprzedawanie opium uczniom miejsco-
wego liceum, a dziś rano się powiesił. Jesteśmy teraz w małym mieście o
nazwie Bata Pora w północnym wschodzie Kaszmiru. BA-TA-PO-RA. To
jakby stolica okręgu.

– Wiedzieli, kim był?

– Nie.

– I sam się zabił?

– Tak. Teraz pilnie potrzebują dalszych instrukcji odnośnie do Silasa. To
małe więzienie z małą kaplicą na końcu świata. Nie mogą go zbyt długo
przechowywać. Wkrótce będą musieli go skremować.

– To proste. Spocznie, naturalnie, u nas na wyspie – oznajmił natychmiast Monell. – Obok swojej matki. Od razu wysłałam tam Kaufmanna.

Na chwilę zapadła cisza.

Gurpal opuścił okno i krzyknął coś do dwóch wieśniaczek, które szły powoli, kołysząc się i taszcząc na plecach kosze z warzywami. Kiedy kobiety rozmawiały dalej, nie zważając na sunący za nimi „urzędowy” samochód, kierowca płaską dłonią uderzył mocno w drzwi. Kobiety machnęły na niego lekceważąco i w Gurpalu zawrzało. Puścił w ich stronę wiązanekę w lokalnym dialekcie.

– Michael...

– Tak?

– Pewnie wyda ci się bezduszne, że o tym mówię akurat teraz, ale to nie może czekać.

– O co chodzi?

– Paryż. Główna siedziba. Mamy przeciek. Nasz główny rywal... Nie muszę wymieniać nazwy... Od kilku miesięcy ma magiczną, wręcz cudowną zdolność do zgłaszania w urzędzie patentowym procesorów zdumiewająco podobnych do naszych na kilka dni przed nami. Na dłuższą metę to nie do zniesienia. Masz chwilę, żeby sprawdzić nasze procedury? Wiesz, czasem przydaje się świeże spojrzenie z zewnątrz.

– Mówimy o paru dniach?

– Maksymalnie. Jeśli się zgodzisz, bilety lotnicze i rezerwacja w hotelu będą na ciebie czekać na lotnisku w Śrinagarze.

Michael westchnął i odkleił od pleców przeupoconą koszulę.

Niezupełnie tak sobie wyobrażał świętowanie kilkumiesięcznych poszukiwań zakończonych powodzeniem. Myślał raczej, że spędzi tydzień w hamaku na jakiejś tajskiej wyspie, słuchając szumu palm i sącząc zimną piña coladę. Ale w sumie czemu nie?

Powinien się kierować w stronę Europy. Powinien wracać do Lene. I powinien mieć na to ochotę. Albo przynajmniej za nią tęsknić. Nie widział jej od czterech miesięcy.

A poza tym lubił Paryż.

– Jeśli zarezerwujesz mi apartament w George V, to w porządku – postanowił.

– Umowa stoi. Doceniam to.

Gdy tylko się rozłączył, zadzwonił mu telefon i na wyświetlaczu pokazała się twarz Lene. To było nieuniknione, tak działała karma. Michael chwilę patrzył na telefon w swojej dłoni. W końcu wyłączył go i schował do kieszeni. W lusterku wstecznym dzielnie wytrzymał karcący wzrok Gurpala.

– Kolejne zadanie, Gurpalu. Jedziemy na lotnisko w Śrinagarze. Dość szybko. Tam będę musiał się z tobą pożegnać.

Kierowca ze stoickim spokojem pokiwał głową.

– Jeszcze się spotkamy – oznajmił z niezachwianą pewnością.

Michael się uśmiechnął.

– Bardzo na to liczę, Gurpalu.

Dania

Bertram Monell opuścił dłoń. Schował telefon do głębokiej kieszeni tradycyjnych japońskich spodni i wrócił do tego, co robił, gdy zadzwonił Michael: poprawił kawałek gładkiego grubego bambusa długości jednego metra, *sozu*, żeby woda ze strumyka, który meandrował po jego japońskim ogrodzie, spadała na kamienie z tym wyjątkowo melodyjnym szmerem.

Cofnął się o krok i nasłuchiwał. Krystalicznie czysta, przefiltrowana woda wpadała do jednego końca sozu i powoli wypełniała rurkę, aż siła ciężkości przechylała ją i woda wpadała do niższej odnogi strumyka.

I proszę. Wystarczyło kilka drobnych poprawek i Monell był w pełni zadowolony i z tonu, i z odstępów, z jakimi rurka się przechylała. Czule omiótł wzrokiem starannie przycięte małe sosny alpejskie i wąskie ścieżki, które dyskretnie wiodły do duchowego centrum ogrodu, miejsca medytacji, gdzie nad morzem drobnoziarnistego piasku zagrabionego w niekończące się artystyczne wzory wznosiła się miniatura świętej góry Fudzi. Kiedy piętnaście lat temu zakładał swój ogród, to miejsce porastała nieprzebyta dzicz. Dziś ogród był niemal idealny. Niemal.

Po płaskich kamieniach przeszedł na drugą stronę strumienia i przystanął w bambusowym zagajniku. Skromny nagrobek był częściowo przysypany piaskiem. *Rebekka Monell f. Favreau 1965–2012*. Rozejrzał się. Tak, spokojnie starczy miejsca dla Silasa. Drugi kamień, identyczny jak ten Rebecki, dodatkowo podkreśli symetrię zagajnika.

Stał tak, zamyślony, czując, jak słońce rozgrzewa jego nagi tors, kiedy usłyszał czyjeś wołanie. To Erik Kaufmann. Dziwne, że nie usłyszał, jak łą-

dował helikopter.

Jak mógł o tym zapomnieć? Czy tak wyglądały początki? Bertram błyskawicznie postawił sobie w myślach szereg pytań: od pisarzy przez tytuły filmów aż po nazwy wszystkich firm, jakie kiedykolwiek wykupił. I równie szybko na każde z tych pytań odpowiedział. Nie, nic się nie dzieje. Zadzwoił Michael Sander. W sprawie Silasa. To wszystko. To nie były żadne początki.

Ruszył brzegiem strumienia w stronę szerokich werand otaczających niskie, inspirowane Japonią budynki wkomponowane z tak doskonałym wyczuciem w bujną roślinność i zbocza, że wydawały się same dziełem natury. Jedyne znaki współczesności widoczne na wyspie stanowiły turbina wiatrowa, którą stawiał na kawałku płaskiego terenu w najwyższym punkcie wyspy, oraz duże białe anteny satelitarne, pozwalające mu z domowego zacisza kierować międzynarodowym koncernem. Nawet tu, w ogrodzie, niemal przy samym morzu dobiegały go dźwięki młotów pneumatycznych z placu budowy i buczenie obracających się betoniarek. A gdy podniósł wzrok, widział dźwig, który się wznosił niczym prehistoryczny potwór nad długim białym walcem wieży turbiny czekającej, aż zostanie wzniesiona, przymocowana i zespawana, tworząc nowy punkt orientacyjny wyspy.

Bertram pokonał ostatnie schodki na balkon i wysunął stopy z sandałów, zanim ruszył dalej. Turczynka Hana, jego młoda asystentka, przeszła bezszelestnie po cedrowej podłodze, żeby narzucić na jego nagi tors proste pikowane kimono, noszone tradycyjnie przez wieśniaków.

Popatrzył na nią z wdzięcznością.

– Dziękuję, Hano.

– Herbaty?

– Może za chwilę.

Kobieta z uśmiechem skinęła głową i ręką wskazała na gościa rozpartego w wygodnym wiklinowym fotelu.

– Erik.

Erik Kaufmann podniósł dłoń na powitanie, ale nie wstał z fotela. Był mężczyzną tęgim i silnym, niestroniącym od przyjemności zmysłowych i z lwią grzywą siwych włosów opadających na kołnierz marynarki. Zza szkieł rogowych corbusierek spoglądały bystre niebieskie oczy i ktoś postronny wziąłby go za właściciela świetnie prosperującej galerii sztuki. Co nie mogłoby być dalsze od prawdy, bo Kaufmann był dla Monella tym, kim Tensing Norgay dla Hillary'ego. Nieodzowną prawą ręką, człowiekiem, który

przy pomocy dyplomacji albo bezwzględnej brutalności torował Monellowi drogę do realizacji jego coraz bardziej ekscentrycznych pragnień i planów. Był przy tym prawdziwym kosmopolitą i wszędzie czuł się jak u siebie.

Teraz odstawił filiżankę i zapalił cygaro.

– Wydajesz się blady, Bertramie – zauważył.

– Sander go znalazł, Eriku. Znalazł Silasa...

Miliarder odwrócił się i popatrzył na ogród i morze poniżej, opierając dłonie na poręczy. Hana wyszła szklanymi drzwiami.

– Gdzie?

– W jakimś zapomnianym przez Boga więzieniu w Kaszmirze. Miasto nazywa się Bata Pora. Aresztowano go kilka dni temu, a dziś rano się powiesił. Chcę go sprowadzić do domu, Eriku. Chcę, żeby spoczął obok Rebecki. Będziesz miał sporo pracy.

Kaufmann wstał z trudem, krzywiąc się z bólu. Dokuczał mu reumatyzm w kolanie i chodził, podpierając się ciężką sękatą laską. Stał obok Monella i razem z nim cieszył oczy widokiem. Nic jednak nie powiedział.

Bertram zaczął cicho:

– Tak naprawdę przez te wszystkie lata czekaliśmy na ten dzień. Wiem przecież, Eriku. Myślałem, że oswoiłem się z tą myślą. Czasu miałem aż nadto. Ale, cholera, nie w ten sposób. Sam, w Kaszmirze, w jakimś nędznym wiejskim więzieniu. To jednak trochę zbyt tragiczne i zbyt żałosne, jeśli mam być szczery.

– Bertramie, jesteś jego ojcem. Na śmierć dziecka nie da się przygotować, jakkolwiek by ona była nieuchronna. Powinieneś jednak samemu sobie zrobić przysługę i pamiętać, że zawsze mu pomagałeś, chroniłeś go, próbowałeś go naprowadzić na właściwą ścieżkę. Nie zliczę, na ile odwyków go wysłałeś... i z ilu sam się wypisał.

– Ja zliczę. Pamiętam każdą jedną klinikę.

– Wybacz, ale...

Kaufmann cofnął się o krok, ale Monell położył dłoń na jego ramieniu, żeby go zatrzymać.

– To ja przepraszam. To wszystko jest po prostu tak potwornie smutne. Sprowadzisz go do domu?

– Oczywiście.

Monell ponownie skierował wzrok na swój ukochany, wymuskany ogród i jego twarz się wygładziła.

– Możemy nigdy więcej o tym nie mówić, ale wiem, że Silas miał pewien deficyt. Był tragicznie słaby. Zdolny, ale brakowało mu koniecznej dyscypliny. Nie widział celu w swoim życiu i nie umiał go sobie wyznaczyć. Nie wiem, po kim miał ten brak inicjatywy. Nie po mnie, po matce też nie. Możliwe, że za bardzo mu wszystko ułatwialiśmy.

– Możliwe.

Kaufmann ponownie zapalił cygaro, które zdążyło zgasnąć, i pociągnął. Odczekał chwilę, aż dym przetoczy się po języku, i wypuścił go nosem. Zakasłał, zasłaniając usta szeroką dłonią.

– I co teraz? – spytał.

– Ja nie zrezygnuję, Eriku. Nie mogę.

Odwrócił się z nieprzejeđnanym wyrazem twarzy.

– Chodzi ci o twój... o twój plan? Nadal chcesz go zrealizować? – W głosie Kaufmanna pojawił się niepokój.

– Nazywaj to, jak chcesz. Pierwszy program napisałem, gdy miałem osiem lat. I on wciąż utrzymuje w powietrzu samoloty w każdym miejscu globu. Nie zamierzam pozwolić, żeby to wszystko zniknęło wraz ze mną. Nie wolno do tego dopuścić. Myśl, że to wszystko kiedyś kupi jakiś amerykański fundusz inwestycyjny, poszatkuje i porozrzuca po całym świecie, jest dla mnie nie do zniesienia. Poza tym chodzi o moje nazwisko. Od tysięcy sto pięćdziesiątego piątego na świecie zawsze był jakiś Monell. Tego też nie mogę zignorować.

Kaufmann westchnął.

– Rozumiem.

– Zajmij się tym.

– Oczywiście. Możemy zacząć natychmiast. Więc mówisz, że Sanderowi udało się wreszcie znaleźć Silasa? I to w zaledwie cztery miesiące. Fantastyczne osiągnięcie.

Monell się uśmiechnął.

– Nie bądź zazdrosny, Eriku. Nie zapominaj, że to ty mi go poleciłeś. Nazwałeś go ludzkim scyzorykiem szwajcarskim i miałeś rację. Przez tych pięć lat rozwiązał każdy problem, jaki przed nim postawiłem. A sam wiesz, jak epicko trudne były niektóre z nich. Za każdym razem spisywał się na medal. Uważam wręcz, że Michael Sander jest człowiekiem wzorcowym. Wiem, że tak jest.

Kaufmann przyjrzał mu się badawczo.

– Naprawdę?

– Tak, jestem tego absolutnie pewien. Jutro albo pojutrze przylatuje do Paryża i zatrzyma się w George V. Mam nadzieję, że zadbasz, aby mu niczego nie zabrakło?

Erik mechanicznie pokiwał głową.

– To będzie dla niego niezapomniany pobyt. Pod każdym względem. Obiecuję.

– Dziękuję.

Hana wróciła do nich ze szklanką wody, pałeczkami i miską parującego ryżu z rybą. Postawiła wszystko na stole i mężczyźni usiedli. Monell zaczął powoli spożywać swój prosty posiłek: jeden z dwóch, na jakie sobie pozwalał w ciągu dnia.

Gdy skończył, osuszył wargi serwetką, wypił duszkiem całą wodę i z czułością popatrzył na ogród skąpany w złocistym popołudniowym świetle.

– Mam teraz dwa kwiaty – oznajmił z zadowoleniem.

– Dwa? W sensie dwa gatunki?

– W sensie dwa pojedyncze, oddzielne kwiaty, Eriku. I więcej nie powinno ich być, teraz to widzę. To kwestia retoryki. Shibumi. Shibumi jest prawdziwsze od rzeczywistości. Wyrafinowanie bez fasady. To naturalność i nieuchronność, jak strzała w locie. Shibumi to naturalna perfekcja. Tego właśnie chcę. Tylko temu chcę poświęcić resztę życia.

– Myślałem, że to przywilej Boga – mruknął Kaufmann.

– Kiedyś może tak było. Ale Bóg już nie jest nam potrzebny.

Pozłacana winda bezszelestnie zjechała do lobby hotelu George V i Michael odsunął się, żeby wypuścić pasażerkę. Kobieta przypadkiem otarła się o jego ramię i zostawiła po sobie zapach Chanel Mademoiselle. Michael obejrzał się zaciekawiony. Każda inna reakcja byłaby wbrew naturze.

W połowie drogi przez lśniącą marmurową podłogę zatrzymała się, przykucnęła i poprawiła pasek sandała. Pod ciemnym materiałem dopasowanej sukienki wyraźnie zaznaczyły się idealne pośladki. Drzwi windy zaczęły się zamykać, więc Michael pośpiesznie wszedł do środka.

Młoda kobieta o lśniących ciemnych włosach położyła sobie torebkę na kolanie i posłała mu przez ramię autoironiczny uśmiech. Włosy na moment przesłoniły jej profil, ale zaraz się wyprostowała i ruszyła dalej w stronę obrotowych drzwi rytmicznym, zmysłowym krokiem. Odźwierny jej zasalutował.

Michael wymienił spojrzenia z konsjerżem. Obaj pokręcili głowami jak pielgrzymi, których po przybyciu do Santiago de Compostela łaskawie uraczono widokiem pięknym i wyjątkowym.

Pracował w skupieniu w głównej siedzibie Monell Industries w Argenteuil na przedmieściach Paryża i jedynym, co go rozpraszało, była odtwarzana w tyle głowy poranna scena w hotelowym lobby. Tymczasem szef IT monsieur Alain przedstawiał mu wewnętrzne procedury bezpieczeństwa. I trzeba przyznać, że monsieur Alain był kompetentny i świetnie przygotowany do spotkania. Rozkładał ręce i wielokrotnie przeproszał, że nie udało im się znaleźć luki w wewnętrznych protokołach firmy. Michael rozważał zwrócenie się do asystenta Lene Bjarnego, którego DNA zostało opracowane w Microsofcie, ale porzucił ten pomysł. Lene nie wiedziała, że on był w Paryżu, a Bjarnego wyróżniała bezwarunkowa lojalność.

Po bitych sześciu godzinach przed monitorami komputerów poczuł, że ma dość. Alain zasnął z głową na przedramionach.

Michael położył mu dłoń na barku. Informatyk raptownie poderwał głowę i stłumił okrzyk.

– Wybacz... – wymamrotał. Potarł niebieski zarost i spojrzał smutno na swojego gościa.

– Może pora wracać do domu? – zaproponował Michael.

Sam odchylił się w fotelu, splótł palce na karku i popatrzył w sufit.

Alain rozłożył ręce w typowym galijskim geście wyrażającym zarówno oburzenie, jak i rezygnację.

– Tak, Michael. Owszem, chętnie bym wrócił do domu, do rodziny. Bardziej niż chętnie. Ale nie rozumiem, jak to możliwe. W moim dziale. Widzę problem. Dostrzegam fakty. Ale sytuacja jest bez precedensu, a pracuję tu od osiemnastu lat. Musimy...

Michael ponownie pochylił się nad monitorem, gdzie wyświetlone były wyciągi z kont kluczowych pracowników działu patentów. Znał te liczby na pamięć.

– Nie wygląda na to, żeby ktoś z twojego zespołu wszedł w sposób nagły i nieoczywisty w posiadanie zamków w Toskanii, bugattich, ukraińskich supermodelek, wielkich jachtów na Karaibach ani stadnin w Irlandii – oznajmił.

– Z tego, co wiem, nie. Trzeba jasno powiedzieć, że zarobki w Monell Industries mamy sporo powyżej tego, co jest normą w branży i co zapisano w układach zbiorowych. Zawsze tak było. To oczywiście świadoma polityka, która ma przyciągać największe talenty, ale również rodzaj gwarancji, że nikt nie da się skusić na żadne nieprawidłowości. Czyli działania na szkodę firmy czy samego pana Monella.

– Oczywiście. – Michael spojrzął na zegarek. – Posłuchaj, obaj jesteśmy wykończeni. Nikomu nic nie przyjdzie z tego, że będziemy tu siedzieć przez całą noc jak zombie i gapić się na cyferki.

Dopił zimną kawę z papierowego kubka, wstał i założył marynarkę. Monsieur Alain uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Bo oczywiście to nie ty wysyłasz schematy konkurencji, prawda? – rzucił Michael nonszalancko.

Alain zaczerwienił się z oburzenia i zaczął się chaotycznie tłumaczyć.

Michael patrzył na niego spokojnie.

– Zapomnij o tym, kolego – zapewnił go, gdy tamten zrobił przerwę, aby zaczerpnąć oddech. – To był żart, okej? Gdyby ktokolwiek naprawdę cię podejrzewał, to nie ja bym tu siedział, ale Erik Kaufmann i kilku jego pomocników. A tobie kazano by odgryźć sobie palce. Jeśli dobrze rozumiem, działając w szarej strefie, Erik lubi współpracować z Legią Cudzoziemską.

Alain uśmiechnął się gorzko.

– Ach... ten słynny duński humor. Tres jolie... tres... I tak, ja również słyszałem plotki o byłych legionistach. Ale właściwie dlaczego nie? Każdy wie, że francuskie służby specjalne są najlepsze na świecie.

– Myślę, że niektóre jednostki izraelskiego Sajjeret, amerykańskich seal-sów i kilka brytyjskich czy australijskich regimentów SAS mogłyby się z tym nie zgodzić – uciął Michael.

Już dawno powinien być w łóżku, żeby złagodzić swój indyjski jet lag, ale jakaś tajemnicza siła przykuła go do legendarnego baru w George V. Mogła tu przesiadywać Coco Chanel. Charlie Chaplin. Pablo Picasso. Ernest Hemingway. Bar był świątynią hedonizmu ozdobioną marmurami, mozaikami, weneckimi żyrandolami, kością słoniową i polerowanym mahoniem. Michael przesunął ciężką szklankę ze złocistą single malt po blacie o skomplikowanym i niemożliwym do podrobienia wzorze i spojrzął na swój telefon. W uszach dźwięczał mu szmer kulturalnych rozmów zamożnych turystów

prowadzonych głównie po chińsku i rosyjsku, przy akompaniamencie cudownej, wielowarstwowej muzyki tworzonej przez barmanów podczas wywarzowania koktajli, z których słynęło to miejsce.

Z całą mocą odezwał się w nim niepokój, który go nękał od dziecka. Zażęknął za miesiącami, które spędził z Gurpalem na zakurzonych drogach przecinających himalajskie góry i doliny. Dlaczego z kobietą nie da się zbudować relacji równie prostej, szczerzej i opartej na wzajemnym zrozumieniu? Otóż dlatego, że każda uwaga nieuchronnie musi zostać przepuszczona przez wbudowany filtr dawnych konfliktów, kompromisów, kompleksów, niemożliwych do przerwania schematów i neuroz. Dlatego, że idąc z kobietą do łóżka, zawsze idzie się tam również z jej matką, siostrą i przyjaciółką. Dlatego, że kobiety nigdy nie zapominają, nie odróżniają rzeczy błahych od istotnych, wszystko dla nich ma taki sam ciężar, sprawy wielkie i małe; wszystko jest z serca, z emocji. Oraz dlatego, że wyrozumiałość i szczodrość to pierwsze ofiary śmiertelne każdego związku.

Filozofowie i socjologowie nie mieli racji: kobiety i mężczyźni nie pochodzą z różnych planet. Pochodzą z różnych galaktyk. Miał w każdym razie wrażenie, że on i Lene cały czas ślizgali się obok siebie w pozbawionym spieć milczeniu. Aby na koniec osiąść każde w swoim zakątku świata.

Marzył, aby Bertram Monell albo inny ze stałych klientów przydzielił mu jakieś kolejne niemożliwe do wykonania zadanie na końcu globu, żeby nie musiał wracać do domu.

Dostrzegł ją w lustrze. Stała w drzwiach i rozglądała się, mrużąc oczy, jakby była krótkowidzką, ale nie nosiła okularów. Miała na sobie inną sukienkę niż rano. Bardziej elegancką, ale otulającą jej ciało równie czule jak tamta. Sukienka wyglądała, jakby była na niej namalowana, a właścicielka należała do tego gatunku kobiet, które przyciągały światło i łaskawie się nim dzieliły.

Michael westchnął i zamówił następną lagavulin.

Dostał esemesa od Alaina z godziną i miejscem ich jutrzejszych herkulesowych – i zapewne bezowocnych – wysiłków w Argenteuil. Czytając wiadomość, usłyszał jej głos tuż obok:

– Co polecasz: Old Fashioned, Slap And A Tickle czy Sidecar?

Stała tuż obok, czuł ciepło jej ciała.

Odwrócił się ze stołkiem ćwierć obrotu i uśmiechnął uprzejmie.

– Słucham?

Kobieta się roześmiała.

– Po prostu... nie jestem w tym zbyt dobra. Chodzi mi o to... – Poma-
chała kartą koktajli. – Te nazwy. Nie wiadomo, czy zamawiam drinka, czy
zapraszam barmana z przyjaciółką do swojego pokoju.

Znów otworzyła kartę.

– Może ten Stinger brzmi do rzeczy? Czy to jakiś dziwkarski miks? –
spytała szczerze zagubiona.

Michael spokojnie jej się przyjrzał. Miała dużą torbę na ramię pełną cięż-
kich książek i teczek. Zawsze miał pociąg do zakręconych ludzi – zarówno
mężczyzn, jak i kobiet. Ale ona była inna.

– Szczerze mówiąc, moim zdaniem jest dość dziwkarski, tak – przyznał.

Kobieta się uśmiechnęła i popatrzyła mu w oczy. Była młoda. O wiele za
młoda.

– Aha. Bo właśnie wyglądasz, jakbyś świetnie znał... – urwała, zaczer-
wieniła się i położyła mu dłoń na ramieniu. – Wybacz. Nie chciałam, żeby
to zabrzmiało, jakbyś przesiadywał w barach, był alkoholikiem czy coś w
tym stylu.

– Nie musisz przeproszać. Rzeczywiście i niestety dość dobrze znam ho-
telowe bary – przyznał Michael.

Wziął od niej kartę.

– Co lubisz?

– Sama nie wiem. Harry's Bar ma swoje bellini. The Artesian Digivide.
Pomyślałam, że George V też ma coś szczególnego.

Pochyliła się do niego bliżej, teraz nie dałoby się między nich wcisnąć
banknotu.

– Chodzi ci o coś, co można wrzucić na Facebooka? Wszędzie byłam,
wszystkiego spróbowałam?

– To zupełnie nie w moim stylu – oznajmiła poważnym tonem.

– Oczywiście. Ale tak, rzeczywiście tutejszy bar ma swój koktajl popi-
sowy, Voodoo Vanda. Z wódką i... różnymi likierami kwiatowymi. Ponoć
jest fioletowy. Niewątpliwie nawiązanie do wystroju wnętrza i dominują-
cego w nim motywu orchidei.

– Próbowaleś go?

– Jestem heteroseksualny.

Zaśmiała się i podała mu rękę:

– Rose.

– Michael. Jesteś z RPA?

– Obawiam się, że tak. Z Kapsztadu. A ty?

– Z Danii.

Rose usiadła na stołku obok niego.

Ta chwila wydała mu się magiczna i zniewalająca, ponieważ przydarzyła mu się tak niespodziewanie i niezasłużenie. W sposobie bycia tej dziewczyny była jakaś bezpretensjonalna lekkość i autentyczny apetyt na życie.

– A ty co pijesz? – spytała.

– Single malt. Lagavulin. Żadnych roślin ani kwiatków.

Rose przywołała barmana.

– Nalej mi to, co on pije. A ty? Masz ochotę na jeszcze jedną?

Zawahał się i spojrzał na nią. Po czym wzruszył ramionami.

– Czemu nie.

W pokoju Michaela dominowały szarości. Ich ciała rozpływały się w cieniach, sczepione i nierozzerwalne. Rose siedziała na nim, jej twarz była w pełni skupiona na własnej przyjemności. Mięśnie zuchwy zaciśnięte, wzrok skierowany głęboko do wewnątrz. Sprężyste i idealne piersi kołysały się tuż przed nim, a on patrzył i patrzył, i nie mógł się napatrzeć. Kusząco wsunęła mu do ust wilgotne palce. Potem przesunęła nimi po jego szyi i na koniec włożyła sobie do ust, ale tylko na chwilę, bo zaraz oparła się dłońmi o jego bark. Wbiła palce głębiej. Jęczała rytmicznie i z każdą chwilą coraz niżej, coraz bardziej zachrypniętym głosem.

Michael mocniej złapał ją za biodra i docisnął jej miednicę i wzgórek łonowy do siebie, aż jej ruchy niemal ustały. Wstrzymała oddech, otworzyła oczy i przeszyła go rozszerzonymi źrenicami. Wtedy jej cudowna, głęboka cipka zacisnęła się, z początku delikatnie, jakby tylko muskając jego członek, potem mocniej, aż ucisk przeszedł w skurcze. Oderwała od niego ręce i wsunęła dłonie we włosy w ekstazie, a on trzymał ją mocno, jakby już nigdy nie chciał jej wypuścić.

Ruchy Rose powoli słabły. Wróciła do rzeczywistości, głowę zwiesiła ciężko między ramionami. Pot lśnił jej między piersiami, a sutki były ciemne i twarde. Delikatnie zarysowane mięśnie brzucha drgały w ostatnich skurczach. Wreszcie zsunęła się z niego i położyła na plecach.

Chwilę potem wsparła się na łokciu i ujęła dłońmi twarz Michaela. Wsunęła mu język do ust i poruszała nim w powolnym tańcu.

Gdy odsunęła twarz, uśmiechała się i zapraszająco rozsunała nogi.

– Twoja kolej, Michael. Śmiało, chodź.

O niczym nie myślał. Niczego nie czuł. Podniósł jej jedwabiste pośladki i ssał, i spijał z jej cipki sok o smaku jabłka i czystości. Ale naraz złapała go za głowę i z desperacką siłą przyciągnęła do siebie.

– Chcę cię poczuć w środku, do diabła – syknęła ze złością. – No, dalej!

Znowu w nią wszedł. Jego członek nie należał do niego. Jego członek robił to, na co sam miał ochotę. Nigdy jeszcze nie wydawał mu się tak twardy i tak stanowczy. Reszta ciała po prostu podążała za nim. Michael był tu całym niewinny.

Później

– Dzięki. Jasna cholera... naprawdę dzięki, Michael.

Rose oparła głowę na jego piersi, a on zdmuchnął sobie sprzed nosa jej loki, bo go łaskotały.

– Oszalałaś – mruknął. – To ja dziękuję.

– Nie, mówię poważnie. Minęło sporo czasu... Naprawdę zajebiście dawno nie byłam z facetem. Myślałam, że zapomniałam, jak to się robi.

– To chyba jak jazda na rowerze albo pływanie – powiedział Michael z namysłem. – Jak się raz nauczysz, to...

Podsunał się wyżej w łóżku. Jej głowa przesunęła się wraz z nim, a ramię zacisnęło się mocniej na jego tułowiu.

– Rose...?

– Mmm...

– Wiem, że trochę za późno o tym wspominać i że trochę to zabrzmiało, jakbym był napalonym gówniarzem, który zapomniał o kondomie w tylnej kieszeni spodni, ale...

– Nie przejmuj się – ucięła. – Nie mogę zająć.

– Nie możesz?

– Nie. Chociaż trochę szkoda.

– Jak to?

– Jestem pewna, że moglibyśmy zrobić piękne dziecko.

Kiedy tylko się obudził, wiedział, że Rose zniknęła z jego życia. Nad łóżkiem wisiała ołowiana chmura wstydu i poczucia winy. Jęknął i zamknął oczy. Wszystko było lepsze niż stawianie czoła rzeczywistości.

Kiedy obudził się ponownie, słońce malowało paski na grubej szarej wykładzinie.

Jedyne, na co miał ochotę, to zostać w łóżku, ale musiał przecież w jakiś sposób wcisnąć się w ten dzień i świat, w rzeczywistość innych ludzi. Dla zachowania pozorów. Dla pieniędzy. Udawać, że nic się nie stało. Brakowało mu Gurpala. Ich range rovera. Drogi bez końca i pustego horyzontu.

Rose nie zostawiła po sobie śladu poza zapachem perfum, który wisiał w powietrzu jak trujący powidok – i żółtej karteczki na wiaderku z lodem.

Michael się skrzywił, kiedy przeczytał wiadomość:

Michael, życzę ci udanej reszty życia.

Rose.

PS. Masz ładną żonę. Lepiej do niej zadzwoń.

Obok wiaderka leżał jego telefon. Na ekranie pojawiła się twarz Lene. Od północy przysłała mu pięć wiadomości i tyle samo razy dzwoniła.

Michael jęknął.

Powinien spróbować odnaleźć Rose? Potrafił znaleźć wszystko i wszystkich. Na tym polegała jego praca. Tylko po co? Miała góra trzydzieści lat. On wkrótce skończy pięćdziesiąt. To by było żałosne. Do diabła, przecież był żonaty. Poza tym nie pojmował, jak mógł nie słyszeć telefonu. Nic nie pamiętał... poza odgłosem wody spuszczonej w toalecie w środku nocy, odkręconego kranu w umywalce. Potem widział jakiś cień, który wyszedł z łazienki, i słyszał brzęk kostek lodu w wiaderku na szampana.

Telefon na stoliku zawibrował wściekle.

Monsieur Alain. Po raz trzeci.

Michael miał być w Argenteuil dwie godziny temu.

Kurwa mać, ja pierdolę.

15 miesięcy później

Dla Marii ten dzień niczym się nie różnił od każdego z dotychczasowych dni jej długiej niewoli. Poza tymi słowami i nożem.

Jak zwykle stała pochylona do przodu, z rękami na plecach i czołem wspartym o ścianę, kiedy zmieniano jej pościel, odkurzano podłogę i sprzątano łazienkę. Młoda kobieta, która zawsze się tym zajmowała, wychodząc, minęła ją bezgłośnie. Maria poczuła, jak delikatnie musnęła jej plecy. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. W jednej chwili kolana Marii były jak galareta.

Strażnik klepnął ją lekko w łopatkę na znak, że może otworzyć oczy. Przyłożyła ucho do śliskich stalowych drzwi i nasłuchiwała ich kroków na żwirze na zewnątrz. Potem jak w amoku padła na kolana, zajrzała pod łóżko, zerwała poszewki z poduszek i kołdry, sprawdziła pod materacem.

Nic.

Może tylko sobie wyobraziła to muśnięcie? Może ono nic nie znaczyło, a dziewczyna zrobiła to mimochodem? Nigdy nie widziała jej twarzy. Wiedziała tylko, że jest młoda, bezzapachowa, że ma szczupłe łydki i często nosi kolorowe sneakersy. I że ma delikatny, kojący, melodyjny głos, kiedy udaje jej się ukradkiem wyszeptać Marii kilka słów przez zamknięte drzwi późnym wieczorem, gdy nikogo nie ma w pobliżu. Zniknęła na miesiąc, wówczas strażnik przejął jej obowiązki, ale teraz wróciła.

Maria usiadła na podłodze, kolana podciągnęła pod brodę i potylicą uderzała rytmicznie w ścianę. Było jej niedobrze i pociała się, chociaż nowoczesny system wentylacji zapewniał w celi stałą temperaturę.

Teraz ona miała zniknąć. Przyszła jej kolej. Była ostatnia.

Wiedziała to, chociaż starała się nie dopuszczać do siebie rzeczywistości, śpiąc jak najwięcej, wykonując swoje ćwiczenia, aby zachować silne i sprawne ciało, myśląc o tym, o czym absolutnie nie wolno jej było myśleć – robiąc wszystko, żeby nie oszaleć i nie stać się bezużyteczną. A także mi-

nuta po minucie analizując swoje krótkie życie, od pierwszych mglistych wspomnień z domu, rodziców, szkoły, ulicy w ich mieście, sklepów, w których robili zakupy. Błękitnego morza i małego kutra ojca. Nie zasłużyła sobie na to. Zawsze była wobec wszystkich życzliwa i pomocna. Ale stało się i teraz przyszła jej kolej. Czuła się, jakby ktoś wyłączył światło i cały świat spowiła ciemność. Otworzyła oczy, przestała uderzać głową w ścianę i zamiast tego skierowała wzrok na drzwi do łazienki.

Łzy rozczarowania piekły pod powiekami. Nic. Brodzik prysznic wyglądał normalnie. Dotyk był przypadkowy, młoda kobieta nie chciała jej nic przez to powiedzieć. Albo chciała ją ostrzec, że nic nie może dla niej zrobić.

Ściany były wyłożone gładkimi ciemnoszarymi i odpornymi na zniszczenia płytkami, a lustro wmurowano w ścianę. Pozwolili jej zatrzymać najpotrzebniejsze kosmetyki oraz szminkę i maskarę. Wszystko leżało nietknięte na metalowej półce pod lustrem. Poza szminką, która stała pionowo.

Maria się rozejrzała. Podniosła klapę klozetu i wstrzymała oddech. Tam, na wewnętrznej stronie klapy szminką Marii kobieta napisała: *GET AWAY RIGHT NOW! They don't need you anymore. I'll take care of it.* I kawałkiem taśmy przykleiła do deski śmiesznie mały, ale ostry nożyk do ziół.

Maria długo siedziała na podłodze i patrzyła to na nóż, to na słowa, a w jej głowie nabierał kształtów prosty, skromny, wręcz prymitywny plan wydostania się z tego sterylnej piekła. Policzyła godziny i wiedziała, że była noc.

Przyłożyła dłoń do niebieskiego ekranu pod interkomem, ale urządzenie odpowiedziało tylko statycznym szumem.

Maria zacisnęła zęby i znowu wcisnęła ekran, a potem jeszcze raz.

W końcu aparatura się ożywiła.

– Masz pojęcie, która godzina?

Głos był szorstki i zaspany. To Marko. Przystojny młody chłopak, który wbił jej igłę w szyję pewnego wieczora w Hamburgu, gdzie zaczął się ten koszmar.

– Ja krwawię! – wrzasnęła z desperacją w głosie. – Nie umiem tego zatrzymać!

– Jak to krwawisz?

– Z cipki, debil. Pomóż mi, do diabła. Ja umieram!

Ekran zrobił się matowy. Maria uklękła przy muszli sedesowej z nożykiem w ręce i przecięła rękę powyżej znienawidzonej bransoletki z GPS-

em, którą jej założono na nadgarstku pierwszego dnia niewoli. Z żyły popłynęła krew i Maria szybko przyłożyła sobie rękę do kroku, żeby wyglądało, jakby naprawdę krwawiła z podbrzusza.

Nakrętki motylkowe pod ciężką deską klozetową poluzowała już wcześniej i wyjęła śrubki.

Gdy usłyszała, jak drzwi celi otwierają się ze świszczącym dźwiękiem dekompresji, schowała nożyk do kieszeni i wsunęła dwa palce do gardła. Zwymiotowała żółcią. Z satysfakcją stwierdziła, że krew utworzyła pod nią na kafelkach sporą kałużę. Usłyszała kroki, które zatrzymały się raptownie, i kątem oka dostrzegła buty Marka.

– Ty krwawisz... – wymamrotał zaaferowany. – Cholera, dlaczego? Mięły trzy miesiące.

Kucnął obok niej i Maria z gromadzoną przez trzynaście miesięcy i starannie pielęgnowaną nienawiścią wzięła krótki zamach ciężką deską i rozwaliła mu ją na twarzy. Złamała mu nos i wyrąbała sporą dziurę w górnej szczęce. Marko uderzył plecami o ścianę. Nogi się pod nim rozjechały i patrzył na nią pustym wzrokiem. Próbował wstać, ale dłonie ślizgały się na zakrwawionej podłodze. Wstała za to Maria, zerwała plastikową kartę z paska na jego szyi i dla porządku z całej siły kopnęła go w krocze, wyminęła go i wyszła.

W domu panowała absolutna cisza. Maria jak na skrzydłach biegła długimi pozbawionymi okien korytarzami, aż dotarła do przestronnej kuchni. Chwilę grzebała w szufladach, zanim zauważyła drewniany blok z nożami. Wyjęła największy z nich, położyła na blacie dłoń z nadajnikiem i raz po raz uderzała w niego ciężką ręką noża. Z niedowierzaniem obejrzała efekty: mała ledowa żarówka jak gdyby nigdy nic wesoło migiała na zielono. Udało jej się tylko porysować ceramiczną powłokę bransoletki. Odwróciła się, żeby bieć dalej do wyjścia, i zobaczyła Marka, który szeroko rozłożonymi ramionami blokował jej drogę ucieczki. Jego ładna twarz była zmasakrowana. Jedno oko prawie się zamknęło i aż popłakiwał ze złości.

– Zabiję cię, kurwa! Zabiję cię, jebana bezużyteczna dziwko.

Maria rzuciła się biegiem prosto na niego. Jego zdrowe oko otworzyło się w szoku, a ona padła na podłogę i ostatnie metry prześlizgnęła się na plecach między jego szeroko rozstawionymi nogami. Przejeżdżając pod

nim, nożem przesunęła po jego pachwinie. Ostrze gładko przecięło ubranie, skórę, mięśnie i duże naczynia krwionośne.

Marko złapał się za ranę, próbował ją zamknąć ręką, ale ciemna krew nieubłaganie przeciekała mu między palcami. Popatrzył na Marię ze smutkiem, jakby to wszystko wcale nie było konieczne. Mogli przecież porozmawiać jak ludzie. Ale jej dłońmi zawładnął jakiś prastary mroczny bóg zemsty, zniszczenia i śmierci, i Maria przesunęła mu nożem po gardle ze zdumiewającą wprawą, jakby nic innego nie robiła tylko uśmiercała ludzi.

Jej tenisówki ślizgały się w jego krwi, kiedy próbowała wstać i musiała przytrzymać się futryny drzwi.

Marko umierał na białych kafelkach, a ona gorączkowo przetrząsała szuflady. W końcu znalazła rolkę folii aluminiowej, którą owinęła bransoletkę. Może zadziała, może nie.

Dom się zbudził. Zewsząd dobiegały głosy.

Wreszcie dostrzegła elektroniczny zamek przy szklanych drzwiach wychodzących do ogrodu. Przesunęła przez zamek kartę Marka i drzwi automatycznie się otworzyły.

Maria po raz pierwszy od trzynastu miesięcy poczuła wiatr na twarzy, a w płucach – powietrze nieprzepuszczone przez klimatyzację. Noc była bezgwiezdna i bezksiężycowa. Padało, jej długie włosy kleiły się do twarzy czarnymi mokrymi pasmami. Dom za nią zaczął pulsować niebieskim światłem, kiedy uruchomił się alarm. Zbiegła krótkimi schodami prosto na wiatr i w dziwną, egzotyczną roślinność.

Kluczyła między drzewami i krzewami, ślizgała się, upadała, raniła się o szorstkie, twarde przeszkody, klęła i znów się podnosiła. Cały czas próbowała zatrzymać krwawienie z przedramienia i dociskała folię do zdradzieckiego nadajnika.

Zatrzymała się nagle, gdy stwierdziła, że stoi po uda w wodzie. Zza chmury wysunął się księżyc, a ją otaczała bezkresna czarna słona woda. Gdy się odwróciła, między drzewami dostrzegła światła latarek obławy. Usłyszała wściekłe ujadanie psów i krótkie komendy ich opiekunów.

Prawo? Lewo?

Nie było czasu na wahanie, dostrzegła ciemny zarys kawałek dalej. Coś jakby hangar dla łodzi postawiony na palach na wodzie. Może tam będzie mogła się ukryć. Zebrać siły.

Twarz ją piekła smagana cienkimi gałęziami, kiedy biegła przez zarośla, a w ustach miała słony i metaliczny smak krwi. Potem brodziła w wodzie i ślizgała się po kamieniach, licząc, że psy zgubią trop. Głosy i światła latarek raz były całkiem blisko, to znów się oddalały.

Hangar wyrósł nad nią ciemny i kanciasty w słabym świetle księżycy, który zawisł między dwoma kłębowiskami chmur.

Gdy chmury się zamkną, zupełnie straci orientację.

Jej wzrok padł na gumowy ponton. Tak naprawdę była to długa i solidna łódź z panelem sterowania na środku i masą różnych instrumentów. Na rufie wisiał potężny silnik zaburtowy. Wczołgała się do środka i wylądowała na szerokim twardym pokładzie. Obok cumowała identyczna łódź i kołysała się na niskich falach. Odcięła cumy, wychyliła się i wbiła nóż w sąsiedni ponton. Ciepły podmuch z głośnym WUUUMMPH! odsunął jej włosy z twarzy. Ponton się przechylił i położył na burcie.

Maria złapała kierownicę i przekręciła zapłon. Duży silnik mercury o mocy trzystu pięćdziesięciu koni obudził się do życia z wściekłym rykiem, a ona odciągnęła do tyłu manetkę gazu i odwróciła łódź od domu i wyrzeża. Znała się na łódkach. Jej ojciec był rybakiem i cała wiedza, jaką jej przekazał, wróciła do niej teraz, gdy najbardziej jej potrzebowała.

Za plecami usłyszała strzały, woda niedaleko łodzi się wzburzyła. Ale Maria chwilę później była już daleko i ciszę zakłócało tylko kojące buczenie silnika i szum wody, która opływała rozpędzony kadłub.

Po kilku minutach dokładnie na wprost zobaczyła zarys brzegu, jako jaśniejszą linię w ciemności. Wrzuciła jałowy bieg i poczuła, jak paliwo niesie łódź w stronę lądu. Wyłączyła silnik i przygryzła rękaw cienkiej koszulki, żeby przestać stukać zębami. Słyszała, jak fale uderzają o brzeg i jak szemrając, cofają się między wielkimi głazami na plaży.

Nakryła dłonią bransoletkę i folię, jakby to miało przeszkodzić przeklętej maszynie w wysyłaniu jej lokalizacji prześladowcom. Znów włączyła silnik, kierownicę ustawiła w tym samym kierunku, z którego przy płynęła, i ześlizgnęła się przez burtę do wody.

Płynęła z głową pod wodą, aż płuca niemal jej pękły, a ona poczuła dno pod stopami. Co chwilę upadała na śliskich mokrych kamieniach, z zimna straciła czucie w stopach. Ponton powoli na niskich obrotach oddalał się w mrok. Maria chwiejnym krokiem przeszła wąską plażę i zatrzymała się za pierwszymi drzewami.

Jakiś ptak wyfrunął spomiędzy gałęzi tuż przed jej twarzą. Wrzasnęła głośno. Ptak zostawił po sobie dziwną, zasysającą wszystko ciszę, którą z wolna wypełniło niskie buczenie. Po chwili zobaczyła ogromne reflektory wielkiego jachtu motorowego, który sunął przez mrok wzdłuż wybrzeża. Na mostku kapitańskim zapalił się kolejny projektor i wąskie, silne światło powoli przeczesywało plażę, zarośla, omiotło jej twarz i przeszło dalej. Po chwili wróciło i Maria, wstrzymując oddech, wsunęła się głębiej w niskie iglaki.

Kłęcząc w piaszczystej niecce, dociskała sreberko do nadajnika i zamknęła oczy.

– *Ave Maria, gratia plena, dominus tecum. Benedicta tu in mulieribus, et benedictus fructus ventris tui, Iesus. Sancta Maria, mater dei...*

Nie wiedziała, skąd przyszły do niej te słowa, ale była za nie wdzięczna. Modlitwa z dzieciństwa, którą w kółko powtarzała. Modlitwa, która dawała odrobinę ciepła i spokoju.

Potem wstała i zaczęła biec dalej.

Od strony morza usłyszała chrzęst kołowrotka kotwicy. Jacht rzucał kotwicę na wysokości jej pozycji. Potężne turbiny spalinowe zamilkły. Mordercy na pokładzie śledzili każdy jej ruch i nie musieli się śpieszyć, żeby ją odnaleźć i z powrotem zawlec do celi.

– *Ave Maria...*

Uderzyła głową w drzewo. Pociemniało jej w oczach i przegryzła sobie dolną wargę. Nie wiedziała już, co jej kazało biec dalej, co ją utrzymywało na nogach w tym przerażającym, straszliwym lesie, którego zapachy i dotyk były tak bardzo obce. Nic nie byłoby prostsze, niż po prostu usiąść. Poddać się. Zaczekać na nich. I Maria bez wahania by to zrobiła, gdyby stawką było tylko jej życie.

Spojrzała na bransoletkę. Próbowwała ją zsunąć na wszelkie sposoby, aż zdarła sobie skórę. Prawie udało jej się ją zdjąć przez kciuk. Prawie. Polizała skórę i próbowała znowu, bez końca, aż musiała się poddać. Wtedy spojrzała na nóż. Jego ostrze połyskiwało w słabym świetle.

Popatrzyła na swoją dłoń.

I na nóż.

Przynajmniej był wyjątkowo ostry.

Zacisnęła zęby i wbiła go z całej siły – i zrobiła to.

Świat skurczył się do małej, rozżarzonej do białości kuli niewyobrażalnego bólu.

Maria dyszała, jej oddech przyśpieszał coraz bardziej. Przycisnęła dłoń do brzucha i odcięła rękaw koszulki, którym ją owinęła. Na szybko wykopła płytką dziurę w piaszczystej ziemi między korzeniami sosny i pochowała w niej swój lewy kciuk i wciąż migający nadajnik GPS.

Prowizoryczny bandaż szybko przemókł krwią i Maria znów pomyślała o psach.

Była w połowie szosy, kiedy się zorientowała, gdzie się znajduje. Zastygła na środku jezdni i podniosła dłoń, chroniąc oczy przed oślepiającym światłem samochodu. Usłyszała pisk hamulców i wściekłe, przeciągłe trąbienie klaksonu, zanim samochód w ostatniej chwili ześlizgnął się na bok i ją wyminął. Wtedy nadjechały samochody z drugiej strony. Środkowy pas jezdni rozświetlił się między jej stopami. Obława i pies były teraz bardzo blisko. Nagle zwierzę wyskoczyło z zarośli, wypatrzyło Marię i rzuciło się ku niej długimi susami. A ona stała, sparaliżowana od stóp po czubek głowy. Widziała białe zęby psa, jego kosmate, ciężkie, ciemne ciało – i widziała, jak w magiczny sposób znika, jakby jakaś wielka ręka go porwała. Znów rozległ się pisk hamulców przecinający kości czaszki. Pies został potrącony w trakcie skoku i zdawało się, że koziołkował w nieskończoność. A teraz leżał bezwładnie na poboczu.

Spomiędzy drzew wyszedł mężczyzna z długą liną w dłoni. Popatrzył na nią pustym wzrokiem. Potem odwrócił głowę i dostrzegł leżącego w trawie psa, zszokowanego kierowcę i małą dziewczynkę, która właśnie wysiadła z furgonetki. Głęboką, napiętą do granic ciszę przerwał metaliczny chrzęst, kiedy pojazdy ślizgały się i zgniatały nawzajem w trwającym wieczność karambolu. Marii udało się tymczasem przesłać sygnał z mózgu do stóp, żeby poniosły ją na drugą stronę mokrej jezdni, w której odbijały żółte światła kierunkowskazów, czerwone światła tylne i białe, długie języki świateł mijania.

Gdy dotarła do lasu po drugiej stronie, za jej plecami rozległa się seria huków. Wydawały się nieistotne w trwającym chaosie i zgiełku. Przypadkowa kula trafiła ją poniżej lewej łopatki i powaliła na ziemię, między krzaki. Uderzenie wycisnęło jej z płuc całe powietrze. Widziała tylko ciemność.

Zwierzęcy instynkt przejął kontrolę nad jej ciałem i kazał jej wczłogać się głębiej w las.

Za nią otwarło się piekło.
Dotarła do pierwszych pni.
Czołgała się dalej. Głębiej.

– Boże, zlituj się nade mną... Maryjo... zlituj się nad moim...

Pod koniec nie czuła już nic. Nic z niej nie zostało. Zimno zapuściło korzenie w jej sercu. Ból w plecach był nieopisany i nie czuła lewego ramienia. Stało się bezużyteczną naroślą. Maria osunęła się w nieckę w ziemi i zdrową ręką zgarnęła suche gałęzie, którymi się zasypała.

Pewna mądra kobieta powiedziała kiedyś, że Bóg nie stworzył terapii dla par, by zapobiec rozwodom, ale by uczynić je bardziej cywilizowanymi. Na wniosek Michaela przestali chodzić do terapeuty miesiąc temu. Facet od początku mu się nie podobał. Nosił na zmianę białe dżinsy i skórzane spodnie. Obie stylizacje były nie do przyjęcia.

Tego pięknego dnia w środku lata siedział sztywny na niewygodnym krześle w salonie ich niegdyś wspólnego mieszkania na Frederiksbergu, gdzie właśnie trwał podział tego, co zostało z ich małżeństwa. Czuł się podle.

Jego żona, inspektor policji Lene Jensen zatrudniona w Komendzie Głównej w Wydziale do Walki z Przestępczością Przeciwno Życiu i Zdrowiu, siedziała przy długim rustykalnym stole na środku pokoju i zamyślona gryzła ołówek. Nie mógł na nią patrzeć. Wciąż miała tyłek jak osiemnastoletnia siatkarka, w ogóle była w fenomenalnej kondycji. Jej długie włosy nadal miały ten szczególny, kasztanoworudy odcień, chociaż nigdy ich nie farbowała, a szyja była gładka jak marmur. Do tego jasne zielone oczy otoczone cienkimi, ironicznymi zmarszczkami mimicznymi. Przed sobą miała papiery rozwodowe.

Oboje wykazywali się w tej sytuacji wyjątkowym rozsądkiem, dojrzałością i kulturą. Jak na razie.

– Co z książkami? – spytała.

– Jakimi książkami?

– Kiedy się wprowadziłeś, przywiozłeś Brysona, Szekspira i Hemingwaya.

– Zatrzymaj je.

– Na pewno?

– Tak.

Lene odhaczyła kolejny punkt.

– A twój sprzęt narciarski?

– Jeśli chce ci się go spakować, to przyślę po to kuriera.

Jej oczy zaszyły mgłą, a usta wykrzywiły się lekko, chociaż Michael widział, że naprawdę się stara nad sobą panować. Odwrócił wzrok.

Poczucie winy było czymś elementarnym i fizycznym, stwierdził z czasem. Miało konkretny kształt, kolor i wagę. I nawet smakowało jak poczucie winy.

– Dostaliśmy trochę prezentów ślubnych – zaczęła. – Na przykład zieloną lampę i zestaw do sałatek, i...

– Słuchaj, dlaczego po prostu nie zatrzymasz sobie wszystkiego? – mruknął.

– Jak to? Nie ma nic z ostatnich trzech lat, co miałyby dla ciebie jakąś wartość?

– Dobra, to wezmę tę lampę – wymamrotał obojętnie.

– Ale akurat lampa mi się podoba...

Schował ręce do kieszeni i zacisnął w pięści.

– To ją sobie zostaw, do diabła! Próbuję tylko...

Lene wypila łyk herbaty. Popatrzyła w głąb szklanki. W zamyśleniu zamieszała łyżeczką. Przerwała i znów zamieszała. To brzęczące, niekończące się mieszanie zawsze doprowadzało go do szału, chociaż nigdy jej o tym nie powiedział.

– Oto cały ty – oznajmiła. – Jedyne, na czym ci zależy, to wycofać się z tego możliwie najprędzej i najprościej, a potem udawać, że to się nigdy nie stało.

Cholernie chciało mu się palić.

– Masz całkowitą rację – przyznał. – O niczym innym nie marzę. Możemy kontynuować?

Zadzwoił jej telefon. Leżał obok jej lewego łokcia i odruchowo spojrzała na wyświetlacz.

Michael pokręcił głową: a oto cała Lene!

– Nie mogłabyś chociaż raz wyłączyć tego szajsu? – wypalił.

Nie słuchała go.

Dzwoniła Charlotte Falster, jej szefowa, więc oczywiście odebrała.

Michael ze złością przeniósł wzrok za okno. Doskonale wiedział, co się teraz stanie.

– Tak?

Szefowa jak zawsze mówiła bez ogródek. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie Lene rzeczywiście w niej lubiła. Rano pracownik leśny znalazł zwłoki młodej Azjatki na plantacji leśnej na północ od Kalunborga. A konkretnie znalazł ją jego pies. Ktoś strzelił jej w plecy. Między innymi.

– I? Lokalna komenda nie może się tym zająć? Czy może wszyscy są na kursie coachingu i nudgingu środowisk przestępczych? Akurat jestem w trakcie rozwodu. Nie zrozum mnie źle, ale jeśli mam się zajmować każdą ofiarą handlu ludźmi, to nie starczy mi czasu na nic innego.

– Wiem, że się rozwodzisz.

Lene spojrzała podejrzliwie na Michaela, który zmienił pozycję. Wyglądał, jakby siedział w poczekalni u dentysty i miał mieć robione leczenie kanałowe.

– Skąd wiesz?

– Wpadłam niedawno przypadkiem na twojego męża i wypiliśmy razem kawę. Wyobraź sobie, że ludzie robią takie rzeczy. Wpadają na siebie i ze sobą rozmawiają. Też powinnaś kiedyś spróbować. I normalnie, oczywiście, nie przyszłoby mi do głowy komentować twojego życia prywatnego, ale nie mogę powstrzymać uczucia żalu. Michaelowi udało się niemal nadać ci cechy ludzkie, choć przysięgłabym, że takiego cudu nie dokonałby nikt. Nie możecie z tym poczekać?

Lene już ją sobie wyobrażała: komendant główna Charlotte Falster w swoim przestronnym nudnym biurze w Glostrupie, które ucywilizowała klasykami złotej ery duńskiego przemysłu meblarskiego, portretami swoich dzieci i męża, dywanami Vibeke Klint oraz stertą numerów „Louisiana-revy”.

– To nie jest wizyta u fryzjera. To rozwód – odcięła się szefowej. – I nie, nie możemy tego przełożyć na bardziej dogodny termin. Bo taki nigdy nie nadejdzie.

Czuła na sobie pełen wyrzutu wzrok Michaela.

– Dlaczego miejscowi nie mogą się tym zająć? – spytała ponownie. – Mówisz, że to Azjatka. Przyjeżdża ich do kraju po kilkadziesiąt każdego dnia. Jak wiadomo, nie ma już granic, a Schengen to jakiś żart.

Lene zerknęła na Michaela, który bezdźwięcznie zapytał: „możemy kontynuować?”.

Lekko pokręciła głową, podeszła do okna i odwróciła się do niego plecami.

– To nie jest sprawa dla komendy miejscowej – oznajmiła Charlotte głosem nieznoszącym sprzeciwu. Rzadko zdarzało jej się go używać, ale gdy to robiła, to znaczyło, że sprawa naprawdę nie podlegała dyskusji.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, wiele wskazuje na to, że dziewczyna była więziona. Psy policyjne znalazły ceramiczną bransoletkę zakopaną pod drzewem po drugiej stronie szosy. Pełniła funkcję nadajnika GPS jak te, które noszą osoby w areszcie domowym albo z demencją, którym się zdarza uciec z domu opieki. Tyle że ta była znacznie mniejsza i bardziej zaawansowana, niż te, które kiedykolwiek widzieli nasi technicy.

Lene zmarszczyła czoło. Wbrew swojej woli poczuła się zaintrygowana. Charlotte oczywiście wiedziała, czym przykuć jej uwagę. I wiedziała, że Lene wie, że ona to wie. Było to dość pogmatwane, niemniej tak to właśnie działało. Gdy się wcisnęło w Lene odpowiednie guziki, otrzymywało się pożądaną reakcję. Na przykład guzik „zamordowana, zgwałcona albo maltretowana młoda kobieta” działał zawsze. I nie bez powodu.

– Mów dalej – mruknęła do telefonu.

Usłyszała, jak jej przełożona przetyka głośno ślinę. Charlotte była prawniczką i jej znajomość brutalnych realiów pracy policji była właściwie zerowa.

– Dziewczyna razem z bransoletką zakopała swój kciuk. Najwyraźniej musiała go sobie odciąć, żeby zdjąć nadajnik. Nie żyje od dwóch dni, a samo miejsce znalezienia niewiele nam mówi. Nie ma szczególnych śladów. Przez ostatnie dwie doby w okolicy niemal bez przerwy padało, to czysty przypadek, że w ogóle ją znaleziono.

– Gdzie ona teraz jest? – spytała Lene.

– Wiozą ją do Zakładu Medycyny Sądowej. Możliwe, że już tam jest.

– Przekaż ją Helle Englund. Jest najlepsza.

– Tak zrobię.

Lene zamilkła.

– Może to prostytutka, która próbowała uciec z jakiegoś burdelu na prowincji – powiedziała po chwili. – Chociaż nie słyszałam, żeby posuwali się do zakładania im GPS-ów, by je zatrzymać.

– Właśnie. Poza tym zapomniałam o czymś jeszcze...

– Oczywiście, że nie zapomniałaś, ale mów.

– Dziękuję. Dziewczyna leżała w niecce obok drogi roboczej. Mimo rany postrzałowej zdołała się nakryć gałęziami. Znaleziono przy niej również

drogi i bardzo ostry francuski nóż kuchenny, którym przed śmiercią wycięła sobie na brzuchu i udach jakieś litery i cyfry. Prawdopodobnie swoje nazwisko i datę urodzenia. Nie sądzę, Lene, żeby w zwykłym wiejskim burdelu na Zelandii używano francuskich noży kuchennych za kilka tysięcy koron.

Lene zamknęła oczy.

– Okej. To jak się nazywała? – spytała.

– Maria de la Reyes. Miała dwadzieścia jeden lat.

– Maria de la Reyes. W porządku. Przyjrę się temu.

– Dziękuję.

Lene przeszła się po mieszkaniu i powrzucała jakieś rzeczy do torby na ramię. W sypialni otworzyła szafkę na broń, sprawdziła swój brzydki, czarny pistolet H &K 9 mm, wsunęła świeży magazynek do gniazda i schowała broń do kabury nad lewym biodrem, z uchwytem zwróconym w przód. Zabrała kluczyki i portfel i wróciła do salonu.

Stała na środku podłogi i popatrzyła na Michaela, jakby zapomniała, kim był.

– Coś mi wypadło – mruknęła. – Możemy to przełożyć na inny dzień?

Wzruszył ramionami.

– Oczywiście. To nic ważnego. Zwykły rozwód. Czego chciała Charlotte?

– Powiedzieć mi o martwej Azjatce. Postrzelono ją w plecy, dziewczyna przeleżała w lesie parę dni. Wygląda na to, że miała na nadgarstku jakiś nadajnik GPS. Odcięła sobie kciuk, żeby się go pozbyć.

– To nie brzmi jak zwykły handel ludźmi. Zdecydowanie nie.

– Możliwe. Przed śmiercią nożem wyryła sobie na skórze własne nazwisko i prawdopodobnie datę urodzenia. Wyryła. Nie wydrapała. Moim zdaniem to niezrozumiały akt determinacji. Albo szaleństwa. Kto u licha byłby zdolny do czegoś takiego?

– Nazywała się Maria de la Reyes?

– Tak.

– Nazwisko brzmi jak z Filipin.

– I ma mnóstwo liter.

Stał w drzwiach na korytarz.

– To śmierdzi czymś cholernie niezdrowym. Dobrze zorganizowanym. Uważaj na siebie – mruknął poważnym tonem.

– Zawsze uważam – odcięła się z niezachwianą pewnością, której absolutnie nie czuła.

– Nie, nie uważasz. Łudzisz się tylko, że jesteś niezniszczalna.

– Wszelkich złudzeń już się wyzbyłam, dzięki tobie. I bądź łaskaw nie omawiać naszych małżeńskich problemów z moimi przełożonymi. Cały świat w to wtajemniczyłeś?

Długo jej się przyglądał, choć nie umiała nic wyczytać z jego twarzy. Naprawdę się o nią martwił? Wciąż?

– Nie wydaje mi się, aby świat jakoś szczególnie się nami interesował – oznajmił zmęczonym głosem. – Charlotte spotkałem przypadkiem na mieście. Ona nas zna. To normalne, że ludzie rozmawiają o takich rzeczach.

– Ja nie rozmawiam – zauważyła.

– Ty z nikim o niczym nie rozmawiasz.

– Ponieważ ty nigdy nie chcesz się z nikim spotykać, Michael.

– Przecież nie zabraniałem ci się spotykać ze znajomymi.

– Niech ci będzie. Na razie.

Zakład Medycyny Sądowej budził w Lene odrazę. Nienawidziła w tym miejscu wszystkiego i wszystkich, poza Helle Englund, którą od zawsze znała i lubiła. Patolożka była wiceszefową zakładu. Kobieta przed czterdziestką o wiecznie rozczochranych jasnych włosach i energicznym, pełnym zapału sposobie bycia osoby, która absolutnie każdej nocy przesypia bite osiem godzin, choć Lene wiedziała, że to ostatnie było akurat dalekie od prawdy.

Uścisk Helle był silny i pachniał środkami odkażającymi, a zaraz po nim weszły do prosektorium, gdzie stały stoły do sekcji i zmysły Lene zaatakowały zewsząd skrajne obrzydliwości wszelkiego rodzaju. Jak zwykle zajęła pozycję między umywalkami, gdzie w razie czego mogła zwymiotować, a szklanymi drzwiami, żeby móc uciec, jeśli to okaże się konieczne.

Podczas jednej ze swoich ostatnich wizyt w tym miejscu niemal zastrzebiła Helle, próbując zabić przerażające potwory z głębin morskich, węgorze jak z koszmaru, które wypełzły z ciała młodego mężczyzny wyłowionego z Morza Północnego.

Lene kołysała się na piętach i skupiła uwagę na zwłokach, leżących na stole przed nią. Choć trudno było zgadnąć wiek zmarłej, dwadzieścia jeden lat mogło do niej pasować. Dziewczyna była drobna, ale wyglądała na do-

brze odżywioną. Miała czarne włosy do ramion i ładny, pełny biust. Rysy twarzy azjatyckie, regularne i nienaruszone, choć znaleziono ją zagrzebaną w ziemi. Nie miała żadnych tatuaży ani piercingu. Tylko te duże, koślawe, głęboko wycięte w skórze litery i cyfry na brzuchu i udach. Lene wciąż nie umiała sobie wyobrazić, jak ktoś mógł sobie zrobić coś takiego. Nie umiała – albo nie chciała sobie wyobrażać ostatnich chwil życia tej dziewczyny, samej, krwawiącej, konającej w zimnej dziurze w obcym lesie. A jednak niechciany ciąg obrazów wyświetlał jej się pod czaszką.

– Kto u licha mógł coś takiego zrobić? – usłyszała własne pytanie.

Helle spojrzała na nią, naciągając lateksowe rękawiczki. Pokręciła lekko głową.

– Opaskę z nadajnikiem wysłaliśmy kryminalistykom – wyjaśniła. – To jakaś ultranowoczesna technologia. W pierwszej chwili wszyscy się dziwili, że coś takiego w ogóle istnieje, w takiej formie i wykonane z takich materiałów. Ich zdaniem to czysta NASA.

– Naprawdę? – Lene nie mogła oderwać wzroku od białej twarzy dziewczyny. Niczego nie pragnęła bardziej, niż ją złapać i szarpnięciem przywrócić do życia. – Co jest faktyczną przyczyną śmierci, z technicznego punktu widzenia? – spytała cicho.

Patolożka przekręciła zwłoki na bok i wsparła biodro i bark na czarnych gumowych blokach z wyżłobieniami. Pokazała Lene otwór wlotowy o równej krawędzi poniżej lewej łopatki. Potem ostrożnie położyła dziewczynę na plecach. Zdjęła rękawiczki i wskazała na podświetlone zdjęcie rentgenowskie wiszące nad umywalkami.

– To zdjęcie klatki piersiowej. Tu widać zdeformowany pocisk, tuż za sercem. To mógł być rykoszet, bo pocisk utknął w ciele. Albo strzał oddano z dużej odległości. Chociaż skłaniam się ku pierwszej wersji. W każdym razie kula nie zabiła jej od razu, choć spowodowała zapadnięcie się lewego płuca.

Lekarka zmęczonym gestem odsunęła sobie jasny kosmyk z oczu i schowała pod czepek. Zmrużyła powieki i dalej przyglądała się zdjęciu.

– Ale mówisz, że to jej nie zabiło? – dociekała Lene.

– Nie. Było za to wiele innych przyczyn. Niemal stały w kolejce, żeby ją uśmiercić. Na przykład wychłodzenie. Utrata krwi z rany w dłoni, rany postrzałowej, naturalnie, oraz z nacięć na ciele. Jej ubranie, czyli dżinsy, majtki i cienka koszulka, było przemoczone wodą morską, a w tenisówkach miała piasek.

Lene zmarszczyła brwi.

– Miejsce znalezienia leży jakieś dwa kilometry od wybrzeża, więc to może być ofiara handlu ludźmi. Być może dostrzegła szansę na ucieczkę z kabotażowca płynącego do Niemiec albo Holandii.

– Być może – powiedziała Helle bez przekonania.

– Ale ty w to nie wierzysz?

– Nie. Po pierwsze temperatura wody wynosi obecnie szesnaście stopni, po drugie międzynarodowy szlak żeglugowy biegnie cztery mile morskie od brzegu, a ona nie wygląda na mistrzynię olimpijską w pływaniu. Poza tym w tym konkretnym miejscu jest prąd morski o prędkości dwóch węzłów biegnący na północ, czyli od brzegu. I wreszcie obstawiam, że za cenę bransoletki, którą przy niej znaleziono, można by kupić kilka azjatyckich prostytutek. Dziewczyna jest zadbana. Nie znaleźliśmy w jej krwi narkotyków, nie ma też śladów po strzykawce. Ale nie pasuje do rysopisu żadnej z poszukiwanych osób, sprawdziliśmy to. Jeśli naprawdę myślisz, że wyskoczyła z jakiegoś statku, to możesz zapytać w Komandzie Operacyjnym Marynarki Wojennej. Oni mogą coś wiedzieć.

Lene spuściła wzrok.

– Żałuję, że nie widziałam, jak broniłaś doktorat z oceanografii.

Helle się uśmiechnęła.

– Wykonuję tylko swoją pracę. Wykluczam poszczególne scenariusze. W sensie te najmniej prawdopodobne.

Lene była gotowa szczerze się obrazić.

– Bo uważasz, że sama nie jestem w stanie tego zrobić?

– Oczywiście, że nie. Słyszałam po prostu, że...

Lene już wiedziała, co zaraz usłyszy, i miała ochotę tupnąć w podłogę, to byłoby jednak zbyt dziecinne i niedorzeczne.

– Że co?

Lekarka wbiła w nią wielkie oczy.

– Słyszałam po prostu, że ty i Michael... No, że się rozwodzicie. Więc naturalnie wyszłam z założenia, że masz inne sprawy na głowie. To wszystko. Nie musisz się wkurzać.

– Oczywiście, że muszę. Powiedz, czy cały wszechświat nagle zaczął się interesować moim życiem prywatnym? Skąd o tym wiesz?

Helle wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce.

– Po prostu któregoś dnia wpadłam...

– Przypadkiem na Michaela – dokończyła Lene.

– Tak! Dokładnie tak było. Byłam z dziećmi na mieście. Poszliśmy do kina, a potem spotkaliśmy Michaela i wypiliśmy razem kawę. – Helle aż się uśmiechnęła na to wspomnienie. – A w ogóle to nie wiedziałam, że on ma takie świetne podejście do dzieci. Zabawny jest.

Lene patrzyła na nią osłupiała.

– Zabawny? Michael? Michael Sander? Wciąż mówimy o nim?

Helle się zaczerwieniła, wyraźnie zirytowana. W jej niebieskich oczach pojawił się metaliczny błysk.

– Tak, do diabła. O twoim mężu!

– Posłuchaj, Helle. Michael na nikogo nie wpada przypadkiem. Wszystko ma zawsze zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Gdybyśmy żyli w średniowieczu, byłby pustelnikiem mieszkającym w norze albo na słupie, jasne? Nigdy nie ma ochoty nigdzie wyjść. Nienawidzi podróżyć, bo podróżuje bez przerwy, rozwiązując te swoje dziwaczne zadania. On wręcz nie znosi widoku innych ludzi poza swoją najdroższą siostrą. Wszystkich moich znajomych bez wyjątku uważa za banalnych, drastycznie nieciekawych i nudnych. Przy czym „drastycznie nieciekawi” to jego określenie, nie moje. I teraz nagle stał się maskotką wszystkich? Ciepłym, wrażliwym i... zabawnym?

– Może taki właśnie jest w towarzystwie innych ludzi – odgryzła się Helle ze złością. Popatrzyła na Lene i pokręciła głową. – Wybacz, ale odniosłam wrażenie, że jest mu przykro, że cię traci.

– A dlaczego miałoby mu nie być przykro? – oburzyła się Lene. – Mnie też jest przykro, to działa w obie strony. To całkiem logiczne, że on też cierpi, i może powinien był o tym pomyśleć, zanim... – W tym momencie dostrzegła, że intuicja Helle właśnie się obudziła i zaczyna się rozgrzewać.

– Zanim co, Lene?

– Nic. Ale myślę, że on „zawsze będzie miał Paryż”.

Krokiem sztywnym ze złości pomaszrowała do wyjścia.

Helle patrzyła za nią zrezygnowana.

Lene odwróciła się w drzwiach:

– DNA, odciski palców, zdjęcia?

– Wysłane do Interpolu. Nie jesteśmy opóźnieni w rozwoju, pani inspektor.

– Świetnie. Ale zadzwoń, jeśli się dowiesz, kim ona jest, okej?

Na twarzy Helle malowała się teraz czysta rozpacz.

– To nie wszystko. Zagadek jest więcej, dużo więcej – powiedziała cicho.

– To znaczy?

– Ona karmiła.

– Jak to?

– Ma piersi pełne mleka i przygryzione sutki. Jak mówię: karmiła! Maria de la Reyes, jeśli tak się nazywa, urodziła dziecko dwa, może trzy miesiące temu, a jej poziom hormonów jest taki, jaki powinien być u kobiety, która właśnie została matką. Płód musiał być dość duży, bo miała rozerwane kroczki i była szyta. Przez lekarza. Szwy dawno usunięto.

Wzrok Lene był pusty.

– Co powiedziałaś?

– Że była *matką*, Lene! Miała nowo narodzone dziecko. Czego nie rozumiesz, do diabła? Sama przez to przechodziłaś!

– Matką?

Lekarka popatrzyła na nią zrezygnowana.

– Tak. To był jej pierwszy poród. I ostatni.

Michael postawił walizki na wąskiej ścieżce, prowadzącej przez ogródek. Spojrzał na dużą willę na jej końcu, która kiedyś była domem królewskiej śpiewaczki kameralnej, a potem została podzielona na trzy mieszkania. I w której on z siostrą kupili cały parter. Mieszkali razem półtora roku, zanim Michael ożenił się z Lene.

Wówczas Ida większość czasu poświęcała na opłakiwanie zmarłego dwudziestoletniego syna oraz wymyślanie twórczych sposobów na odebranie sobie życia, o ile akurat nie leżała na oddziale psychiatrycznym. Michael z kolei poświęcał swój czas na przeszkadzanie jej w dopięciu swego.

Ale to było dawno temu. Teraz jej stan był stabilny. Ida czuła się dobrze. Pracowała jako chirurżka okulistka w Rigshospitalet i miała partnera, który ją ubóstwiał. I z którym tak naprawdę już dawno powinna zamieszkać. Razem budowali jacht i zamierzali któregoś dnia opłynąć nim ziemię.

Michael dłonią zasłonił oczy przed słońcem. Czuł się, jakby z powrotem wprowadzał się do rodziców. Jak przegryw.

Ida siedziała w kuchni i czytała gazetę. Mocno go przytuliła, a on długo ścisnął jej drobne ciało. Pachniała kawą. Potem odsunęła go na odległość wyprostowanych rąk, żeby mu się uważnie przyjrzeć. Miała granatowe oczy, tak jak on. Tylko jej były większe i nieuleczalnie melancholijne, jak oczy Lene. Jak oczy każdego, kto stracił dziecko.

– Kawy?

– Chętnie.

Usiadł przy stole, a ona się krzątała.

– Nowe zasłony – zauważył.

– Podobają ci się?

– Tak. Dlaczego nie zamieszkas z Johnem? I tak ciągle u niego przesiadujesz. Zaoszczędziłabyś...

– Bo lubię tu być. Lubię mieć czas i przestrzeń dla siebie i cieszę się, że z powrotem się wprowadzasz, braciszku. Teraz moja kolej trochę się o ciebie zatroszczyć. Bardzo tego chcę.

Mówiła niskim, gardłowym głosem i rolowała „r”. Od dziewiętnastego roku życia mieszkała w Izraelu i przez ten czas mówiła niemal wyłącznie po hebrajsku.

– Tak, to cudownie. Dzięki – odburknął.

Uśmiechnęła się do niego.

– Skoro nie może być inaczej. Wyrzuciłam twój stary materac i kupiłam ci nowe łóżko. Prawdziwe. I nową szafę.

– A zasłony?

– Zasłony z konikami. Kucykami.

– Ale... z kucykami?

– Jezu, żartowałam. – Postawiła przed nim kubek kawy i uśmiechnęła się niewinnie. – I upiekłam dla ciebie cynamonki.

– Ido... jestem twoim starszym bratem, nie pensjonariuszem domu starców, którego odwiedzasz, jasne?

– Dobrze już, dobrze. Spróbuj.

Ugryzł jeszcze ciepłe ciastko. Zaskakująco smaczne.

Tak naprawdę był jej wdzięczny za troskę.

Ida usiadła i patrzyła na niego wyczekująco, a on popił kawą i zapchał usta resztą ciastka.

– I co? Dogadaliście się? – nie wytrzymała.

Michael potrząsnął głową i przeżuł, zanim odparł:

– Zadzwoiła szefowa Lene i ta od razu wpadła w trans. Sądzę, że Charlotte Falster dysponuje czymś w rodzaju hasła do jej podświadomości, które sprawia, że Lene robi rzeczy, których później nie pamięta.

– Jak w tym filmie *Przeżyliśmy wojnę*? Gdzie on ma zabić prezydenta?

– Dokładnie. W każdym razie musieliśmy to przełożyć. A jak idzie z waszą łódką?

Chłopak Idy był skutnikiem i miał własną pracownię na południu Zelandii.

Jej oczy się rozpromieniły i sięgnęła po swój telefon.

– Sam zobacz. Nie uwierzysz!

Usiadła obok niego i przerzucała całą galerię zdjęć eleganckiej dwunastometrowej klasycznej żaglówki.

– Brakuje tylko masztu i możemy pożeglować w stronę zachodzącego słońca, mój luby i ja.

Michael dokładnie oglądał każde zdjęcie.

– Siostrzyczko, to jest niesamowicie piękne. John naprawdę sam ją zbudował?

– Mhm. Ma niebywale sprawne dłonie.

Zaczerwieniła się, gdy poczuła na sobie jego pełen dezaprobaty wzrok.

– To najwspanialsza rzecz na świecie. Jutro urządzamy chrzest. To ponoć strasznie uroczysty i skomplikowany obrzęd, obejmujący deklamację długich poematów na cześć Posejdona i złożenie obfitej ofiary z dobrego wina. Przyjdziesz?

Odłożył telefon. Cieszył się jej szczęściem. I jej zazdrościł.

– Raczej nie. Nie jestem w tej chwili najlepszym kompanem. Zepsułbym wam zabawę. A łódce chrzciny. Ale dzięki. Jak się będzie nazywać?

– Ida, oczywiście. To rodzaj nieśmiertelności i traktuję to bardzo poważnie. Poza tym to cudownie krótkie imię, co jest bardzo praktyczne, kiedy trzeba wysłać komunikat *mayday*, jak mówi John.

– Jasna sprawa. Dobrze pomyślane.

Wstała i szybko zaczęła sprzątać ze stołu. Jej ruchy były zwinne i energiczne. Wszystko tak właśnie robiła.

– Muszę lecieć do pracy na nockę, a jutro rano prosto ze szpitala jadę do Johna. Zadzwon, gdybyś czegoś potrzebował, okej? Masz jakieś pieniądze?

– Tak się składa, że pieniądze nie stanowią problemu. Bertram Monell był bardzo szczodry. Przez jakiś czas nie muszę pracować. Mogę po prostu... no wiesz...

– To było w Kaszmirze, prawda?

Michael się skrzywił.

– W dziurze o nazwie Bata Pora. Jest tam więzienie okręgowe z wczesnych wieków średnich i Drugi Krąg Piekła. Miejsce przygnębiające niczym Horsens.

Tak naprawdę go nie słuchała, sprawdzała esemesy. Teraz podniosła głowę.

– A w ogóle ostatnio pewien młody człowiek bez przerwy dzwonił i pytał o ciebie. Był bardzo grzeczny i smutny. Nie wiem, skąd wiedział, że jesteśmy spokrewnieni, ale ogromnie mu zależy, żeby z tobą pomówić.

– Wiesz, jak się nazywa?

– Jacob Winther. Dam ci jego numer. Może znajdziesz dla niego czas. – Zapisała cyfry na żółtej karteczce.

– Mówił, o co chodzi? – spytał Michael bez widocznego zainteresowania.

– O Bettinę Horst.

Uśmiechnął się ironicznie.

– O Bettinę Horst. Może chce również, żebym przy okazji złapał Potwora z Loch Ness albo oskórował yeti?

Ida popatrzyła na niego bez cienia uśmiechu.

– O tym nie wspominał. Ale wydawał się zdesperowany. W taki cichy, budzący respekt sposób. Chyba cię to nie zabije, jeśli z nim porozmawiasz?

– Nie, ale gwarantuję ci, że to jakiś student dziennikarstwa na stażu, któremu redaktor truje dupę. Mamy w końcu sezon ogórkowy, nieprawdaż? Sprawa Horst jest nie-roz-wią-zy-wal-na, Ido. To dorosła Madeleine McCann. Nigdy nie zostanie odnaleziona, ponieważ jest pyłem. Pyłem, rozumiesz? Jest tym, z czego są zrobione sny. A raczej koszmary. To zbrodnia doskonała.

Ida uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Nie unoś się tak, braciszku. I zadzwoń do niego, okej? Obiecałam mu, że to zrobisz. I moim zdaniem on nie brzmiał jak dziennikarz.

Michael westchnął.

– Dobrze, mamó.

Kiedy pomachał jej z okna kuchennego i usłyszał, jak zapala swoje porrsche, zabrał walizki i zaniósł je długim korytarzem do swojego dawnego pokoju.

I osłupiał.

Łóżko było w porządku. Nowa garderoba z Ikei też ujdzie, ale na zasłonach w nieskończoność powtarzały się figurki z uniwersum My Little Pony, białe, złote i różowe. Powtarzały się też na pościeli.

Michael usiadł na brzegu łóżka i ukrył twarz w dłoniach. Nie wytrzyma tej ciszy. Ani tej, kurwa, pustki.

Natychmiast postanowił, że będzie pracował za free dla pierwszej osoby, która mu wyznaczy zadanie prawie niemożliwe, żeby choć przez jakiś czas nie musieć się skupiać na własnym życiu.

Biurowy krajobraz, jaki się rozciągał wokół ich małej dziupli, był niemal wyludniony, ale Lene nie czuła potrzeby wracać do domu. Jej otyły czterdziestokilkuletni asystent, geniusz informatyczny Bjarne, siedział przy biurku zasypanym elektronicznymi gadżetami i instrumentami. Miał na nosie okulary ze szklami powiększającymi i wystawiając kącikiem ust czubek języka, lutował coś na płytce drukowanej wielkości znaczka pocztowego. Ponoć nadal mieszkał z matką, ale tak naprawdę wydawało się, że nigdy nie opuszczał biura.

Lene siedziała z nogami na biurku, ręce splotła na karku i patrzyła na jarzeniówkę na suficie.

– Bjarne, ona niedawno rodziła. W sensie... Chryste...

– Tak... to...

Zerknęła na niego przez ramię.

– Co ty właściwie robisz?

– Prezent.

– Dla kogo?

– Dla ciebie.

– Teleporter? Przyda mi się.

Bjarne spojrział na nią znad okularów.

– Pewnie tego nie zrozumiesz, ale jest to wzmacniacz kluczy. Nagrywa i kopiuje unikatowy sygnał radiowy elektrycznego klucza do samochodu z odległości do dwustu metrów. Więc zasadniczo możesz nim otworzyć dowolny nowoczesny samochód, jeśli w pobliżu znajduje się prawdziwy klucz. Na przykład jeśli jest w domu, przed którym stoisz. Na Amazonie można to kupić za siedemnaście dolarów, ale mój ma lepszy zasięg.

Nie odrywała od niego wzroku.

– Czasem pozwalałam sobie wierzyć, że wreszcie odkryłam, kim ty jesteś, ale wtedy mówisz albo robisz coś, co mi uświadamia, że nie jestem nawet blisko. A w ogóle rozmawiałeś z Michaellem?

– Nie... ostatnio nie. A co?

– Niech cię Bóg błogosławi. Nic takiego. Powiedz, po jaką cholerę mielibym zacząć kraść samochody? Bo chyba wiesz, że oboje pracujemy w po-

licji, prawda?

– Tak, to widać na pasku z wypłaty. Pomyślałem po prostu, że jeśli któregoś dnia będziesz w tarapatkach... Chociaż zasadniczo jesteś w nich bez przerwy... To coś takiego może się okazać całkiem przydatne.

Wręczył jej gotowy produkt.

– Dziękuję, Bjarne.

Chwilę poobracała to coś w ręce i schowała do kieszeni. Potem otworzyła w komputerze Google Earth, zajrzała do wstępnego raportu z Okręgu Środkowo-Zachodniej Zelandii i zaznaczyła miejsce znalezienia dziewczyny, jakieś dwa kilometry od brzegu w plantacji leśnej niedaleko wsi o nazwie Skippinge.

Powiększyła odpowiedni fragment wybrzeża i przygryzła ołówek. Na północny zachód od Nekselø widoczna była brązowo-zielono-żółta plama w kształcie przecinka. Po jej wschodniej stronie widać było port w kształcie podkowy wychodzący na zatokę Sejerø.

– To Virkø. Prywatna wyspa – oznajmił Bjarne z za jej pleców.

– Powiedz, jest coś, czego nie wiesz?

– Skąd miałbym wiedzieć? – uśmiechnął się. – Wyspa należy do Monella. Kupił ją, zdaje się, pod koniec lat dziewięćdziesiątych.

– Bertrama Monella?

– Tak, tego wizjonera – przytaknął jej asystent. – Oczywiście o wielu się tak mówi, ale Monell naprawdę jest wyjątkowy. To geniusz. Dostał się na Duński Uniwersytet Techniczny, kiedy miał czternaście lat, a gdy skończył osiemnaście, wysłali go to Stanów do Massachusetts Institute of Technology. Pierwszy kod napisał jako ośmiolatek i ten kod wciąż jest w użyciu, w swojej oryginalnej formie. Służy do obliczania optymalnej nawigacji po wielkim okręgu na międzykontynentalnych szlakach powietrznych i morskich. Tak naprawdę nawigacja niespecjalnie go interesowała. To było przypadkowe, ale bardzo zgrabne i skuteczne rozwiązanie klasycznego problemu matematycznego.

– A dlaczego nawigacja po wielkim okręgu?

– Dlatego, że ziemia jest okrągła, Lene.

– Co ty powiesz?

Bjarne zacisnął wargi. Najwyraźniej gdy chodziło o Bertrama Monella, frywolne komentarze były niedopuszczalne.

– To oznacza, że najkrótsza odległość między dwoma punktami na kuli to nie będzie linia prosta, jeśli te punkty są od siebie znacznie odległe. Jeśli na

przykład masz lecieć z San Francisco do Tokio, to żeby optymalizować czas i prędkość, chcesz przecinać równoleżniki pod takim samym kątem. Jego program, obliczając najkrótszy tor lotu, uwzględnia zaokrąglenie globu, a to pozwala zaoszczędzić czas i paliwo, tego chcą wszyscy. Oczywiście wiadomo o tym od czasów Galileusza, ale Monell stworzył odpowiedni program. Używają go zresztą również statki. I satelity. Dla większości ludzi takie osiągnięcie to byłoby aż nadto, ale dla niego to był ledwie początek. Jak mówię, miał dopiero osiem lat.

– Jeden z twoich bohaterów? – domyśliła się.

– W sumie można powiedzieć, że tak.

To, co właśnie usłyszała, było bodajże najdłuższą spójną wypowiedzią, jaką kiedykolwiek uraczył ją Bjarne.

– I kupił sobie wyspę – dodała.

– Najwyraźniej.

Powiększyła małą wysepkę, która mogła mieć długość jakichś trzech kilometrów, a w najszerszym miejscu mierzyć niecałe półtora. Była wciśnięta w moreny epoki lodowcowej, a jej najwyższy punkt, Ørredbakken, wznosił się na sześćdziesiąt cztery metry nad poziom morza. Teren na zachodzie wyspy został wypłaszczony pod uprawę ziemi. Nieliczne gospodarstwa zrównano jednak z ziemią. Z pól pozostało kilka i wyglądały na pozostawione odłogiem. To, co musiało stanowić rezydencję Monella, było rzędem niskich ciemnoszarych budynków z płaskimi dachami, połączonych ścieżkami i zadaszonymi pasażami. Domy zostały tak zgrabnie wkomponowane w bujną roślinność i nierówny, pofałdowany teren, że na zdjęciach satelitarnych ledwie było je widać. Z budynków w stronę równiny na północ od Ørredbakken biegła szutrowa droga. Przed domami ciągnął się długi ogród przecinany wijącym się ciekim wodnym. Ogród był geometryczny, ale jego porządek tu i ówdzie zaburzały rabaty i małe zagajniki.

W przystani cumowała ogromna biała łódź motorowa oraz mniejsze łódki i pontony. Miejsce wyładunku stanowił otwarty, wyasfaltowany plac oraz kilka czerwonych drewnianych bud i rusztowań do suszenia ryb. Od portu w głąb zarośli ciągnął się dobrze utrzymany płot z siatki.

Wyspa sprawiała wrażenie niedostępnej fortecy, której mieszkańcy fanatycznie strzegą swojej prywatności. Nie było tam żadnego hostelu, żadnych ogólnodostępnych pomostów do kąpieli, pól namiotowych czy stanic harcerskich. Samochodów zresztą też nie.

– Pomyśl, jak by to było mieć własną wyspę – rozmarzona zwróciła się do Bjarnego. – To dopiero musi być spokój.

Bjarne w swoich nieśmiertelnych cichobiegach podszedł do niej bezszelstnie i zajrzał jej przez ramię.

– Jest w tej chwili sporo greckich wysp na sprzedaż po okazyjnej cenie – powiedział cicho.

– Mam na karcie zadłużenie rozmiarów biblijnych – wyznała.

– Nie sądzę, żeby w czasach biblijnych mieli karty kredytowe. Celników, jeśli już.

– Przymknij się, Bjarne.

– Jeśli chcesz wiedzieć, co się tamtej nocy działo na wodach terytorialnych, to mogę zadzwonić do Komanda Marynarki Wojennej i BELTREP-u w Korsørze – zaproponował. – To dla nich pestka powiedzieć nam, jakie jednostki żeglowały w kwadrancie między Nekselø a Virkø.

Lene pokiwała głową.

– Oczywiście, że chcemy to wiedzieć. Ja mogę zadzwonić do BELTREP-u.

Następnego dnia po południu Lene stała w słońcu na środkowym moło w Havnsø i jadła loda, czekając na łódź, która miała ją zabrać na wyspę Virkø. Wszystko udało się załatwić zaskakująco szybko i sprawnie jednym telefonem do głównej siedziby koncernu Monella w Bagsværdzie. Z tego, co powiedzieli, pan Monell rzadko opuszczał wyspę, ale może przyjąć ją u siebie, jeśli Lene nie zajmie mu zbyt wiele czasu.

Daleko na horyzoncie widać było zarys wyspy, rozmazany na połyskującej tafli morza.

Lene nie wiedziała, czego się spodziewać, więc na wszelki wypadek zza ciemnych okularów obserwowała małą klasyczną motorówkę Riva, która pojawiła się w wejściu do portu i zbliżała się, omijając sprawnie cumujące w przystani żaglówki, na których krzątały się całe żeglarskie rodziny w letnich strojach. Opalony młody mężczyzna za sterem wskazał na nią i coś zawołał. Pomachała mu i zeskoczyła na pomost, kiedy łódka do niego podpłynęła.

Cylindry silnika dudniły na niskich obrotach. Mahoniowy kadłub błyszczał jak fortepian, cała łódź olśniewała wypolerowaną stalą nierdzewną i

kremową skórą, a mężczyzna za kierownicą wyglądał jak ratownik z Saint Tropez.

– Inspektor Lene? – zawołał, wymawiając nazwę jej stopnia z francuskim akcentem, jak *inspecteur*.

– *Mais oui* – mruknęła, złapała jego opaloną dłoń i weszła na pokład. Mężczyzna uśmiechnął się i wręczył jej białą jedwabną chustkę.

Wskazał na własne długie czarne włosy, a Lene popatrzyła na apaszkę z niedowierzaniem. Czy on ją wziął za Grace Kelly? Ostatecznie wzruszyła ramionami, zawiązała chustkę na głowie, poprawiła okulary i skinęła na znak, że jest gotowa.

– Rafael – przedstawił się uroczyście.

– Lene.

– Okej, *on y va*.

Silnik obudził się z rykiem i Lene musiała się przytrzymać przedniej szyby, gdy Rafael z olśniewającym uśmiechem ostro zawrócił łódkę. Kiedy pchnął do przodu dźwignię gazu, motorówka uniosła się na rufie, tryskając z tyłu chmurą drobnych kropel.

Lene zorientowała się, że uśmiecha się od ucha do ucha. Z powodu prędkości, słońca na twarzy, morskiej bryzy i pięknej, opływowej łódki. Jakby nagle znalazła się w jednym z tych ponadczasowych filmów z Carym Grantem, które uwielbiała.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na kilwater, który za rufą rozpościerał szeroko białe skrzydła, i przy okazji zerknęła ukradkiem na harmonijny męski profil Francuza. Założył swoje ray bany i patrzył wprost przed siebie, ale najwyraźniej poczuł na sobie jej wzrok, bo odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej wesoło. Lene popatrzyła jeszcze na jego umięśnioną szyję i żyły, wijące się pod cienką opaloną skórą.

„Gdyby tak mieć dwadzieścia lat mniej”, pomyślała.

Kiedy dziób podskoczył na fali, z dekoltu jego koszulki polo wysunął się krzyżyk, a na prawym ramieniu mężczyzny Lene dostrzegła trójkątny tatuaż: czarną wielkooką sowę otoczoną słowami: LEGIO PATRIA NOSTRA.

Wskazała na tatuaż:

– *What does it mean?* – spytała.

Mężczyzna spojrzał na miejsce, na którym zawiesiła wzrok, i jego twarz stała się zdystansowana i zamknięta.

– *The Legion is my country* – odparł. – *Still is.*

– *The Foreign Legion?*

Wzruszył ramionami.

– *It says what it says, madame.*

Temat zamknięty.

Świetnie znała tę niewypowiedzianą zmianę od uprzejmej otwartości do chłodnego dystansu. Uświadomiła sobie też, że młody Francuz przypominał jej o dwadzieścia lat młodszego Michaela Sandera. Tak bardzo, że mógłby być jego synem.

Zawiązała ciaśniej chustkę pod brodą i do końca przeprawy milczała.

Virksom wyłoniła się z wody i Lene zaczynała rozróżniać szczegóły. Od południa do wyspy przybijała barka załadowana długimi białymi walcami. To mogły być tylko elementy turbiny wiatrowej – chyba że Bertram Monell budował sobie prywatną wyrzutnię rakiet. Barka powoli wpływała do portu. Wyspa była wyższa, niż Lene się spodziewała, żyzna i zielona, a bujna roślinność sprawiała wrażenie nieprzebytej dżungli.

Za pierwszym granitowym mołem cumował jacht większy od każdej prywatnej jednostki pływającej, jaką Lene w życiu widziała. Miał kilka pokładów, chodniki, schodki i platformy z drewna tekowego. Na rufie stał duży, zasłonięty gumowy ponton i motocykl. Wysoko nad śnieżnobiałą nadbudową wnosiły się maszty oświetleniowe i dwie olbrzymie kopuły anten satelitarnych.

Położyła dłoń na ramieniu francuskiego sternika i spytała:

– *Is it Monell's?*

Chłopak przytaknął z powagą.

– *Oui, c'est l'Aragon.*

Sunęli w cieniu rzucanym przez ogromny jacht. Jego kadłub nie miał końca. Lene pomyślała, że mógłby służyć za prom. A potem zaraz skupiła uwagę na wysokiej szczupłej postaci, która czekała na środkowym molu.

Sternik rzucił mężczyźnie cumy, a ten złapał je w locie. Potem Francuz przerzucił przez burtę obijacze i mężczyzna przyciągnął łódkę do mola i przywiązał Riwę do słupka cumowniczego. Choć zasadniczo nie potrzebowała pomocy, Lene wydało się naturalne, że przyjęła dłoń Rafaela i zeskończyła na ląd.

– Monsieur Monell – Rafael cichym głosem przedstawił mężczyznę na molu i sam został przy łódce, prosty jak struna i wyglądający jak żołnierz, który zaraz zasalutuje.

– *Thanks for the trip* – rzuciła Lene w jego stronę.

O przemysłowcu i wynalazcy, który choć cieszył się światową sławą, wolał żyć na uboczu, przeczytała wszystko, co było do przeczytania. Okazał się wyższy i szczuplejszy, niż można było wywnioskować ze zdjęć w prasie.

– Inspektor policji Lene Jensen – przedstawiła się z uśmiechem.

Monell grzecznie odwzajemnił uśmiech, zmierzył ją z góry na dół matowymi, stalowoszarymi oczami i postanowił zaprosić do swego królestwa.

– Bertram. – Miał mocny i suchy uścisk dłoni. Znow się uśmiechnął i zaraz jego twarz ponownie przybrała wycofany wyraz.

Na małej wyspie było chłodniej niż na Zelandii, skąd przypłynęła. Monell miał na sobie polar z kapturem, koszulę z jasnego lnu i czarne spodnie jak do aikido. Na stopach nosił niezasnurowane buty trekkingowe.

– Przejdźmy się kawałek ogrodem – zaproponował. – O tej porze prezentuje się najlepiej.

Lene nie była jednak pod wrażeniem, kiedy dotarli do wiklinowego ogrodzenia wokół ogrodu Monella.

Chociaż ciemnoszare budynki, werandy i zadaszone pasáže dobrze się komponowały z pofałdowanym terenem, częściowo nasłonecznione, a częściowo skryte w cieniu wysokich gęstych drzew i dzikich zarośli, to sam ogród, paradoksalnie był niemal pozbawiony roślin. Stanowiły go szerokie piaszczyste ścieżki, pedantycznie przycięte, wyglądające jak bonzai krzewy, małe zagajniki szepczących i skrzypiących bambusów i dwie wysokie otwarte japońskie konstrukcje przypominające rodzaj łaźni albo świątyń, wyłożone pięknym szarym drewnem cedrowym. Od strony domów aż po duże mokre otoczaki przy plaży meandrował wąski ciek wodny. W równych odstępach ogród wypełniało dziwne westchnienie. Lene dostrzegła bambusową rurkę, która kłaniając się, wylewała wodę do strumyka poniżej z kliknięciem i tymże charakterystycznym jękiem. Jak żywa istota cierpiąca na nieuleczalny ból istnienia.

W geometrycznym środku ogrodu na placu w kształcie gwiazdy, na którym drobny piasek zagrabiono w powtarzające się wzory, wznosiła się miniatura góry Fudzi.

Monell schylił się i podniósł z ziemi listek. Nim ruszyli dalej, schował go do kieszeni.

Lene wskazała na wysokie drzewa liściaste rosnące za domami.

– Co ty poczniesz jesienią?

– Ogród jest odkurzany dwa razy dziennie – uspokoił ją Monell. – Co o nim myślisz? Od piętnastu lat pracuję nad nim niemal codziennie.

– Jest fantastyczny – skłamała. – Niewiele w nim pozostawiono przypadkowi.

Monell zerknął na nią z boku i jego twarz nieznacznie się skrzywiła. Zraz jednak wąskie wargi ponownie wygięły się w gościnnym uśmiechu.

– „Przypadek” to nie jest moje ulubione słowo – przyznał. – Wszystko się zgadza.

Zatrzymał się przy niskim kopczyku porośniętych mchem kamieni. Między dwoma z nich wyrastał pojedynczy fioletowy kwiatek o delikatnych wydłużonych liściach.

– Mam dwa kwiatki, Lene. Ten, to sumire. Jego nazwa oznacza kałamarz. To japoński kwiat zimowy. Bardzo rzadki. Mam szczęście, że udało mi się go tu wyhodować.

Lene kiwała głową i uśmiechała się, aż rozbolała ją szczęka.

– Bardzo ładny – pochwaliła.

Monell prowadził ją dalej wąską ścieżką na kamieniste nagie wzgórze. Tam wskazał na drugi kwiat w swoim ogrodzie.

– Ume – zaprezentował. – Symbolizuje wiosnę. Tego, że oba kwitną w tej chwili, nie da się oczywiście racjonalnie wytłumaczyć. Genetycznie są dopasowane do flory Hokkaido, tamtejszego klimatu i ogólnych warunków życia.

– Ale te tutaj nie wiedzą, gdzie się znajdują?

– Dokładnie. I dopóki ktoś im tego nie powie, czują się tu świetnie. Choć żyją w pewnym zakłamaniu, można by rzec.

Lene pokiwała głową i przyjrzała się rachitycznemu, małemu czerwona-wemu kwiatkowi o żółtych pręcikach. Jej matka w Vordingborgu zawsze grzebała w ziemi w przyaptecznym ogródku, ale ona sama nigdy tej pasji nie rozumiała.

– Co się stało z latem i jesienią? – spytała zamiast tego.

– To w jakimś sensie pory roku, które niczego nie wnoszą – wyjaśnił cicho i spojrzał na nią. – Śmierć i zmartwychwstanie, koniec i początek. Czy nie wokół tego wszystko się kręci?

Wyjął z kieszeni listek i popatrzył na niego oskarżycielsko, zanim z powrotem go schował.

– Chyba tak – odpowiedziała równie cicho.

Monell miał ruchy szybkie, oszczędne i energiczne, jakby każdy dokładnie zaplanował.

„Jest jak niestrudzona mrówka”, pomyślała Lene.

Zatrzymali się przed okrągłym zagajnikiem wysokich grubych bambusów, których czubki spotykały się wysoko nad ich głowami, tworząc wejście do pomieszczenia o żywych, trzeszczących ścianach.

– Tam leżą moja żona i syn – oznajmił gospodarz.

Lene popatrzyła na niego i zabrakło jej słów.

On gestem zaprosił ją do środka.

Na idealnie okrągłym piaszczystym klepisku znajdowały się dwa proste kamienie nagrobne. Lene przeczytała inskrypcje.

– Mój syn Silas zmarł w zeszłym roku – wyjaśnił Monell. – Żona nie żyje od czterech lat... jak widzisz.

Stał chwilę i patrzył w milczeniu na kamienie. Ręce bezużytecznie zwiślały mu po bokach. Twarz była nieprzenikniona, chociaż z całej jego postaci biła aura nieuleczalnej samotności.

Lene pomyślała, że widocznie nie wszystko da się kupić. Ten człowiek wyglądał, jakby cierpiał stratę. A może chciał po prostu połączyć się ze zmarłą rodziną?

– Przykro mi – wydukała.

– Słucham? Ach, tak. To prawda, sądziłem, że to oznacza koniec rodu Monellów. Byłem tego wręcz pewien. Na szczęście los chciał inaczej. Swój cud sprawił, że pojawiło się dziecko. Ty masz dzieci?

– Nie.

– Szkoda. Dzieci zapewniają jakiś rodzaj nieśmiertelności – stwierdził miliarder.

– Tak słyszałam. – Lene opuściła szumiący grobowiec, wypełniony głosami starych bambusów.

Kiedy dotarli do pierwszych zabudowań, odsunęła okulary na głowę.

– Piękna architektura – pochwaliła. – Uważam, że te budynki fantastycznie się komponują z krajobrazem.

Monell uśmiechnął się uprzejmie, ale wydawał się zamyślony. Przystanął obok niej i przyjrzał się swojej rezydencji.

– To piękna wyspa – przyznał. – Wymaga szacunku i my, którzy ją chwilowo zamieszkujemy, nie powinniśmy zakłócać jej spokoju. To samo dotyczy ogrodu. Próbowaliśmy chyba z pięciu albo sześciu międzynarodowych

firm architektonicznych, zanim znaleźliśmy taką, z której usług mieliśmy odwagę skorzystać. Moja żona miała niezwykle pewne i krytyczne oko.

– Była architektką?

– Tkaczką.

W głąb zбочa wcinął się spory budynek. Z tego, co było widać, nie miał okien. Z wnętrza dobiegało ciche buczenie klimatyzacji. Budynek miał rozmiary biblioteki publicznej albo muzeum. Skośny dach był strzelisty i odstawał od ścian niczym skrzydła, jak w pagodzie.

– Nie ma tam okien?

Monell zawahał się i spojrział na zegarek. Potem wzruszył ramionami i łypnął na nią z boku szarymi matowymi oczami.

– Tam trzymam swoje eksponaty. Źle znoszą światło słoneczne, mówiąc łagodnie. Promienie ultrafioletowe. Masz czas i ochotę je obejrzeć? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz kogoś tam zaprosiłem. Tak naprawdę sam dawno tam nie zachodziłem. Przez wiele lat zatrudniałem emerytowaną polską konserwatorkę, która doskonale się nimi zajmowała, ale niestety zmarła w zeszłym roku.

– Przykro mi. I tak, bardzo chętnie je obejrzę.

– Tylko zanim wejdziemy do środka, muszę cię ostrzec, że niektóre z artefaktów mogą budzić niepokój ludzi o większej wrażliwości.

– Nie jestem szczególnie wrażliwa – zapewniła go Lene.

– Doskonale.

– Dlaczego Japonia?

– To porządni ludzie – odparł z powagą. – Przed trzydziestką poleciałem tam ze Stanów i spędziłem rok w japońskiej wiosce u stóp góry Shiomi. Miałem dość biznesu, targowania się i faszeringowania ludzi elektroniką, jakby byli gęsiami ze Strasburga. Nabrałem pewnego rodzaju świadomości i zwyczajnie miałem tego dość. Przynajmniej na jakiś czas. – Spuścił wzrok. – Nie będę się wybielać. Wróciłem do biznesu i elektroniki użytkowej na wielką skalę, ale nigdy nie zapomniałem czasu spędzonego w Japonii. Przez większość tamtego roku na Hokkaido studiowałem klasyczne ogrody. W mieście działało wiele tradycyjnych warsztatów, gdzie rzemieślnicy obrabiali swoje narzędzia w sposób, w jaki robili to od czasów europejskiego średniowiecza. Pod wieloma względami czas się tam zatrzymał. Większość mieszkańców, bez względu na zawód czy wiek, wykorzystywała każdy dzień i każdą godzinę życia na doskonalenie tego, czym się zajmowała. Dotyczyło to wszystkich, od dzieci w wieku szkolnym aż po cerami-

ków, tkaczy i kowali. Było to niesłychanie inspirujące. Zwłaszcza dla kogoś, kto pochodził z kraju, w którym przeciętność przyjmuje się jako oficjalny standard. Co ma, oczywiście, zarówno dobre, jak i złe strony. Choć moim zdaniem przeważają te negatywne, ponieważ takie podejście zakłada, że wszyscy ludzie są zasadniczo tak samo wartościowi, mają identyczny potencjał, co jest skrajnie nieprawdziwe. Tak bardzo się skupiamy na wyřęczaniu słabych, że unicestwiamy zdolnych.

– Rozumiem – powiedziała chłodno Lene.

Ruszyli szerokimi drewnianymi schodami i weszli w cień wygiętego, rozłożystego dachu. Lene skuliła się z zimna, tymczasem Monell wstukał kod do elektronicznego zamka i wysokie drewniane drzwi otworzyły się bezszelestnie, wpuszczając ich w niemal nieprzebraną ciemność. Żeby wyrównać różnicę ciśnienia w uszach, Lene musiała zacisnąć nos palcami.

W ogromnej przypominającej kościół przestrzeni panował charakterystyczny zapach. Chwilę trwało, nim rozpoznała woń Zakładu Medycyny Sądowej.

– Formalina?

Siwa głowa Monella skinęła potwierdzająco. Jego sylwetka w ciemnym ubraniu była prawie niewidoczna.

– Przyznaję, to dość agresywny zapach – odezwał się bezcielesny głos miliardera. – Wiele eksponatów liczy sobie kilkaset lat i zastosowano tu wszystkie znane metody konserwacji. Próbuujemy naprawiać albo wymieniać nieszczelne pojemniki, ale to niezwykle kruche artefakty. Potrafią się obrócić w proch, nawet w rękach zdolnych konserwatorów.

– Czyli to nie ty osobiście je tu zgromadziłeś?

– Pierwszy Monell pojawia się w kościelnych księgach w wieku dwunastym. W Aragonii w Hiszpanii. Niemal w każdym pokoleniu byli zapaleni zbieracze i przyrodnicy. To, co tu widzisz, to bardziej gabinet osobliwości niż muzeum i choć regularnie zgłaszają się do nas uczeni najbardziej znanych uniwersytetów, nie udostępniamy naszej kolekcji nikomu. Ktoś postronny nie zrozumiałby naszych zasad czy naszej idei.

– Którą jest?

– Badanie i konserwacja niedoskonałości.

Pstryknął kontakt i pomieszczenie się powiększyło, gdy z ukrytej w suficie armatury wylało się złote światło.

Lene mimowolnie otworzyła usta, na szczęście szybko się zreflektowała. Rzędy identycznych eleganckich szklanych witryn z ciemnego drewna cią-

gnęły się przez całą salę i niknęły gdzieś w głębi. Pomyślała, że widoczna część budynku stanowiła tylko jego ułamek, reszta była wbudowana w zbrocze góry.

– Dlaczego nie?

– Słucham?

– Dlaczego mieliby tego nie zrozumieć?

Uśmiechnął się zamyślony.

– Większość kolekcji ma na celu znalezienie i zaprezentowanie najlepiej zachowanych egzemplarzy w danej kategorii, od próbek geologicznych po rzeźby. Luwr raczej by nie wystawiał Mony Lisy, gdyby brakowało połowy płótna, albo gdyby da Vinci w chwili szaleństwa postanowił domalować Lisie Gherardini wąsy.

– Pewnie nie – przyznała.

– A my byśmy to rozważyli. I to czyni naszą kolekcję wyjątkową. Moi przodkowie zajmowali się tym, co niekompletne i zdeformowane. Niefortuną wariacją na temat dzieła stworzenia boskiego albo ludzkiego. Kulturowali wszystko, co poszło nie tak, innymi słowy. Bardzo nie tak.

– Po co?

Miliarder uśmiechnął się i schował ręce do kieszeni.

– Szalenie dobre pytanie, ale dziś nie sposób na nie odpowiedzieć. To się stało rodzinną tradycją. Domyślam się, że mutacje i wynaturzenia miały być rodzajem ostrzeżenia, jak memento dla przyszłych pokoleń, aby stale dążyć do perfekcji, ale również ukazaniem niezwykle cienkiej granicy między tym, co udane, a tym, co jest porażką. Może przejdziemy dalej?

Lene milcząco przytaknęła. Od tego zapachu rozboleła ją głowa i zrobiło jej się niedobrze. Słyszeć było tylko ich kroki na podłodze z ciemnego lakierowanego drewna i buczenie klimatyzacji. Powietrze było chłodne i suche – jak właściciel tego przybytku.

Monell zaprowadził ją do pierwszej alejki między gablotami wysokości człowieka i Lene mimowolnie się uśmiechnęła na widok feerii barw i piękna, które się przed nią rozpostarło. Nie wiedziała, czego oczekiwać, ale na pewno nie spodziewała się tego: tysiący starannie rozłożonych i przymocowanych do grubych, starych korkowych podstawek motyli o skrzydłach cienkich jak woal i we wszystkich możliwych kolorach, kształtach i odcieniach.

Popatrzyła oniemiała na kustosza tego muzeum:

– Ależ one są cudowne!

Monell odsłonił zęby w połowicznym uśmiechu i uprzejmie pokiwał głową. Potem długą ręką sięgnął po lupę zamontowaną na mosiężnej ramie biegnącej wzdłuż całego rzędu witryn. Umieścił ją przed okazem o tygry-sich paskach i nazwie *Dryadulaphaetasia*.

Lene z zachwytem przyglądała się rzadkiemu motylowi przez szkło powiększające.

– Prawe skrzydło, na środku – mruknął jej Monell prosto do ucha i wskazał kościstym palcem. – Tu widzimy odstępstwo. Środkowy czarny pasek się załamuje i wygina. To błąd. Aberracja.

– Nieprawda, jest piękny – zaprotestowała.

Mężczyzna zaśmiał się cicho i wzruszył ramionami.

– Możliwe. Ale ten samiec nigdy nie znalazł pary, to oczywiste. Samica natychmiast zobaczyłaby ten przerwany pasek i żadna siła na tej ziemi nie przekonałaby jej, żeby przekazywać dalej jego wybrakowane geny.

Lene ze smutkiem popatrzyła na motyla, który nie zaznał miłości. Coś ich łączyło.

Poszli dalej i miejsce motyli zajęły tysiące przepięknych rudobrazowych, zielonych, żółtych i czarnych jak smoła albo lśniących na niebiesko żuków.

I znów jej zdaniem wszystkie były olśniewające, za to Monell bezlitośnie wytykał wady i odstępstwa od normy poszczególnych owadów.

– Musiałeś spędzić tu sporą część życia, co?

Miliarder się zaczerwienił.

– Akurat nie.

Wrócili na główny korytarz i Monell znów spojrział na zegarek.

– Lene, czas ucieka. Proponuję nie skupiać się na okropnościach, lecz zakończyć naszą wycieczkę czymś pięknym i prawdziwie fascynującym.

– Oczywiście – pokiwała głową.

Zapach formaliny nasilał się z każdym krokiem.

Gospodarz skręcił ostro w alejkę po lewej i Lene zatrzymała się gwałtownie przy pierwszych preparatach. Potem jakby się ocknęła i ruszyła powoli wzdłuż gablot. Po prawej w starym szklanym słoju o zielonkawych przebarwieniach i zanieczyszczeniach zawieszony w próżni wisiał świeżo wykluty zaskroniec z głowami na obu końcach. Po lewej zobaczyła ludzki płód i znieruchomiała. To była migawka z koszmaru każdej matki: płód miał dwie twarze. Ta na dole była naturalna, z oczami jak szparki i bezbarwnymi rybimi usteczkami. Ale tam, gdzie powinno być czoło i gładka głowa, narosła jeszcze jedna, straszliwa, nie w pełni wykształcona twarz o

płaskim fragmencie nosa, otwartych ustach pełnych przedwcześnie wyrosniętych szarych zębów, z bladym językiem i dwojgiem otwartych oczu umiejscowionych jedno nad drugim. Te oczy zdawały się patrzeć wprost na nią z głębi niekończącego się, prymitywnego i niepojętego przerażenia. Lene przyglądała się okrutnemu wybrykowi natury. Przerzął, a mimo to nie mogła oderwać od niego wzroku. Płód unosił się w mętnej złotej cieczy. Małe dłonie zaciskał w piąstki jakby w agonii, a tam, gdzie powinien mieć prawe ucho, z czaszki wyrastała mała bezkostna dłoń, z pięcioma kołyszącymi się, podobnymi do robaków palcami. Pępowina wiła się spiralnie przymocowana do ściany łożyska, które niczym meduza przywarło do dna słoja.

– Potworniak – oznajmił lakonicznie Monell.

Lene zorientowała się, że zgięła nogi w kolanach, by przyjrzeć się płodowi od dołu. Natychmiast się zganiała za swoją bezwstydną, chorą ciekawość.

Przełknęła ślinę.

– Co to takiego?

– Rodzaj nowotworu, w którym genetyka dostaje amoku – odpowiedział, siląc się na wisielczy humor. – Organom w rozwoju płodowym miesza się czas i miejsce, co ma, jak widzisz, katastrofalne skutki. Można sobie wyobrazić reakcję matki, gdy jej podano wyczekiwane potomstwo, prawda? Ale pewnie tylko na sekundę, zanim je uśmiercono.

Lene popatrzyła na niego zaskoczona.

– Jak to, myślisz, że... Że urodziło się zdolne do życia?

– Najprawdopodobniej. Płuca były w każdym razie w pełni rozwinięte. – Zapraszająco machnął ręką. – Jeśli chcesz, to kawałek dalej mamy kilka bardziej wyrazistych egzemplarzy.

– Nie, dziękuję.

Monell uśmiechnął się szelmowsko.

– Ostrzegałem cię – przypomniał.

– To prawda, ostrzegałeś.

Wzruszył ramionami.

– Chcesz zobaczyć Anioła?

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Anioła? – powtórzyła otumaniona, bo zaczęło jej dzwonić w uszach.

– Noworodek doskonały. Pod każdym względem. Z wyjątkiem skrzydeł.

– Jak to skrzydeł?

– Długich, skrzydlatych narośli na łopatkach. Rodzaj neurofigromatozy. Tej samej choroby, na którą cierpiał człowiek słoń, John Merrick. Widziałaś ten film? Nasza dziewczynka pochodzi z siedemnastego wieku i zapewne uznano ją za wypędzonego anioła z piekła rodem i efekt klątwy rzuconej na rodzinę. Przeżyła dwa miesiące. Można się tylko domyślać, w jaki sposób ją zabili.

– Wiesz, chyba ją sobie daruję. I raczej nie mam ochoty się domyślać – zaprotestowała zdławionym głosem. – Mam niestety bogatą wyobraźnię.

– Jak wolisz. – Wzruszył ramionami.

Minęli jeszcze dwie szklane kolumny i Lene mimowolnie spojrzała na nie, chociaż jej stopy i reszta ciała błagały, żeby stąd wyjść. Od urodzenia była ciekawska niczym kot. Jej matka, która była już grubo po siedemdziesiątce i najwyraźniej nie do zdarcia, zawsze to powtarzała.

Dwa kurczaki zwisały z dna wspólnej skorupki jajka. Wyglądały, jakby jedno chciało lecieć na wschód, a drugie na zachód. Była też dostojna szara małpka marmozeta o dwóch ramionach zdrowych i dwóch bezwładnych, która najwyraźniej dożyła starości. W szklanej kuli wisiała olbrzymia męska głowa. Długie czarne loki dryfowały w formalinie, która z czasem nabrała bursztynowej barwy. Mężczyzna miał surowe rysy twarzy i lekko otwarte jedno oko, jakby filuternie do niej mrugał. W jednym uchu miał złoty kolczyk, a usta pełne złotych zębów. Białe jak wosk policzki porastał siwy wyblakły zarost, a fragment szyi był nierówny i odcięty nieporadnie.

– To jakiś krewny?

– Kto?

Lene wskazała kulę.

– Mężczyzna bez ciała.

– To Gaspar Fletcher – z uśmiechem wyjaśnił Monell. Przyglądał się głowie z jakimś zachwytem, a jego głos stał się ciepły. – Tak, w jakimś sensie należy do rodziny. Był piratem w czasie wojen napoleońskich, grasował w okolicach Saint Malo i Bretanii. Jeden z moich przodków, brytyjski oficer marynarki, aresztował go po krótkiej bitwie morskiej na kanale La Manche. Oczywiście powinien był go od razu powiesić na rei, ale najwyraźniej coś go urzekło w postaci Fletchera, bo oszczędził pirata i włączył do swojego dworu. Był ponoć wyśmienitym kamerdynerem.

– Więc dlaczego u licha wylądował tutaj?

– Przez kobietę, oczywiście. Wrócił po nią do Londynu, gdzie po pojedynku z jej narzeczonym albo mężem został aresztowany i ekspresowo

ścięty. Mój zdruzgotany przodek zapłacił katu niemałą sumkę za to, żeby wydano mu choć głowę.

– Piękny gest – skwitowała Lene.

– Godny – poprawił ją Monell. – Myślę, że powinniśmy przejść na spokojniejsze wody. Mniej brutalne, w moim odczuciu.

– Nie mam nic przeciwko temu – przyznała.

W ostatniej, trzeciej części ekspozycji światło było przytłumione. Witryny były tu szersze i wyższe. W większości wystawiono tradycyjne jedwabne kimona udrapowane na krawieckich manekinach, każde bardziej wyszukane i olśniewające od poprzedniego. Lene poczuła palące pragnienie, aby zbić szybę i dotknąć cudownych tkanin, przesunąć je między palcami.

– Są przepiękne – wymamrotała. – Jednocześnie chłodne i ciepłe, prawda?

– Prawda.

– Chciałoby się ich dotknąć.

– Chciałoby się, ale niestety nie można.

Lene dopiero teraz zauważyła mosiężną tabliczkę wtopioną w krawędź jednej z witryn i przeczytała nazwisko wykaligrafowane starannym pochylonym pismem: Rebekka Favreau.

– Twoja żona?

– Tak. Cała ta część to kolekcja Rebekki. Była tkaczką jedwabiu w tamtej japońskiej wiosce, w której mieszkałem. To tam ją poznałem. I tam się w niej zakochałem.

Wskazał na senne marzenie w kolorze nieba o północy ze srebrnym motywem kwiatowym.

– To jej najwybitniejsze dzieło.

– Przepiękne.

– Może rozpoznasz kwiat ume z ogrodu? Stanowił ulubiony motyw Rebekki.

Lene natychmiast zauważyła, że jego szare oczy ożywiły się i stały bardziej uważne. Monell z uśmiechem dodał:

– Ale ono też jest niedoskonałe.

– Nie wierzę! – oburzyła się Lene. – Jak możesz tak mówić. To arcydzieło, nawet ja to widzę!

Lekko położył jej dłoń na ramieniu.

– Spokojnie. Ono jest niedoskonałe i doskonałe zarazem. Taki był zamysł.

Przyciągnął w dół najbliższe szkło powiększające i umieścił w prawym rogu witryny.

– Spójrz na kwiatową lamówkę przy wykończeniu prawego rękawa. Zwróć uwagę, w którą stronę są zwrócone pręciki.

Pochyliła się i przyjrzała starannie wyhaftowanym kwiatkom. Odstępstwo od schematu było ledwie zauważalne, ale było.

– Rzeczywiście – przyznała rozczarowana. – Są zwrócone zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, a łodygi w kierunku przeciwnym.

– Ale tak ma być – wyjaśnił cierpliwie. – To wiadomość.

– W sensie: szyfr?

– Dokładnie. Tych strojów nie mógł nosić byle kto. Były zarezerwowane dla szlachty, wojowników i dworu szoguna. Ściany były z olejowanego papieru, każde słowo mogło zostać podsłuchane. To wymagało od szpiegów wypracowania szczególnej sztuki komunikacji.

– Więc porozumiewali się za pomocą szyfrów wyszytych na jedwabiu? Ależ to genialne!

– W istocie. Można było przekazywać sobie informacje pod nosem nawet najbardziej podejrzliwych zauszników władcy, a oni i tak nie mogli ich odczytać. Te kody pełniły oczywiście również inne funkcje. Kochankowie mogli sobie na przykład przekazywać za ich pośrednictwem dyskretne wiadomości.

Lene popatrzyła na niego uważnie.

– I co ci powiedziała? Tym rękawem?

Monell się zaczerwienił.

– Obawiam się, że to sprawa prywatna.

– Oczywiście.

– Około piętnastego wieku kody stały się bardziej wyrafinowane, ale ich nośnikiem pozostał jedwab.

Monell wyjął z kieszeni pilota i kliknięciem pogrążył salę w całkowitej ciemności.

– Co się dzieje? – Lene poczuła się lekko zaniepokojona.

– Zrozumiesz, jeśli zrobisz krok w lewo i się odwrócisz – odezwał się nagle niby-anonimowy głos z mroku.

Zrobiła, jak powiedział, ale wciąż nic nie widziała.

– Przecież tu nic nie ma.

– Zaczekaj chwilę.

Zamrugała i zmrużyła oczy. I wtedy z ciemności wyłonił się rozmyty, fluorescencyjnie zielony kształt, który stopniowo przybrał formę pagody z dwoma drzewami i parą kochanków. Coś niesamowitego.

– W szlacheckich komnatach życie prywatne praktycznie nie istniało – wyjaśnił Monell. – Niezameżne kobiety musiały spać razem w dużej sali, a nieżonaci mężczyźni w osobnej. Pewna niesłychanie pomysłowa tkaczka znalazła sposób na pozyskiwanie fluorescencyjnej substancji z odwłoków świetlików i zabarwiła nią jedwabne nici. W dzień niewidoczne, ale nocą, kiedy się chciało odnaleźć swego wybranka w ciemnej sali pełnej obcych ludzi, bezcenne.

Kolejne kliknięcie i sala znów się rozświetliła.

– Fenomenalne – przyznała Lene. – Domyślam się, że ten wybranek stał się bogaczem.

Obiekt mieszczący ekspozycję opuścili tylnymi drzwiami i wyszli na leśną ścieżkę, biegnącą za zabudowaniami. Kiedy się zbliżali do głównego budynku, Lene odwróciła się, słysząc niski rozpaczliwy szloch, który zdawał się dobiegać z gęstych zarośli. Zdecydowanym krokiem ruszyła w tamtą stronę. Monell położył dłoń na jej ramieniu, jakby chciał ją powstrzymać, ale go zignorowała. Za gęstymi krzewami jeżyn znajdował się wybieg otoczony dwumetrowym płotem z siatki. Wewnątrz markotny owczarek niemiecki chodził w kółko z ogonem między nogami. Przy furtce stała metalowa miska pełna karmy, a obok miska wody. Pies co chwila przerywał wędrówkę, siadał na ziemi i wysuwając kufę do nieba, wydawał z siebie niski wilczy skowyt, który przeszywał Lene do szpiku.

Monell obserwował psa bez cienia zainteresowania.

– Co mu jest? – spytała Lene, dostrzegając jednocześnie, że wewnątrz ogrodzenia znajdowały się dwie psie budy. Oczywiście w stylu japońskim i obłożone deszczułkami z drewna cedrowego.

Kto u licha stawia japońskie budy dla psów? Pomyślała i uświadomiła sobie, że zarówno ten człowiek, jak i jego ogród i zabudowania tworzyli wokół siebie atmosferę niesamowitości, którą dodatkowo podkreślała głucha cisza, jaka zapadła, kiedy pies zamilkł i dalej chodził w kółko. W tych budynkach mogło się znajdować kilkadziesiąt osób – albo nikt. Nie docho-

dził stamtąd żaden dźwięk, a większość okien była zasłonięta wymyślnymi drewnianymi okiennicami.

Monell schował ręce do kieszeni i odwrócił się, żeby omieść czułym spojrzeniem swój ogród.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie – mruknął. – Nie roszczę sobie praw do wypowiedzania się na temat życia uczuciowego psów. Jeśli takowe mają.

Lene nie dała się zbyć.

– Może było tu jeszcze jedno zwierzę?

Popatrzył na nią i uśmiechnął się lekko.

– Psy się pojawiają i znikają. Taka ich uroda. Przejdziemy dalej?

Zostawili wybieg za plecami i po schodach weszli na szeroką lakierowaną werandę. Przez szklane drzwi i okna widać było duże, niemal puste pomieszczenia umeblowane niskimi siedziskami rozstawionymi na pokrywających podłogę matach tatami. Zdaniem Lene wyglądały na wyjątkowo niewygodne. Kiedy weszli na ostatni stopień, Monell zzuł buty i wsunął stopy w sandały na cienkich podszwach.

– Ty zostań w butach, Lene.

Usiedli przy okrągłym stoliku, a spomiędzy drzwi wyłoniła się młoda czarnowłosa kobieta i z uśmiechem podeszła do nich. Skojarzyła się Lene z reklamą jakichś środkowowschodnich linii lotniczych: dziewczyna była niska, szczupła i idealna. Jej sylwetka miała tak perfekcyjne proporcje, że wyglądała jak narysowana. Ukłoniła się lekko.

– Hana – przedstawił ją gospodarz.

– Lene – uśmiechnęła się Lene.

– Napijesz się czegoś? – spytał Monell. – Kawy? Herbaty? Wody? Wybac, moje kompetencje społeczne są w zaniku. Rzadko miewamy gości. To znaczy, odkąd zmarła moja żona.

Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję.

Młoda kobieta uśmiechnęła się do niej subtelnie, chociaż Lene dostrzegła cienie w jej oczach i różowe plamy na szyi, jakby była stremowana. Miała na sobie proste jedwabne kimono z pięknym wzorem i tradycyjne wysokie drewniane sandały. Niemal słyhać było, jak między nią a starszym mężczyzną biegną niewypowiedziane komunikaty i zderzają się w powietrzu ze statycznym sykiem.

Lene wyjęła notes i spojrzała na Monella, który nieznacznym ruchem ręki odprawił dziewczynę z powrotem do domu.

W tle zawył pies.

– Zatem co możemy dla ciebie zrobić? – skierował uwagę na nią. – Sekretarce powiedziałaś, że musisz ze mną pomówić o czymś ważnym i że nie zajmie to wiele czasu, co było warunkiem naszego spotkania.

Zbierała myśli, patrząc na notes. Czuła się obserwowana, pomyślała, że może Hana śledzi każdy jej gest z jakiegoś niewidocznego miejsca w domu.

– Dwa dni temu znaleziono zwłoki młodej osoby pochodzenia azjatyckiego na plantacji leśnej dwa kilometry od wybrzeża na południe stąd. Ofiara miała ubranie nasiąknięte morską wodą i piasek w butach – zaczęła. – Dlatego zakładamy, że dopłynęła do brzegu z jakiegoś miejsca na wprost Virkø. Może wypadła za burtę żaglówki albo większego statku. Tylko że międzynarodowe szlaki żeglugowe biegną stosunkowo daleko od brzegu. Nie znaleziono poza tym żadnych śladów lub szczątków tratwy ratunkowej, nikt nie zaobserwował flary na morzu, a ofiara nie miała kamizelki ratunkowej ani elektronicznego nadajnika SOS. Nikt również, zdaniem Lyngby Radio i Komanda Operacyjnego Marynarki, w krytycznym okresie nie wzywał pomocy na kanale szesnastym. Zatem sprawa jest dość zagadkowa, panie Monell.

Mężczyzna machnął ręką zniecierpliwiony.

– Świat jest teraz pełen uchodźców, nielegalnych imigrantów oraz twórczych i bezwzględnych przemytników.

– Pełna zgoda. Ale ofiara nie pochodziła z Bliskiego Wschodu ani północnej Afryki. – Lene zrobiła dramatyczną pauzę. – Poza tym została postrzelona w plecy, a na sobie miała tylko spodnie, tenisówki, bieliznę i ti-szert. Uchodźcy zwykle wyglądają inaczej.

– Jak to postrzelona w plecy?

– Tak, to była ostateczna przyczyna śmierci.

Miliarder asceta wzruszył ramionami.

– Cóż, pani inspektor. To oczywiście tragiczne. Tra-gi-czne – powtórzył wolno, choć w jego głosie ani twarzy Lene nie dostrzegła śladów współczucia. – Ale czy nie lepiej byłoby przesłuchać okolicznych właścicieli łódek, domków letniskowych oraz rybaków?

– Absolutnie, praca w terenie wre – zapewniła go i wyjęła telefon, w którym odnalazła mapę zatoki Sejerø sporządzoną przez Bjarnego z pomocą ludzi z komanda operacyjnego. Mapa zawierała sekwencję filmową obejm-

mującą osiem godzin. Odtworzyła ją i położyła telefon przed Monellem. Popatrzył na wyświetlacz, ale nie wziął telefonu do ręki.

– Na mapie widać ruchy twojego jachtu, Aragona na podstawie zamontowanego na statku nadajnika i odbiornika AIS. Jak widzisz, tamtej nocy Aragon był na morzu w pobliżu wybrzeża. Konkretnie o milę morską od miejsca, w którym niezidentyfikowana ofiara dotarła na ląd. Ponadto Aragon cumował przy brzegu między pierwszą trzydzieści trzy a trzecią dwadzieścia cztery. – Uśmiechnęła się życzliwie i wyjaśniła: – To jasne, że ruchy twojego statku wzbudziły w nas zainteresowanie. Chcielibyśmy wiedzieć, czy ty albo ktoś z załogi zaobserwowaliście na morzu coś niezwykłego. Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że widoczność była słaba z powodu ulew- nego deszczu.

Monell odchylił się i spojrzał na swój ukochany ogród. Jego twarz była całkiem pozbawiona wyrazu.

– Rozumiem, Lene – powiedział w końcu. – Wyjaśnienie jest proste. Tydzień temu w Aragonie zostały wymienione łożyska osi napędowych. Zaleca się to robić po każdych piętnastu tysiącach mil morskich. Wymianę powierzyliśmy firmie Nautic Italia, mogę ci od razu przesłać wszystkie umowy i faktury. Możemy je również przetłumaczyć. Pracę skończyli późnym wieczorem i mój francuski szyper chciał je od razu przetestować, dopóki włoscy mechanicy wciąż byli na pokładzie. Stąd nocna żegluga. O niczym szczególnym tamtej nocy mi nie wspominał. Ja sam byłem wtedy w Sztokholmie. – I dodał, z lekkim uśmiechem: – Nie mówił w każdym razie nic o martwych Azjatkach i zdecydowanie nie słyszał żadnej nocnej strzelaniny. Wszystko przebiegło podręcznikowo. Śruby i łożyska działały bez zrzutu.

– A jak ten szyper się nazywa? – spytała.

– Martin Cousteau. Aktualnie przebywa w Marsylii z powodu choroby w rodzinie.

Uśmiechnęła się i schowała telefon.

– Oczywiście. Dziękuję.

Za jej plecami cicho skrzypnęła deska podłogi. Lene odwróciła się i zobaczyła Hanę, spacerującą na drugim końcu werandy z dzieckiem na rękach. Kobieta uśmiechnęła się do Lene i zaczęła nucić.

Monell odchrząknął i Lene ponownie przekierowała na niego uwagę.

– Spadkobierca? – spytała.

– Który powinien o tej porze spać – odburknął.

Hana podeszła bliżej i Lene wstała.

Dziecko było owinięte w białą owczą skórę. Wystawała tylko wełniana czapeczka i mała zaciśnięta piąstka. Hana podeszła bliżej i odsłoniła becik, pokazując Lene niemowlę o długich palcach, blond włosach i niebieskich oczach, którymi ją świdrowało.

Normalnie nie przepadała za niemowlakami. Dzieci zaczynały ją interesować, dopiero kiedy można było z nimi iść do kina i rozmawiać na poważne tematy jak wybory parlamentarne i globalne ocieplenie albo kiedy można było zasiąść na trybunie i dopingować je, gdy biegną przez płotki i tego typu sprawy. I kiedy wygrywają.

Ale ta dziewczynka była naprawdę ładna.

– Ile ma miesięcy?

– Prawie trzy. – Hana wyciągnęła zawiniątko w jej stronę.

W tym momencie krzesło Monella gwałtownie się odsunęło i pan domu stanął między nimi. Miał sztywne plecy, a głos niski i zimny. Troskliwy i pełen entuzjazmu kustosz wystawy przepadł bez śladu.

– Hano, myślę, że pani inspektor się spieszy. W każdym razie mam taką nadzieję, skoro prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa.

Światło w oczach Hany zgasło. Powiedziała coś cicho i zaczerwieniła się po cebulki włosów. Lene już wyciągnęła rękę, żeby wziąć od niej dziecko, ale teraz je opuściła. Nabrała nieodpartej wręcz ochoty, żeby z całej siły przyłożyć miliardrowi w sam środek jego szarej wąskiej i zniesmaczonej twarzy. Zamiast tego zmusiła się od uśmiechu i podtrzymała kontakt wzrokowy z młodą kobietą.

– Jest śliczna. Dbaj o nią.

Hana ujęła małą rączkę dziecka i pomachała nią w stronę Lene.

Monell sztywnym krokiem ruszył przodem w stronę krawędzi werandy. Nie zamienili ani słowa, dopóki nie dotarli do motorówki i francuskiego modelu Rafaela.

– Przykro mi, że nie mogłem pomóc – powiedział tylko na pożegnanie.

Lene weszła na pokład łódki. Następnie odwróciła się i osłaniając dłonią oczy przed wiszącym nisko słońcem, uśmiechnęła się do niego.

– Ależ pomógł mi pan niezmiernie, panie Monell – powiedziała neutralnym tonem. – Powodzenia w pracy nad ogrodem i wielkie dzięki za wprowadzenie.

Chwilę patrzył na nią zaskoczony. A potem wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie.

Rafael wciągnął cumę i rzucił na dno łódki. Obejrzał się za wysoką chudą postacią i pokręcił głową.

– *He didn't like you, madame inspecteur* – stwierdził.

Lene przytaknęła i usiadła wygodnie.

– *It's okay. I didn't like him much either.* – I po chwili dodała spokojnie: – *In fact, I think he's an asshole.*

Francuz popatrzył na nią wstrząśnięty. I zaraz uśmiechnął się, i odpalił silnik.

Półtorej godziny później Lene siedziała w jednym z biur Komendy Rejonowej w Roskilde obsługującej Zelandię Zachodnią. Przed sobą miała zabałaganione biurko, a za plecami siedzącego przy nim młodszego aspiranta wisiała tablica pełna dziecięcych rysunków.

Młodszy aspirant Aske Thomsen należał do nowego pokolenia. Było ich w korpusie coraz więcej i przez nich Lene czuła się coraz starsza. Zamiast pełnić funkcję bezkompromisowych i skutecznych narzędzi państwowego monopolu na przemoc, to nowe, dziwnie sfeminizowane pokolenie policjantów i policjantek uważało, że powinni być kimś w rodzaju coachów i pedagogów społecznych. Lene ich nie rozumiała. Thomsen był uśmiechnięty i sympatyczny. Miał na sobie dres Adidasa z logiem firmy dekarńskiej i zadbaną hipsterską brodę, zasłaniającą większość szyi.

Tak naprawdę miał tego wieczoru trenować drużynę Małej Ligi Piłkarskiej swojego syna Mikkela, ale Lene głosem nieznoszącym sprzeciwu zażądała, aby stawił się w komendzie w tej samej chwili, w której ona się tam zjawi. Rzadko używała swojego stopnia jako argumentu, ale nie wahała się tego robić, gdy uważała to za konieczne.

Na biurku leżała między innymi cienka teczka z informacjami o zwłokach znalezionych na plantacji.

– Coś nowego? – spytała.

Młody człowiek zamrugnął zaskoczony.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ja w każdym razie nic nie słyszałem.

– Nie. Wróć. Ja nie pytam o to, co słyszeliście. Pytam, czy wykonaliście jakieś nowe czynności w sprawie.

– Właściwie to nie. Dostaliśmy przecież informację, że wy... że w Rigshospitalet...

– Znasz Bertrama Monella?

– Tylko ze słyszenia – potwierdził niepewnie.

Lene miała wrażenie, że Thomsen naprawdę chciał pomóc – tylko zwyczajnie nie wiedział jak.

– Myślę, że zaginął mu pies – powiedziała cicho.

Młodszy aspirant zmarszczył czoło.

– Pies?

Zabębniła palcami w blat biurka.

– Tamtej nocy na drodze niedaleko miejsca znalezienia doszło do poważnego wypadku samochodowego, prawda?

Mężczyzna energicznie przytaknął.

– Zgadza się. Ruch na tamtym odcinku jest znikomy, zwłaszcza o takiej godzinie. Ale wtedy był mecz o awans i jeszcze wesele, więc...

– Co dokładnie się stało?

– Trudno powiedzieć. Zależy, kogo się spyta. Większość samochodów po prostu najechała na siebie i to zarówno na pasie w kierunku zachodnim, jak i wschodnim. Nikt nie wie dlaczego. Kierowcy pojazdów, które zderzyły się jako pierwsze, twierdzą, że widzieli, jak coś albo ktoś przebiega przez jezdnię, ale nie byli w stanie podać spójnego rysopisu. – Wzruszył ramionami.

– Strzały albo pościg?

– Co najwyżej coś komuś mignęło... ale wiesz, jak jest...

Lene wiedziała. Nigdy w historii kryminologii nie zdarzyło się, żeby dwaj świadkowie tego samego zdarzenia w czymkolwiek się zgadzali. Jeden przysięgał, że widział żyrafę, a drugi, że balon z koszem.

Thomsen zmarszczył czoło w głębokim skupieniu. A potem wziął do ręki teczkę i ją otworzył.

– W sumie najbardziej szczegółowe zeznanie złożyła trzynastoletnia dziewczynka, Olivia Hougaard z Holbæku – powiedział po chwili. – Jej ojciec jest stolarzem i w środku nocy pojechał ją zabrać ze stancji harcerskiej, bo miała zapalenie gardła. Oboje twierdzili, że tuż przed karambolem coś potrącili.

Lene popatrzyła na niego uważnie.

– Poszukaliście na samochodzie krwi, włókien albo włosów?

Aske Thomsen zaczerwienił się pod zarostem.

– Mamy chroniczny niedobór personelu, więc tak naprawdę nie zdążyliśmy...

Lene pstryknęła palcami i wstała.

– Adres.

Zapisał jej go, a ona popatrzyła na zegarek i pomyślała wykończona: „czy ten dzień kiedyś się skończy?”

Wzięła od niego karteczkę i przeczytała.

– Bądź tak miły i uprzedź ich, że za góra trzy kwadranse będę na ich podjeździe i że chcę pomówić z dzieckiem i ojcem, dobrze?

– Tak zrobię – zapewnił ją potulnie.

„Pieniędzy i nerwów oszczędzi ci Majster Snare – zadzwoni już dziś” – zachęcał napis z boku samochodu dostawczego zaparkowanego przed zwykłym garażem zwykajnego domu jednorodzinne, jakich w tej w zwykajnej dzielnicy stało kilkadziesiąt.

Lene się rozejrzała. Słońce zachodziło, powietrze wypełniał zapach węgla drzewnego z rozpalanych w ogródkach grillów, dzieci bawiły się na ulicach, a z jakiegoś dachu dochodził śpiew kosa. Uważnie obejrzała samochód i kucnęła przy prawym świetle mijania. Szybka była stłuczona, a na karoserii pod reflektorem widać było wgniecenie. Zderzak wisiał krzywo. Westchnęła nad opieszałością zachodnio-zelandzkiej policji w ogóle i aspiranta Askego Thomsena w szczególności, kiedy pęsetą odkleiła dwa krótkie, grube czarne włosy z gumowej listwy wokół lampy i włożyła do plastikowego woreczka.

– Mogę pani w czymś pomóc?

Lene powoli wstała.

– Rozmawiam ze Snarem? – spytała.

– Majstrem Snarem – poprawił ją z uśmiechem.

– Lene Jensen, Komenda Główna Policji.

Mężczyzna skinął głową. Miał niebieskie oczy, bezpośrednie spojrzenie i sporo militarnych tatuaży, między innymi z Gwardii Królewskiej. Lene знаła je na pamięć z jednej ze swoich dawnych spraw. Konkretnie z tej, przez którą straciła dziecko i przy której poznała Michaela. Mężczyzna otworzył jej furtkę i zaprowadził ją przez zadbane ogródek do drzwi ganku. Tam zdjął drewniaki, a o łydki Lene otarł się kot. Podrapała zwierzę pod brodą.

– Zmykaj, Mille – powiedział stolarz.

– Tak ma na imię?

– Taaa.

Otworzył drzwi i wygonił kota z powrotem do ogrodu.

Kobieta w ciemnych obciętych na pazia włosach siedziała w kuchni przy stole projektu Pieta Heina i odrabiała lekcje z chłopcem, na oko dziesięcioletnim. Wstała, wygładziła koszulkę i podała Lene rękę.

– Cześć. Anne. Zapraszamy.

– Dziękuję. Lene.

– A gdzie Olivia? – spytał mężczyzna.

– Na górze.

Lene uśmiechnęła się do kobiety.

– Nie będę wam przeszkadzać. Chcę tylko zamienić kilka słów z twoją córką i mężem.

– Kawy? Piwa?

Lene pokręciła głową.

– Dziękuję.

Mężczyzna stanął u stóp schodów.

– Olivia! Policja chce z tobą rozmawiać!

Na górze ukazały się dwie chude gołe nogi. Rozległo się kłapanie japońskich stopni schodów, a po chwili dziewczynka stanęła w kuchni i onieśmielona patrzyła na Lene.

– Może się przywitasz? – zaproponował jej ojciec.

Dziewczynka posłusznie podała Lene rękę. Była chuda, piegowata, miała białe włosy, aparat na zębach i bystre spojrzenie.

– Snare, może usiądziecie w salonie? – rzuciła w ich stronę matka, lekko zniecierpliwiona.

Dziewczynka i jej ojciec usiedli na kanapie, a Lene zapadła się w zaskakująco wygodnym fotelu telewizyjnym. Kiedy się oparła, mebel rozłożył się do pozycji horyzontalnej. Z dołu wysunęła się podpórka na nogi i musiała patrzeć na czubek swojego nosa, żeby dalej, między swoimi stopami widzieć ich dwoje siedzących po drugiej stronie stolika kawowego. Poczuli się idiotycznie i z narastającą frustracją wiała się, żeby przywrócić fotel do pozycji wyjściowej.

Dziewczynka wytrzeszczyła oczy, a potem parsknęła śmiechem. Lene nie wytrzymała i też zaczęła się śmiać. W końcu ojciec przyszedł jej z odsieczą i wyprostował fotel.

– To śmiertelna pułapka – skwitowała Lene.

– Zdecydowanie – przyznał ojciec.

– Jeśli dobrze rozumiem, niedawno mieliście w nocy wypadek? A ty, Olivio, byłaś wcześniej na obozie harcerskim?

Dziewczynka, zamiast odpowiedzieć, spojrzała na ojca, który pokiwał głową.

– No odpowiedz pani, Olivio. Zwykle nie jesteś taka małowówna – burknął zirytowany.

– Przez ulicę przebiegło jakieś zwierzę – zaczęła. – Z początku myśleliśmy, że to była sarna, i tata zahamował jak szalony.

Lene przeniosła wzrok na niego, a on potwierdził:

– Zdarzyło mi się raz w środku nocy potrącić sarnę i wrażenie było takie, jakbym wjechał w betonową ścianę. Naprawdę wstrząsające. Cały przód miałem wgnieciony. Wtedy jechałem samochodem żony. Ale tym razem było zupełnie inaczej. Tym razem nie uderzyłem czołowo i nie było słychać żadnego huku ani nic. Musieliśmy to coś ominąć w ostatniej chwili, chociaż to prawda, wydawało się, jakbyśmy bokiem potrącili coś żywego.

– Biedny pies. – W oczach dziecka stanęły łzy. Ojciec złapał ją za rękę.

– To prawda, Olivio. Biedny. Ale nas zepchnęło na pobocze. Wożę w samochodzie narzędzia, drewno i metalowe półki, więc wóz ma sporą masę i tak po prostu nie da się nim wyhamować. Wysiedliśmy i wtedy za nami zrobił się armagedon. Samochody jeden po drugim nadjeżdżały z obu kierunków i się zderzały. Prawdziwy obłęd. I to chyba nie miało związku z nami, bo pierwsze z aut, które brało udział w karambolu, stało jakieś pięćdziesiąt metrów za nami, i to na środku drogi.

– A widzieliście tego psa?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Owczarek niemiecki. Duży i czarny. I martwy. Dzień później sam zobaczyłem to wgniecenie.

Dziewczynka wytarła oczy grzbietem dłoni.

– Co było potem? – spytała Lene.

Ojciec i córka popatrzyli na siebie.

– To właśnie było najdziwniejsze, prawda, tato?

– Tak. Bo podeszliśmy tam, żeby sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy, wiadomo. I zeszło nam dobre pół godziny, mimo że ostatecznie nikomu nic poważnego się nie stało. Przyjechała policja i pogotowie, odgrodzili drogę, ale kiedy mieliśmy wracać do domu, pies zniknął.

– Jak to?

– Normalnie. Jakby go tam nigdy nie było.

– Może dowłókł się do lasu, między drzewa?

Mężczyzna stanowczo potrząsnął głową.

– Po szkole na cztery lata poszedłem do wojska. Byłem na trzech misjach w Afganistanie... – Zerknął na córkę. – Więc sama wiesz, naoglądałem się...

Lene pokiwała głową.

– Rozumiem. I domyślam się, że nie widzieliście żadnych ludzi?

– Ja widziałam – zaprzeczyła dziewczynka, a ojciec czule położył dłoń na jej karku.

– Olivio, miałaś wysoką gorączkę. – A patrząc na Lene, wyjaśnił: – Miss Sherlock Holmes uważa, że kogoś widziała.

– Zrobiłam mu zdjęcie – upierała się mała.

Ojciec przewrócił oczami, ale Lene pochyliła się ku niej.

– Naprawdę?

Dziewczynka zrobiła się czerwona i wyciągnęła z kieszeni podrapany żółty smartfon.

– Oni dziś wszystko fotografują. – Mężczyzna z dezaprobatą pokręcił głową. – Gdyby mogli, uwieczniliby własne pogrzeby.

Dziewczynka zręcznie przeskakiwała po menu, szukając zdjęcia.

Kiedy wręczyła jej telefon, Lene zdezorientowana patrzyła na coś, co przy ogromnej dawce dobrej woli i tylko jeśli się to wcześniej wiedziało, można było uznać za ząbkowaną linię drzew na nieco jaśniejszym tle nieba. W dole ekranu kłębiły się białe i czerwone ogony komet, niewyraźne kształty i nieregularne białe plamy. Lene domyślała się, że były to uczestniczące w wypadku samochody i ich światła mijania i hamowania.

Podniosła wzrok i spojrzała na Olivię.

– Co tu jest czym?

Ojciec parsknął, a dziewczynka znów się zaczerwieniła. Zaraz jednak przesiadła się na podłokietnik fotela i chudymi palcami powiększyła zdjęcie. A potem wskazała:

– Tu. Widzi pani? Po drugiej stronie drogi jest jakiś człowiek. Trochę ciemniejszy niż drzewa.

Choćby ją przypalano żywym ogniem, Lene nie byłaby w stanie dostrzec tam niczego, co przywodziłoby na myśl zarys postaci ludzkiej.

Olivia pachniała dziewczęco, szamponem i słońcem.

– Świetna robota – pochwaliła małą. – Może da się twoje zdjęcia obrobić, żeby były wyraźniejsze. Prześlesz mi je? Czy tam przerzucisz?

Rzadko widziała, żeby ktoś w mgnieniu oka potrafił zmienić kolor ze zwykłej lekkiej opalenizny na czerwień w odcieniu straży pożarnej. A ta

dziewczynka zrobiła to ponownie. Mogłaby z tego uczynić swój numer popisowy.

Lene wyjęła z portfela wizytówkę.

– Tu masz mój e-mail. Przyślij je na ten adres, a mój asystent Bjarne zadzwoni do ciebie, jeśli będziemy potrzebowali czegoś jeszcze.

Dziewczynka z zapalem pokiwała głową, a jej oczy lśniły.

– Mogę pójść na górę i od razu je wysłać, jeśli...

– Tak zrób – zachęcił ją ojciec.

Mała wybiegła z salonu.

– Pomóc ci? – spytał mężczyzna. – W sensie: wstać z fotela.

– Tak, dziękuję. Ten fotel jest drapieżny.

– I co, poznałaś go? – spytał następnego ranka Bjarne. Aż się uśmiechał na myśl, że zaraz dowie się czegoś konkretnego o swoim idolu.

Lene nie odwzajemniła uśmiechu.

– Szczerze mówiąc, w ogóle mi się nie spodobał. Zrobił na mnie wrażenie kogoś zdziwaczałego i opętanego, kto ukrywa się pod maską łagodności. I jest chimeryczny. Dziwny człowiek w dziwnym otoczeniu. Nawet jeśli znajdują się w nim pewne fantastyczne przedmioty. I okropieństwa. Kawy?

Bjarne zaparzył kawę, a Lene wrzuciła sobie do kubka trzy kostki cukru. Potem przybrała swoją ulubioną pozycję z nogami na biurku.

Podmuchała czarny napój.

– Incepcja, Bjarne. Mówi ci to coś?

– Niespecjalnie. Ale czuję, że bardzo chcesz mi to wyjaśnić.

Pokiwała głową.

– Rzeczywiście, chcę. Otóż jest to pojęcie z dziedziny psychologii i oznacza, że na podstawie językowego kontekstu człowiek wstawia żądane słowo. To bardzo silny impuls u wielu osób, a zwłaszcza jednostek pedantycznych, które uważają się za nadrzędne wobec wszystkich innych. Tacy ludzie zupełnie nie potrafią się oprzeć pokusie, żeby nie poprawić głupiej wypowiedzi pytającego.

– Sprytne.

Bjarne wspierał tłusty policzek na piegowatej dłoni i patrzył na nią obojętnie. Wiedziała, że wciąż był urażony jej bezlitosną krytyką Bertrama Monella.

– Jeśli na przykład powiem: „Pada deszcz i szosa jest...”.

– Mokra? – zaproponował znużonym głosem.

– Albo śliska. To technika stosowana przez śledczych o najdłuższym doświadczeniu i najlepszej znajomości fachu, Bjarne.

Mężczyzna westchnął.

– Nie wzdychaj mi tu. *Please*. To wpływa negatywnie na moją pewność siebie.

– Ono, jak widać, ma się świetnie.

– Zatem Bertram Monell najwyraźniej również nie wiedział, jak działa incepcja – wyjaśniła Lene.

Postawiła nogi na podłodze, położyła przed nim swój telefon i odtwożyła wywiad z ekscentrycznym miliarderem. Bjarne rozpromienił się, słysząc głos Monella, jakby mu pozwolono posłuchać pierwszego połączenia telefonicznego od mister Alexandra Grahama Bella do mister Watsona, znajdującego się cztery metry dalej.

– Pod pretekstem pokazania mu mapy morskiej z ruchami jego idiotycznie wielkiego, ociekającego kasą okrętu tamtej nocy, ukradkiem nagrałam naszą rozmowę. Nadążasz?

– Z trudem. Jesteś taka przebiegła – odparł cierpko.

– To dobrze. Zatem, jak słyhać, w żadnym momencie nie wspominam o płci ofiary. Tymczasem on kwituje zdarzenia tamtej nocy tekstem o „martwych Azjatkach”. Azjatkach, Bjarne. Skąd mógł wiedzieć? Czysta inepcja.

Wyłączyła nagranie i popatrzyła wymownie na swojego kolegę.

On z kolei przyglądał jej się skołowany.

– Sam nie wiem, Lene. Fakt, że użył słowa „Azjatkki”, chyba nie dowodzi jego udziału w zbrodni, prawda?

Lene przez chwilę zżymała się w duchu na jego brak wyobraźni. W końcu zabrała telefon i odwróciła się od niego.

– Jasne, że nie – odburknęła. – Ale to poszlaka. I początek. Bo to nie jest przypadek, Bjarne.

– A w ogóle dzwonił Arne w sprawie włosów z furgonetki. – Bjarne postanowił przekierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. – Obejrzał je dziś w nocy i kazał cię pozdrowić i poinformować, że za trzy miesiące przechodzi na emeryturę, więc lepiej, żebyś znalazła sobie kogoś innego, komu będziesz niszczyć życie.

Arne był szefem działu kryminalistyki i światowym autorytetem w swojej dziedzinie. Z Lene natomiast łączyła go relacja tyleż długa, co niejednoznaczna. Aktualnie układało im się w miarę dobrze, ale w przeszłości dochodziło między nimi do konfliktów o biblijnych rozmiarach.

– Boże, Arne, rzeczywiście – przypomniała sobie Lene. – Niełatwo będzie go zastąpić, to fakt. Nie zapomnijmy kupić mu jakiegoś prezentu. I co powiedział?

– To sierść psa.

– Jakiej rasy?

– Co do tego nie ma absolutnej pewności, ale zwierzę jest stosunkowo blisko spokrewnione z *Canis lupus*, wilkiem szarym. Innymi słowy, jest nie-

zbyt dalekie od praprzodka wszystkich psów.

– Doskonale. Monellowi zginął owczarek niemiecki. Stawiam milion, że to on zginął tamtej nocy na drodze.

Otworzyła komputer i sprawdziła pocztę. Olivia oczywiście dotrzymała słowa. Załączyła trzy zdjęcia z telefonu, które Lene przesłała dalej do Bjarnego.

Potem wstała i usiadła za nim, kiedy powiększał zdjęcia na jednym ze swoich gigantycznych monitorów.

– Co to ma być? Jakies zjawisko astronomiczne?

– Ponoć tamta szosa nocą.

Jej kolega powiększał zdjęcia, przycinał, nakładał na nie różnokolorowe filtry, czyścił piksele i pracował nad rozdzielczością. Poruszał palcami jak pianista koncertowy. Na koniec wskazał na oryginalne białe plamy blisko drzew po tej stronie drogi, która była bliżej wybrzeża. Po obróbce nabrały one gwieżdzistych kształtów.

– To błysk z lufy – oznajmił.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie. Pistolet. Dwa strzały. Ogień ze strzelby byłby szerszy, dłuższy i bardziej żółty.

– Kto strzela?

Informatyk wskazał niewyraźny zarys na skraju lasu.

– Ten tutaj... albo ta. Czarne ubranie. Kominiarka.

Lene zgasiła górne światło i ich biuro zalał półmrok.

Postać z każdym kliknięciem oddzielała się od tła, ale nie udało im się zidentyfikować jej bliżej. Rysy twarzy pozostawały niewidoczne. Lene z frustracją odchyliła się na krzesło, kiedy Bjarne powiedział na głos:

– Nie da się tej osoby zobaczyć wyraźniej. Ja w każdym razie jej nie widzę.

– Skoro ty nie widzisz, to nikt nie zobaczy. Ale to oznacza, że dziewczynka miała rację. Tam ktoś był.

Jej komputer zasygnalizował nową wiadomość. Przeczytała maila. A potem przeczytała go raz jeszcze.

– Która godzina jest teraz w Manili? – spytała.

– Piętnaście po czwartej – odparł. – A co?

– Jest zgodność. Maria de la Reyes. Rzeczywiście tak się nazywa. Sam zobacz.

Bjarne pochylił się nad nią i popatrzył na ziarniste zdjęcie paszportowe ładnej, ale nadąsanej młodej kobiety. Sięgnął ręką ponad ramieniem Lene i skopiował załączone odciski palców. Otworzył pliki w formacie Interpolu i przeciągnął do nich odciski z Manili. Pasowały idealnie.

– Spróbuj do nich zadzwonić – oznajmił. – Sprawą zajmuje się *constable* Leandro Mendoza. Dziewczyna była tancerką hotelową. Co to w ogóle za zawód?

Lene sięgnęła po telefon i zaczęła wbijać numer.

– A to nie jest po prostu inne określenie na dziwkę?

Po paru kliknięciach i transoceanicznym szumie połączyła się z centralą Camp Crane w Quezon City w Filipinach.

– *Constable Mendoza, Leandro, please. The department for missing people. This is Lene Jensen from Denmark's National Police calling.*

Czuła się jak prezenterka gali Eurowizji.

W napięciu popatrzyła na Bjarnego.

– *One moment, please* – zabrzmiał rzeczowy głos kobiety.

– *The constabulary, Mendoza speaking.*

– *This is chief superintendent Lene Jensen, constable Mendoza.* Otrzymałam właśnie z pańskiego biura potwierdzenie identyfikacji niejakiej Marii de la Reyes, San Pablo City, wiek dwadzieścia jeden lat. Widnieje pan w dokumentach jako prowadzący sprawę.

Mendoza sprawiał wrażenie chętnego do pomocy, ale zmęczonego i zagonionego. Lene potrafiła zrozumieć dlaczego.

– *Chief superintendent Jensen, widnieję jako prowadzący sprawę w setkach tego typu zgłoszeń z całego świata. Większość z nich jest generowana komputerowo, rozumie pani. Jakies nazwisko muszą podać.*

Lene przełączyła na głośnomówiący. Bjarne oparł się o ścianę i zamysłony gryzł zapałkę, ale wiedziała, że za grubymi szklami okularów i na wpół zamkniętymi powiekami rejestrował wszystko i jeśli za pół roku obudzi go w środku nocy, to będzie umiał powtórzyć tę rozmowę słowo w słowo. Zespół Aspergera czasami okazywał się błogosławieństwem. Choć bywał też potwornie uciążliwy.

– Rozumiem, *constable* Mendoza – zapewniła go swoim najbardziej przymilnym głosem. – Ale tu, w Danii znaleziono zamordowaną młodą ko-

bietę. Wiemy na pewno, że to Maria de la Reyes. Zgadza się odciski palców i zdjęcia.

– Aha. Chwileczkę.

Połączenie było tak dobre, że Lene słyszała ciche stukanie Mendozy w klawiaturę.

Po chwili znów się odezwał:

– Mam ją przed sobą. W każdym razie wstępne ustalenia. Maria de la Reyes... Maria de la Reyes... Jej zaginięcie zgłoszono prawie piętnaście miesięcy temu. Jest niezamężna, bezdzietna, rodziców też nie ma. Nie podano żadnych danych kontaktowych osób bliskich. Wynajmowała mieszkanie w San Pablo i gdy przestała płacić czynsz, właściciel zerwał umowę, a jej skromny dobytek sprzedał. Jej abonament na telefon nie został odnowiony. – Po chwili milczenia dodał: – Nie wiem, czy to wam w czymkolwiek pomoże, *miss Jensen*. Problem w tym, że mam tutaj listę pięciuset pięćdziesięciu tysięcy osób, które zaginęły w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Głównie dziewcząt i młodych kobiet. Czasem myślę o nich jak o naszym głównym towarze eksportowym. – I dodał ciszej: – *Deus esset cum ea*.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Nic. „Niech Bóg ma ją w opiece”.

– Tak... dziękuję. Cóż, w takim razie...

Już miała się rozłączyć, kiedy Bjarne szepnął jej coś do ucha.

– Oczywiście. Ale *constable* Mendoza...

– Słucham.

– Skoro nie ma informacji o bliskich, to kto zgłosił jej zaginięcie?

– Miss Isabella Linares z TMI Filipino Overseas Recruitment. To jedna z największych i najbardziej poważanych firm rekrutacyjnych w kraju. Z tego co widzę, TMI pośredniczyła również w zdobyciu dla miss de la Reyes pozwolenia na pobyt i pracę w Niemczech. Po dotarciu na miejsce miss de la Reyes miała się do nich zgłosić, czego nigdy nie zrobiła.

Lene zanotowała wszystkie informacje.

– Rozumiem. Czy mogę pana prosić o wyszukanie samolotów odlatających do Niemiec we wskazanym czasie? Oraz o sprawdzenie, kim jest „tancerka hotelowa”?

W słuchawce zapadła cisza i Lene przez chwilę obawiała się, że połączenie zostało zerwane. Aż Mendoza odparł:

– Trudno powiedzieć, *chief superintendent*, i chyba nie ma to większego znaczenia. Nie chodzi w każdym razie o profesorki fizyki jądrowej ani

akredytowane dyplomatki. To przeważnie całkiem zwyczajne, niekiedy bardzo młode dziewczyny bez perspektyw na świetlaną przyszłość. Tancerki hotelowe, kelnerki koktajlowe, eskorty, pokojówki, nianie, personel sprzątający, pomywaczki. Czasami wracają całe i zdrowe, a czasem nie wracają wcale. Sprawdzę listy pasażerów i odezwę się, jeśli coś znajdę.

- Bardzo dziękuję. Bardzo nam pan pomógł, *constable* Mendoza.
- *De nada*.

Lene ziewnęła i przeciągnęła się, aż chrupnęło jej w kręgosłupie. Zastanawiała się, czy po pracy nie zajrzeć do hali sportowej. Dobrze by jej zrobiło kilka rundek w ringu. Położenie na łopatki jakiejś niewinnej ofiary. Najlepiej faceta, któregoś z tych młodych policjantów.

Nokautowanie mężczyzn aktualnie sprawiało jej szczególną satysfakcję.

- Miała lecieć do Niemiec – zwróciła się do Bjarnego.
- Ale zaginęła w drodze?
- Można tak powiedzieć. Wygląda na to, że znaleźliśmy punkt zaczepienia, nie sądzisz?
- Zdecydowanie, Lene. Absolutnie.

Popatrzyła na niego.

– Masz rację – przyznała. – Nie jesteśmy nawet blisko. Trop niemal na pewno urywa się na jakimś niemieckim lotnisku i wracamy do punktu wyjścia. Pozostaje nam Bertram Monell.

- Nie wierzę w to – oznajmił Bjarne. – Po co? Facet ma wszystko.
- Nikt nie ma wszystkiego.

Choć Michael nie spodziewał się, że w najbliższej przyszłości wróci do czynnej służby, dbanie o kondycję fizyczną i szlifowanie swoich umiejętności weszło mu w krew. Nauczył się tego dzięki wieloletniej służbie w wojsku, a potem pracując dla międzynarodowej firmy ochroniarskiej Shepherd & Wilkins. Jeśli nie miał w pobliżu siłowni, realizował swój autorski, ale równie wymagający plan treningowy, który był dostępny niemal wszędzie. Żeby utrzymać formę, potrzebował jedynie dwóch punktów do zaczepienia taśm TRX i skrawka podłogi, żeby ćwiczyć kata krav magi.

Mimo to ostatnio trochę się opuścił, dlatego dziś rano trenował bite dwie godziny. A po prysznicu zasiadł przy kuchennym stole ze swoim rozłożo-

nym na części karabinem wyborowym i pistoletem 9 mm oraz kubkiem kawy i paczką papierosów pod ręką.

W skupieniu polerował i czyścił komponenty, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. W progu stali dwaj technicy, a pod domem parkował wóz dostawczy z logiem firmy G4S, instalującej alarmy.

– Słucham?

– Zastaliśmy Idę Selinger?

– Jestem jej bratem. O co chodzi?

– Dwa dni temu zamówiono na ten adres system alarmowy – wyjaśnił starszy z mężczyzn.

– Chwileczkę. – Michael zamknął drzwi i zadzwonił do Idy. – Zamawiałaś system alarmowy do domu?

– Ze względu na ciebie.

Słyszał, że za drzwiami jeden z techników również rozmawiał przez komórkę.

– Jak to?

W tle Ida powiedziała coś do kogoś w niezrozumiałym żargonie lekarskim.

– Właśnie robię obchód... Tak, bo półtora roku temu ktoś się włamał przez okno w piwnicy. Nie zauważyłam, żeby coś zniknęło, więc nic z tym nie robiłam. Ale szklarz powiedział, że w okolicy było sporo takich przypadków. Nazwał to wręcz epidemią. A potem, kiedy miałeś się wprowadzić, pomyślałam, że w sumie zadajesz się z różnymi szemranymi typami, więc...

– Okej, okej. Dzięki.

– Michael...?

Rozłączył się. Wprawnymi ruchami poskładał broń i zamknął w specjalnej szafce w swoim pokoju, zanim wrócił do drzwi.

Uśmiechnął się do techników, którzy patrzyli na niego bez szczególnej sympatii, a młodszy demonstracyjnie spojrzął na zegarek.

– Panowie, zapraszam. Wybaczcie tę być może nadmierną ostrożność. W końcu nigdy nie wiadomo, prawda? – wytłumaczył się Michael.

– To prawda, nigdy nie wiadomo – przytaknął chłodno ten starszy. – Tak jakby dlatego tu jesteśmy.

– Co zamówiła moja siostra?

Jeden z nich spojrzął na formularz zamówienia, a drugi zaczął ustawiać w przedpokoju kosztownie wyglądające skrzynki.

– Wszystko – skwitował tamten. – Podczerven, czujniki ruchu. Macie jakieś zwierzęta?

– Nie.

– To dobrze.

Z formularza zamówienia oderwał etykietę.

– Kod i numer do centrum alarmowego – wyjaśnił.

– Dziękuję. – Michael podniósł z podłogi swoją torbę na ramię i wręczył starszemu z techników klucze. – Gdy skończycie, po prostu zostawcie je pod wycieraczką, okej?

– Nie możemy tego zrobić – powiedział poważnym tonem ten młodszy i wyprostował plecy. Miał wygolone boki i rubin w przednim zębie.

– Dlaczego nie?

– Pańska siostra zamówiła dodatkowo duży zbiornik wody do zamontowania w piwnicy. Pod wycieraczką zbudujemy zapadnię, a do zbiornika wpuścimy elektryczne węgorze i piranie. Jeśli pan nie wstuka kodu, zanim pan otworzy drzwi, wpadnie pan do zbiornika.

Michael popatrzył na niego pustym wzrokiem.

– Rozważałeś karierę standupera?

Jego starszy kolega wziął od niego klucze.

– Tak się składa, że owszem. Proszę go nie zachęcać. Klucze będą pod wycieraczką. Miłego dnia.

Michael oglądał to zjawisko na YouTube. Bettinę Horst grającą pierwszy koncert skrzypcowy Brahmsa z orkiestrą Amsterdam Concertgebouw. Film miał ponad dziesięć milionów odtworzeń. Skrzypaczka wydawała się być zarówno gdzieś bardzo daleko, jak i w pełni obecna, tyle że w swoim własnym, niezależnym świecie. Bóg raczy wiedzieć, co oglądały jej przyknięte oczy. Być może wewnętrzne pejzaże i kolory. Od czasu do czasu zerkała z ukosa na dyrygenta.

Młoda Dunka była jedną z najbardziej podziwianych kobiet na świecie, a o jej nazwisko zabiegały sale koncertowe na całym globie.

Stanowiła szczególne połączenie emo i dystygowanej gwiazdy światowego formatu. Jej całe lewe ramię pokrywały podłużne tatuaże: zielone lilie wodne i imię zmarłej matki, Irene. Blond włosy miała zaczesane na lewy bok. Instrument, na którym grała, to Lord Wiltons Guarneri, wypożyczony jej dożywotnio przez fundację Mærsk McKinney Møller. Prawe ucho miała

przeszyte pięcioma złotymi kółkami. Na lewym nadgarstku Michael rozpoznał opaskę z festiwalu w Roskilde, za to buty były marki Loboutin, a sukienka projektu Elie Saab. Ta kobieta była chodzącym paradoksem, przekraczała granice stereotypów i stylów tak że przy niej nawet Madonna wydawała się przewidywalna. I właśnie jak Madonna, Bettina Horst sama uтворяła sobie drogę od wykluczenia społecznego do blasku jupiterów i najbardziej entuzjastycznych recenzji od czasów Julii Fischer. Łatwo zrozumieć, że jej tożsamość nieco się w tym procesie rozmyła.

A potem zniknęła.

Dwudziestosześcioletka rozplynęła się w powietrzu gdzieś pomiędzy czerwonymi dywanami a szalonym aplauzem widowni.

Michael nucił pierwsze takty partii solowej, kiedy ktoś zapukał w szybę. Siedział w modnej kawiarni w centrum, wśród studentów, ich nieprzerwanie klikających macbooków i cichych szeptów, a w nosie łaskotał go suchy zapach wydrukowanych prac egzaminacyjnych.

Podniósł głowę i ręką zaprosił młodego mężczyznę do środka. Dowiedział się już, że Jacob Winther był pod trzydziestkę, ale wyglądał na znacznie starszego. Kiedy do niego podszedł, Michael zamknął laptop, przywitał się uściskiem dłoni i razem przenieśli się do stolika w zacisznym rogu sali.

Mężczyzna uśmiechnął się smutno. Gdy nie patrzył na Michaela, jego twarz przybierała zamyślony, zafrapowany wyraz.

– Niezmiernie się cieszę, że zechciałeś się ze mną spotkać – powiedział, zdobywając się na odrobinę entuzjazmu.

– Nie ma za co.

– Chyba wiesz, o co chcę cię prosić. Nie oczekuję cudów... chociaż może na to właśnie mam nadzieję.

Michael ostrożnie przytaknął.

– Jacob, cuda to dość rzadkie zjawisko. Jak lamparty śnieżne albo politycy z poczuciem rzeczywistości. Sądzę, że Bóg postanowił nam je dawkować tak skąpo, dopóki w końcu czegoś się nie nauczymy albo on sam nie wróci tu i nie skopie nam tyłków.

Jacob Winther wypił mały łyk swojej latte.

– Ale w nie wierzysz?

– Gdyby nie istniały, ludzie dawno przestaliby o nich mówić. – Michael wzruszył ramionami. – Poczytałem trochę o twojej dziewczynie. Obejrzałem wszystkie filmy dostępne na Vimeo, YouTube i kanałach telewizyjnych. Była nadzwyczajna, a wiesz, że nieczęsto używam dużych słów. Te-

raz stała się natomiast murem, który nie pozwala ci ruszyć z miejsca i żyć dalej. To zrozumiałe. Nigdy nie znajdziesz kogoś takiego jak ona. Ale może nie musisz, może wystarczy ci coś mniej spektakularnego.

– Mówisz, że była nadzwyczajna, i to oczywiście prawda. Ale poza tym była po prostu moją dziewczyną. Zamierzaliśmy się pobrać. Mnie nie grała na skrzypcach. W każdym razie nie przez cały czas.

W jego sposobie wysławiania się była jakaś staroświecka, powściągliwa godność, która budziła sympatię Michaela.

– Dlaczego teraz i dlaczego ja? – spytał.

– Tydzień temu wróciłem z Nowego Jorku. Ktoś twierdził, że widział Bettinę w parku w Brooklynie. A kiedy nikt nie widział jej w Stanach, to może w Rio de Janeiro, na stacji kolejowej w Horsens, pod Ayers Rock w Australii albo w kawiarni w Amsterdamie. Wiem, że to się stało obsesją i że szaleństwem jest nadal w to wierzyć. Bettina doczekała się takiego samego statusu jak kosmici, leśne skrzaty i Elvis. Ale w drodze powrotnej spotkałem przypadkiem kolegę z liceum, który cię zna.

– Jak się nazywa?

– Simon Hallberg. Jest dziennikarzem ekonomicznym i researcherem w redakcji „The Economist” w Nowym Jorku. O waszej relacji mówił niewiele, ale postanowił się nade mną zlitować. Albo miał dość wysłuchiwania moich lamentów. Poradził mi, żebym spróbował skontaktować się z tobą. Jego zdaniem jesteś...

– Kim?

– Człowiekiem od zadań niemożliwych.

Michael westchnął zirytowany.

– Brzmi, jakby Simon wcześniej palił crack – skwitował. – Ale fakt, to porządny gość i umie znaleźć rzeczy, których inni nie znajdują. Dostrzec powiązania.

Jacob popatrzył na niego błagalnie.

– Jestem inżynierem, mam dobrą pracę. Może nie zarabiam kokosów, ale mogę wziąć pożyczkę pod zastaw mieszkania na twoje honorarium. Mogę...

– Kim ona była? Twoja dziewczyna?

Jacob bacznie przyglądał się plamie na stole.

– Pochodziła z klasy społecznej niemieszczącej się w powszechnie znanych kategoriach. Dorastając, mieszkała wielu dziwnych miejscach. Na przykład w zrujnowanym domu w ogródkach działkowych na Amager. My-

ślałem, że żartuje, gdy mi pokazała to miejsce. Dom wciąż tam stał i wyglądał jak kurnik. Jej matka chyba naprawdę się starała, ale nie miała absolutnie żadnych dochodów. Zanim przeszła na rentę, była na zasiłku. Nadużywała alkoholu. Nikt nie wie, kim był ojciec. Prawdopodobnie on sam też tego nie wie, a już na pewno nie wiedziała Irene, matka Bettiny. Zmarła, gdy Bettina miała dwanaście lat, a ona sama trafiła najpierw do domu dziecka, a potem do mieszkania chronionego dla młodzieży. Kiedy dostała się do konserwatorium, jej nauczycielka skrzypiec nieformalnie ją adoptowała.

– Kiedy zaczęła grać?

– To właśnie był cud i dlatego w nie wierzę. Otóż gdy była w domu dziecka, chodziła do zwykłej szkoły państwowej. Któregoś dnia wzięła do ręki skrzypce i natychmiast zaczęła na nich grać. Nie umiała czytać nut, ale grała tak, że anioły płakały... albo się radowały. I miała słuch absolutny. Nauczyciele zaczęli się nią interesować. Wcześniej uważano ją za nieco opóźnioną, żeby nie powiedzieć głupią. Ale po tym skierowano ją do szkolnej psycholożki, a ta poddała ją całej gamie testów na inteligencję. A potem przeprowadziła jeszcze kilka dodatkowych, ponieważ podejrzewała, że w pierwszych wystąpił jakiś błąd. Bettina wykraczała poza skalę. W szkole z nudów wpadała w otępienie, choć nawet o tym nie wiedziała.

Michael uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– A poza tym była niesamowicie ładna – zauważył. – Oszałamiająca. Tuż przed twoim przyjściem obejrzałem jej nagranie z Concertgebouw. Przepiękna kobieta. Że też zdobyłeś się na odwagę, żeby ją poderwać? Sam w życiu bym się nie odważył zbliżyć do takiej kobiety. To jak spotkać przypadkiem na Strøgecie i zaprosić na randkę Charlize Theron.

Na smutnej twarzy Jacoba Winthera po raz pierwszy pojawił się cień uśmiechu, jakby wrócił do wspomnień przyjemniejszych i szczęśliwszych. Ale zaraz ponownie spochmurniał.

– Ja też bym się nie odważył, gdybym ją spotkał na ulicy czy w kawiarni. Wokół niej zresztą zawsze kręciło się mnóstwo agentów, asystentów, kompozytorów, dyrygentów, innych muzyków, ludzi, którzy podsuwali jej do podpisu kontrakty płytowe albo chcieli ją namówić na występy charytatywne. Ale przypadkiem posadzono mnie z nią przy jednym stole na przyjęciu u wspólnych znajomych i okazało się, że jest bardzo bezpośrednia, obdarzona dużą dawką autoironii i nawet odrobiną nieśmiałości. Oraz że

oboje uwielbiamy indie rocka, wiesz, Arctic Monkeys, The Libertines, The Black Keys i tak dalej.

– Obawiam się, że zatrzymałem się na Led Zeppelin – wyznał Michael.

Jacob popatrzył na niego ze współczuciem.

– Tak, oni też byli... świetni, bardzo dobrzy. W każdym razie umówiliśmy się, że pójdziemy razem na festiwal North Side w Århus i od tego zaczęło się to, co można chyba nazwać zwyczajnym związkiem, oczywiście poza faktem, że Bettina często była w trasie.

– Rozumiem. – Michael dopił kawę. – Jacob, jeśli mam być szczerzy, to niezbyt dobrze znam międzynarodową scenę muzyki klasycznej. Może więc ty mi powiedz: czy ona miała wrogów? Może była jakaś urażona primadonna, która się na nią zawzięła?

– O ile mi wiadomo, nie. Na świecie nie zostało już zbyt wiele Marii Callas. Większość muzyków tej klasy zna się jak łyse konie. Grywają ze sobą w najróżniejszych konstelacjach i salach na całym świecie. Sprawiają wrażenie bardzo poważnych, pomocnych, życzliwych i lekko zakręconych.

Michael zaczął rozumieć, dlaczego do tej pory każde śledztwo niemal na samym początku zamierało w martwym punkcie. Wszyscy, włącznie z zaginionym cudownym dzieckiem, byli „życzliwi” albo „pomocni”. Jakby chodziło o uczestników seminarium o mindfulness na Krecie.

– A używki? – spróbował. – Wiesz, skoro matka była alkoholiczką... Czy to nie jest coś, co się dziedziczy? W mojej rodzinie zdecydowanie tak.

Mężczyzna się zastanowił.

– Objadała się słodyczami, gdy się denerwowała i uważała, że nie jest w czymś dość dobra.

– Pytałem o używki.

– Paliła mnóstwo papierosów. Ale tylko gdy wpadła w ciąg. Potem potrafiła przestać z dnia na dzień.

Michael splótł ręce na stole i popatrzył wnikliwie na młodego człowieka po drugiej stronie.

– Gdy powiedziałem, że wierzę w cuda, to mówiłem poważnie. Ale minęło niemal półtora roku od zaginięcia twojej dziewczyny, a w mojej branży to długo. Poza tym mnóstwo zdolnych i kompetentnych ludzi próbowało ją znaleźć. Zawodowców z mikroskopami elektronowymi, specjalnie wyszkolonymi psami, sprzętem do nurkowania, dostępem do baz danych, światowej sieci kontaktów i nieograniczonych zasobów.

Jacob unikał jego wzroku. Michael odniósł wrażenie, jakby chłopak się skurczył, więc szybko dodał, zanim tamten zniknie zupełnie:

– Każdy w tej branży chciałby móc powiedzieć, że wie z całą pewnością, co się stało z Bettiną Horst. To by było jak odnalezienie Bursztynowej Komnaty albo wyjaśnienie zamachu na Johna F. Kennedy’ego. Szukali jej detektywi z New Scotland Yardu, francuskiej żandarmerii i FBI, ponoć na prośbę umuzykalnionych żon niektórych polityków. Jacob, to są ludzie w pełni oddani swojej pracy, którzy na pewno nie szczędzili środków. Są najlepsi.

Jacob wciąż siedział przed nim w tej kawiarni. Możliwe, że bardziej zgaszony, niż kiedy przyszedł, ale w oczach nadal miał ten uparty żar.

Michael westchnął. Uznał, że ten człowiek nigdy nie przestanie jej szukać.

– Zrobię wszystko, żeby móc ci zapłacić – zapewnił go. – Simon mówił o tobie z niemal nabożnym podziwem.

– Nie masz tylu pieniędzy – stwierdził kategorycznie Michael. – I nigdy nie będziesz miał, więc przestań o tym mówić, okej? – Zaczął zawzięcie składać serwetkę, aż była rozmiarów pocztowego znaczka. – Z różnych powodów nie mam w tej chwili szczególnie dużo pracy – oznajmił. – Przejrzę dostępne informacje i sprawdzę, czy jest coś, co inni mogli przeoczyć, chociaż trudno mi to sobie wyobrazić.

Jacob podniósł głowę.

– Naprawdę to zrobisz?

– Ale niczego nie obiecuję. Ważne, żebyś to rozumiał.

– Rozumiem. – I zanim Michael zdążył się rozmyślić, mężczyzna przesuwał po stole dysk USB.

– Tu jest wszystko, co kiedykolwiek napisano o tej sprawie – wyjaśnił. – Zeznania świadków. Chronologia. Zeskanowałem wszystkie istniejące raporty. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, zdobędę to.

Michael wziął dysk.

– Jeśli będę czegoś potrzebował, zapytam żony. Pracuje w policji.

– Tak? Simon nie wspominał, że jesteś żonaty...

– W jakimś sensie – mruknął Michael i wstał. – Zadzwoń, jeśli dowiem się czegoś ciekawego.

Bjarne zmierzył ją wzrokiem niezadowolonej matki, chociaż Lene i bez tego wiedziała, że poprzedniego wieczora wypila o parę kieliszków wina za dużo. A potem przez pół nocy kręciła się wokół własnej osi, aż porzuciła nadzieję na sen i zamiast tego jeszcze raz zaczęła oglądać trzeci sezon *Breaking Bad*. Najwyraźniej osiągnęła już wiek, w którym takich rzeczy nie można robić bezkarnie i w którym twarz zdradzała wszystko.

– Dobry – powitał ją szorstko.

– Podwójne espresso poproszę.

Bjarne począpał do ich prywatnego ekspresu do kawy, a Lene zarzuciła nogi na biurko i wbiła wzrok przed siebie.

– Dużo myślałam.

– To świetnie, Lene. – Postawił przed nią filiżankę.

– Ta dziewczyna z morza. – Lene zawiesiła głos i zaczęła wyliczać na palcach: – Która niedawno urodziła, którą ktoś zszył i usunął szwy, która miała drogi francuski nóż kuchenny. Która ktoś zastrzelił. Która weszła na łódź niedaleko wyspy Bertrama Monella. I która wygląda jak typowa Filipinka i zupełnie przeciętna au pair. To jak znaleźć zebra na biegunie północnym. To się nie trzyma kupy.

– Okej, ale ta zebra miała bilet lotniczy – oznajmił Bjarne i usiadł. – Mendoza napisał maila wczoraj późnym wieczorem. Maria de la Reyes przyleciała do Frankfurtu drugiego kwietnia zeszłego roku Asiana Airlines lotem przez Bangkok.

Lene zdjęła nogi i popatrzyła na niego uważnie.

– Naprawdę? Tam musi być mnóstwo kamer. Może ktoś ją odebrał z lotniska. Może akurat nam się poszczęści.

Bjarne powiódł po niej nieśmiało brązowymi oczami. Wiedziała, że zwykle unikał kontaktu wzrokowego. Oraz fizycznego. Czasem czuła się tak, jakby dzieliła biuro z Rain Manem.

– Możliwe. Pozwoliłem sobie zadzwonić do miss Isabelli Linares z tego biura rekrutacji w Manili.

– Pamiętam, to ta, która zgłosiła zaginięcie. I co powiedziała?

Bjarne patrzył w punkt za jej plecami. Czasem zawieszał się na chwilę i przeważnie mu na to pozwalała.

– Była taka miła... bardzo pomocna... – Jego głos wybrzmiał i zamilkł.

– To się z nią ożeń, cholera. Mów, co powiedziała!

Bjarne westchnął przeciągle. Jego filiżanka była pusta i zerknął na ekspres.

– Zrób krok w stronę tej maszyny, a zastrzelę cię na miejscu.

Ściągnął usta, ale podziałało.

– Powiedziała, że pewna niemiecka firma zatrudniła Marię de la Reyes, wstępnie na rok z możliwością przedłużenia umowy, jeśli wszyscy będą zadowoleni. Miss Linares z początku była zachwycona. Wszystko wydawało się przejrzyste i profesjonalne. Tamta niemiecka firma zapewniała personel do hoteli, restauracji i na statki wycieczkowe. Mieli porządnie wyglądającą stronę internetową z rekomendacjami od zadowolonych klientów oraz skuteczną i pomocną osobę kontaktową o nazwisku Hildegard Gerchner.

– A ta znakomita firma też się jakoś nazywała?

– Germanischer Zukunft International. Główna siedziba w Hamburgu.

– I?

– Zapłacili dwanaście tysięcy euro zaliczki za pierwsze trzy miesiące, włącznie z prowizją dla agencji. Pokryli koszt wizy Marii i pozwolenia na pracę, mieli dla niej nagraną posadę i niewielkie mieszkanie. Miss Linares, jak mówię, była zachwycona. Powiedziała, że wszystko poszło nadzwyczaj gładko. Z reguły trzeba się z klientami trochę potargować, ale ci zapłacili bez szemrania.

Lene weszła mu w słowo:

– I ta szczodra i niezwykle skromna firma istnieje naprawdę?

– Dziesiątego kwietnia złożyli w Hansestadt Handel- und Commerzbank wnioski o upadłość i przestali istnieć.

– Tydzień po tym, jak zatrudnili Marię de la Reyes? Bjarne, to jest prawdziwa bomba. Świetna robota.

Jej asystent lekko się zaczerwienił.

– Ale to nie wszystko.

– No to mów. I powiedz mi, człowieku, czy ty nigdy nie śpisz? Nie zjedź się. Chcę mieć z ciebie pożytek jeszcze długie lata.

– Dziękuję. Zatem, okazało się, że Germanischer Zukunft International była córką większego konglomeratu o nazwie European Recruits Overseas, zarejestrowanego w Luksemburgu, który z kolei należał do holdingu o nazwie Enigma Trading, angielskiej firmy zarejestrowanej w Nassau na Bahamach. I w tym momencie uznałem, że nie ma sensu kopać dalej.

– Firma w firmie w firmie. Jaki mieli adres w Hamburgu?

– Róg Grindelallee i Rentzelstrasse, w dość ekskluzywnej dzielnicy Hamburga. Mieszkanie, w którym mieli siedzibę, zostało wynajęte na początku lutego zeszłego roku i obecnie mieści się tam biuro podróży.

Bjarne mówił to wszystko z głowy. Nigdy niczego nie notował.

– Ale to bez sensu. Kompletnie bez sensu – stwierdziła Lene. Wstała i niespokojnie krążyła po biurze. – Jeśli chcesz sprowadzać z Azji albo Europy Wschodniej kobiety, które mogą zniknąć, nie budząc niczyich podejrzeń, to procedura jest taka, że albo zamieszczasz ogłoszenie na portalu randkowym, obiecując szczęśliwe, pełne perspektyw życie u boku jasnowłosego, kulturalnego i przystojnego maklera giełdowego, który uwielbia kolacje przy świecach, grę w tenisa i dzieci, albo zamawiasz je u przemytnika z dostawą, albo zwyczajnie zgarniasz z ulicy, usypiasz chloroformem i wrzucasz do jakiegoś kontenera. A to, o czym tutaj mówimy, jest zbyt skomplikowane, zbyt cywilizowane... i kosztowne.

Bjarne w milczeniu patrzył przed siebie.

Nie powiedział mi wszystkiego, pomyślała i wbiła wzrok w niego.

– Nie chce mi się bawić w zgadywanki – ostrzegła.

– Rozumiem. To po prostu dla mnie niełatwe, bo widzisz... Tak naprawdę było ich trzy. Leciały razem. Ta sama firma. Wszystko to samo. Poprosiłem miss Linares, żeby sprawdziła to z Germanischer Zukunft International. Potwierdziła, że dziewczyny opuściły Manilę razem. Leciały tym samym lotem do Frankfurtu i wszystkie zostały zgłoszone bez danych osób bliskich. Dziewczyny tuż po dwudziestce. Klony.

– Trzy? – powtórzyła słabo.

– Pozostałe dwie to Kayla Torres i Marisa Castro. Zakładam, że Mendoza przyśle nam również ich teczki.

Lene usiadła na swoim krześle, pochyliła się i oparła łokcie na kolanach. Przyglądała się wykładzinie przed czubkami swoich butów.

– Może nie trafiły w to samo miejsce – powiedziała wreszcie.

– Może.

– Ale wiemy, że owszem.

Bjarne pokiwał głową.

Michael wysypał sobie na dłoń mieszankę paracetamolu i ibuprofenu, i przypadkiem spojrzął w lustro w łazience. Nie powinien był tego robić. Twarz miał szarą, a skórę napiętą i suchą. Połknął tabletki, popił wodą nabrań w dłonie i zamknął oczy. Była noc, a wszystko przedstawiało się tak jak zwykle na tym etapie śledztwa: beznadziejnie. Możliwe, że inni prywatni konsultanci nie mieli problemu z łączeniem ważnych śledztw ze zwy-

kłym życiem rodzinnym, wakacjami, pielęgnowaniem hobby i utrzymywaniem relacji z przyjaciółmi. Michael miał jednak tylko dwa ustawienia: *on* i *off*. Oczywiście zdawał sobie z tego sprawę, ale już dawno przestał próbować cokolwiek z tym zrobić.

Był późny wieczór, a ostatnie trzy doby poświęcił na dogłębne zapoznanie się z materiałem od Jacoba Winthera. To były ogromne ilości informacji. Same doniesienia prasowe o zniknięciu Bettiny Horst ciągnęły się w nieskończoność.

Wrócił do ciemnej kuchni, usiadł przy komputerze, zapalił papierosa i prawie dostał zawału, gdy czyjaś dłoń spoczęła na jego ramieniu.

– Jezu Chryste, Ida! Musisz się tak skradać jak cholerna nindza? Prawie się zesrałem...

Całkowicie zignorowała jego atak i po prostu obeszła stół dookoła. Ostentacyjnie zamaszystymi ruchami rozsunała zasłony i otworzyła okna. A potem pomachała mu rękami przed twarzą.

– Michael, śmierdzi tu jak w spalonej fabryce tytoniu. Gdybyś zapomniał, ja tu płacę czynsz. Jadłeś coś? Poza tym od tygodnia się nie goliłeś. Wyglądasz jak ponury żart.

– Dzięki. Mam ci odpowiedzieć na te wszystkie pytania, czy to obojętne? Gdybym sobie ceniał nieustanne wyrzuty, krytykę, obwinianie, stękanie i zawstydzanie oraz konflikty, tobym po prostu dalej był żonaty.

Zapaliła światło i Michael zasłonił twarz dłońmi jak wampir porażony promieniami słońca.

– Kurwa – mruknął zrozpaczony.

– Jadłeś? – spytała ponownie i nie czekając na jego odpowiedź, zaczęła grzebać w lodówce i wrzucać rzeczy do mikrofal. – *Fuck*, co za zjebany dzień... pięć operacji... *mammamia*... czy ludzie nie mogą trochę bardziej o siebie dbać, do cholery?

Usiadła po drugiej stronie stołu i mu się przyjrzała.

– Co ty właściwie robisz?

– Niszczę sobie mózg albo to, co z niego zostało – odparł z zamkniętymi oczami. – Oni mają rację, wszyscy. Tej zbrodni nie da się wyjaśnić. Tylko nie pojmuję, jak taka światowa sława mogła się rozpląnąć w powietrzu, i to doprowadza mnie do szału. Chyba że porwali ją kosmici. Zaczynam nawet w to wierzyć.

Ida wstała i zaczęła rozdzielać jedzenie na dwa talerze. Potem naląła czerwonego wina i postawiła przed nim kieliszek, talerz i sztućce.

– Ja też tego nie rozumiem – przytaknęła. – Ale z drugiej strony nie wiem, o kim mówimy.

Michael popatrzył na jedzenie i skubnął odrobinę. Ida jadła za nich dwoje.

– O Bettinie Horst. Sama mnie w to wplątałaś.

Uśmiechnęła się zaskoczona.

– Czyli porozmawiałeś z tym chłopakiem? To naprawdę miło z twojej strony, Michael. I wiadomo, że jeśli ktoś jest w stanie rozwiązać tę zagadkę, to tylko ty.

Uważnie przeżuwał jedzenie.

– Co to jest?

– Nie wiem. Ale smakuje nieźle, prawda? Bo wiesz, Michael, ludzki organizm nie jest w stanie funkcjonować na diecie złożonej z papierosów, kawy, ciastek i whisky. Wiem to, bo jestem lekarką.

Michael dopiero teraz zorientował się, że był głodny jak wilk.

– Smakuje w porządku – mruknął.

Stuknęła się z nim kieliszkiem.

– Jestem pewna, że uda ci się to rozwiązać. Zawsze ci się udaje.

– Nie tym razem – stwierdził ponuro. – Wyjaśnienie tego wydaje się niemożliwe oraz minęło cholernie dużo czasu. Ludzie zapominają.

Ida zakręciła winem w kieliszku i popatrzyła na czerwone łyż, które zostawiło na szkle.

– Zatem co się stało?

Michael odłożył sztućce i osuszył wargi kawałkiem papierowego ręcznika:

– Był dwunasty lutego zeszłego roku. Bettina Horst grała Szostakowicza w Radiowej Sali Koncertowej. Po przerwie miał wystąpić kwintet dęty Carla Nielsena. Koncert oczywiście wyprzedził się wiele miesięcy wcześniej. Światowej sławy skrzypaczka rzadko występowała w kraju.

– Zatem Szostakowicz... i co dalej?

– Bisować skończyła o dwudziestej pierwszej piętnaście. Asystentka zamówiła taksówkę, która miała zawieźć Bettinę i jej Guarnieriego na lotnisko. Następnego dnia zaczynała próby w Lincoln Centre w Nowym Jorku. Jak zwykle z sali koncertowej wyszła tylnymi drzwiami, ale taksówkarz nigdy jej nie zobaczył. Został przesłuchany przez hiszpańską inkwizycję, a korporacja sprawdziła jego GPS-a. Nikt jej nie widział, poza sprawcą. W

pierwszych dniach spodziewano się, że ktoś wystąpi z żądaniem okupu, ale nic takiego się nie stało.

– Więc co twoim zdaniem się stało?

Rozłożył ręce.

– Nie mam zielonego pojęcia. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że po wyjściu z budynku spotkała kogoś znajomego. Nie bliskiego znajomego czy przyjaciela, ale kogoś, komu ufała. Ale to tylko strzał w ciemno.

– Dlaczego myślisz, że to nie był bliski znajomy?

– Bo wszystko, co tamtego dnia robili ludzie z jej najbliższego otoczenia, prześwietlono i potwierdzono w najdrobniejszych szczegółach. Życie każdej z tych osób zostało wywrócone do góry nogami.

– Ale nawet taka wielka sława mogła przecież trafić na zwykłego, prymitywnego zbrodniarza – zauważyła Ida. – To, że Bettina Horst była znana i obracała się w ekskluzywnych kręgach, nie znaczy, że padła ofiarą wyrafinowanego spisku. Może to był całkiem zwykły psychol, gwałciciel i morderca, który dopiero po czasie zorientował się, że zabił wielką gwiazdę i w związku z tym stoi po szyję w gównie, mimo to był dość sprytny, żeby skutecznie zatrzeć ślady.

Michael pokiwał głową.

– Zasadniczo masz rację, ale nie starczyłoby mu czasu. Odkąd pożegnała się z asystentką i przeszła te sto pięćdziesiąt metrów dzielące tylne drzwi od postojów taksówek, minęło góra pięć minut. Nawet nie pięć, raczej dwie. Poza tym nie wydaje mi się, żeby seryjni mordercy albo gwałciciele zwykle żerowali przy salach koncertowych.

Ida ukradła mu jednego papierosa, zapaliła i mocno się zaciągnęła.

– Więc co zamierzasz zrobić? – spytała. – I czy cię na to stać? Co z tamtą włoską firmą, która cię błagała, żebyś się zajął ich podejrzeniami o szpiegostwo przemysłowe?

– Dałem im namiar na kolegę z Anglii.

Choć sprawiał wrażenie zmęczonego, na twarzy Michaela malował się pewien szczególny wyraz upartego zacięcia, który Ida знаła lepiej niż ktokolwiek. Pierwszy raz zobaczyła go, kiedy miała jedenaście lat i wróciła ze szkoły z płaczem. Paru starszych chłopaków jej dokuczało, bo była marzycielką, wiecznie z głową w chmurach. Nękali ją przez kilka dni. A potem przestali, bo wylądowali w szpitalu z ciężkimi obrażeniami. Nie umieli podać spójnego rysopisu osoby, która ich napadła, ale w pobliżu miejsca zdarzenia policja znalazła zakrwawioną metalową rurkę. Bez odcisków palców.

Michael nigdy o tym nie mówił, ale Ida wiedziała, co się stało.

– Pieniądzy mi wystarczy – zapewnił ją. – Zwłaszcza jeśli odstawię whisky.

– Naprawdę byłbyś w stanie?

– Zawsze mógłbym spróbować. A w sprawie Bettiny Horst rozwiązanie tkwi w jakimś detalu, którego znaczenia nikt nie docenił. Będę musiał zdobyć jeszcze więcej szczegółów. To jak studiowanie gwiazd. Im wyżej się wzniesiesz, tym więcej widzisz. Problem w tym, że ta konkretna gwiazda, której szukasz...

– Gubi się w tym bezliku.

– Ale innego sposobu nie ma – podsumował.

Wyjął z komputera dysk od Jacoba Winthera i popatrzył na niego z nie-nawiścią.

– Przebrnąłem przez wszystko, co tu jest, ale potrzebuję czegoś nowego, świeżego i obiecującego.

– Na przykład?

– Wyciągów z jej konta, deklaracji podatkowych, szczegółów z życia codziennego. Nie tego obfotografowanego, ale tego zwykłego. Muszę wiedzieć, dokąd chodziła na kawę, do fryzjera, na depilację bikini, gdzie kupowała ciuchy i spotykała się z przyjaciółmi. Z kim rozmawiała osobiście, ale przypadkiem.

– I jak się tego dowiesz?

– Od Lene. A konkretnie od jej asystenta Bjarnego.

Podniósł na nią zrezygnowany wzrok.

– Ale to oznacza, że muszę się spotkać z furią i ją do tego przekonać. *Fuck!*

Dolała sobie wina i zrobiła głęboki wdech.

– Michael?

– Co?

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś i wiem, że nie znosisz być przesłuchiwany, ale co właściwie się stało? W sensie, wiem, że oboje jesteście fanatykami i działacie jak rakiety na podczerwień, ale przecież się rozumieliście, prawda? Zawsze uważałam, że jesteście wybitnie dobraną parą.

Popatrzył na nią smutno.

– To prawda, rozumieliśmy się. I może byliśmy dobrani. Ale zjebałem to, siostrzyczko.

Ida postanowiła wykorzystać rzadki moment, w którym Michael się otworzył:

– Powiedziałeś coś nie tak?

– Zrobiłem coś nie tak. W Paryżu wpadłem przypadkiem na osobę, której nie byłem w stanie się oprzeć. Ona była jak ze snu. Jak opium. – Zmęczonym gestem potarł dłonią czoło. – Chociaż może to nie był przypadek, sam już nie wiem.

– Przecież tobie nigdy się to nie zdarzało.

– Ale się zdarzyło.

Wstał od stołu, potarł twarz dłońmi i palcami przeczesał włosy. Na koniec szarpnął je mocno. Ida, patrząc na to, poczuła ból głęboko w sercu.

– Dzięki za kolację. Idę spać. Dobranoc.

– Zaczekaj chwilę, do diabła. Kim ona była?

– Powiedziała, że ma na imię Rose i jest z RPA. Akcent się zgadzał. Powiedziała też, że jest biolożką morską i zaproszono ją do Paryża, aby wygłosiła odczyt na temat koralowców. Ida, ona nie istnieje.

– W jakim sensie?

– Takim, że nie istnieje. W każdym razie nie jako badaczka, za którą się podała.

– I więcej jej nie widziałeś?

– Nie, ale jeśli ją zobaczę, to skopię jej tę idealną dupę, aż się nie pozbiera. Okazała się niesamowicie okrutną diabolicą. To tak jakby ktoś ci powiedział, że Mona Lisa dusiła małe dzieci i je zjadała.

– Co takiego zrobiła?

– Zapomnij o tym. To nieistotne.

Przyjrzała mu się bliżej.

– Chodź tu, niech cię obejrzę. Jedno oko masz czerwone i spuchnięte.

– Tak? Pewnie za dużo fajek.

– No chodź.

Pociągnęła go bliżej stojącej na stole lampy.

– Masz jęczmień wielkości czołgu. Jak mogłeś go nie zauważyć?

– Nie wiem.

Ida pokręciła głową.

– Wystawię ci e-receptę na antybiotyk. Ale obiecaj mi, że jutro pójdziesz do apteki.

– Oczywiście, pani doktor.

Następnego wieczora Michael stał pod drzwiami Lene z dłonią uniesioną, żeby zapukać, chociaż dziwnie było pukać do drzwi mieszkania, które do niedawna było jego domem.

Otworzyła i ruszyła przodem do salonu. W przedpokoju zwrócił uwagę na torbę podróżną z etykietą lotniskową CPH-HAM na rączce. Obok stała jej torba sportowa ze śmiercionośnymi czerwonymi rękawicami bokserскими i wilgotnym ręcznikiem.

Usiadł po drugiej stronie stolika kawowego. Wszędzie stały świeże kwiaty, mówiące: „bez ciebie jest mi znacznie lepiej”. Ciepłe światło lamp podłogowych dodatkowo podkreślało jej szerokie usta. Wyglądała na bardzo spokojną i odprężoną. Michaelowi wydała się niesamowicie pociągająca. Na dolnej szczęce po lewej stronie miała niewielką opuchliznę i zarys sińca ukryty pod korektorem.

Złożył dłonie na kolanach.

– Byłaś w Niemczech – zagał.

– Byłam.

– W interesach czy dla przyjemności?

– I to, i to. Na lotnisku kupiłam sobie rajstopy.

Cisza.

Spokojnym ruchem poprawiła różę w wazonie, a on marzył o papierosie.

– Nie chcę, żebyś tu palił, Michael.

– Jasne. Ja...

– Przyszedłeś z czymś konkretnym czy po prostu mamy kontynuować od momentu, w którym przerwaliśmy ostatnio?

Teraz się wkurzył.

– Słuchaj, czy to naprawdę musi być jak ekstrakcja ósemek? Przyszedłem, bo chcę cię prosić o zawodową przysługę w sprawie, nad którą obecnie pracuję, i dla ciebie zrobiłbym to samo, niezależnie od naszych małżeńskich problemów. Więc może zaproponuj mi drinka i zaczniemy jeszcze raz?

Przez chwilę patrzyła na niego lodowato. Wiedział, że zastanawiała się, czy go nie wywalić za drzwi. W końcu skinęła sztywno głową i przyniosła szklanki i butelkę szkockiej whisky. Sobie też naląła. Michael zaczął się odprężyć. A potem zmrużył oczy.

– Krew ci leci z nosa – oznajmił.

Zerwała się z dziwnym jękiem i pobiegła do łazienki. Słyszał, jak klnie przez całą drogę, i uśmiechnął się do siebie.

Po kilku minutach wróciła z wacikami w nosie i nieco mniej nieugiętą postawą. Michael nie przestawał uśmiechać się współczująco, bo wiedział, że to ją irytuje. Sącył whisky. Była znakomita.

– A jak się miewa tamten? – spytał.

– O czym ty mówisz?

– Widziałem w korytarzu twoją torbę sportową. Ręcznik jest wilgotny, więc domyślałam się, że pokiereszowałaś kogoś na ringu. Basima? – Michael wspomniał o niemal dwumetrowym policjancie syryjskiego pochodzenia, ulubionym sparingpartnerze Lene.

– To była dziewczyna. Nowa, świeżo po szkole policyjnej.

– Biedna. Twoje rękawice powinny mieć trójkąty ostrzegawcze.

Lene prychnęła.

– Bez przesady. Inna sprawa, że dziewczyna powinna być w lepszej formie. Tak naprawdę zrobiłam jej przysługę i sądzę, że kiedyś to doceni. Za jakiś czas. Lepiej dostać wciry ode mnie, niż gdyby miał ją okaleczyć jakiś bandzior albo któryś z imigranckich gangsterów. To o czym chciałeś ze mną rozmawiać?

– O Bettinie Horst. Przyglądam się tej sprawie. Charytatywnie, można powiedzieć. Poprosił mnie o to jej narzeczony.

– Ty robisz coś charytatywnie?

Postanowił zignorować sarkazm.

– Zgadza się.

– Ale Michael, przecież to beznadziejne. Wszyscy próbowali tę sprawę rozwiązać. Kiedyś przy poszerzaniu autostrady odnajdą się jej szczątki.

Przytaknął.

– Wszyscy mi to powtarzają. Ale ktoś to zrobił. Ktoś wie, co się stało.

Wzruszyła ramionami i umoczyła wargi w whisky.

– Okej, ale moim zdaniem podejmowanie tego wyzwania zakrawa na manię wielkości. Co chcesz wiedzieć?

– Pomyślałem, że Bjarne mógłby wyszukać dla mnie jakieś drobne fakty. Fryzjera, dentystę, lekarza, ulubione sklepy, numery telefonów, masaży-stów, lutników. Wszystko, co w życiu każdego stoi zapisane drobnym drukiem. Na przykład na wyciągach z kont.

Lene się zamyśliła.

– W porządku. Ale nie chcę, żeby któregoś dnia to we mnie uderzyło rykoszetem. Albo w Bjarnego. Nie mamy dostępu do informacji tak wrażliwych, więc on będzie musiał się włamać do tych wszystkich baz danych.

Michael dopił whisky i wyciągnął ku niej szklanę.

– Jeszcze jedna?

Dolała mu.

– I na tym zamykamy bar – zastrzegła.

– Jak idzie z dziewczyną z lasu?

Cały jej dystans zniknął w jednej chwili. Znajdowała się na własnej połowie boiska, a jej zaangażowanie jak zawsze było fenomenalne.

– W rzeczywistości było ich trzy. Trzy filipińskie klony wynajęte od tego samego biura w Manili przez niemiecką firmę rekrutującą personel do barów, restauracji i na statki wycieczkowe. Przez Frankfurt dostały się do strefy Schengen i zniknęły bez śladu. Naturalnie, z wyjątkiem Marii de la Reyes. Jestem jednak niemal pewna, że pozostałe dwie również nie żyją. Kayla Torres i Marissa Castro. – Zamilkła i spuściła wzrok. – Działali sprawnie i profesjonalnie. Dziewczyny otrzymały zaliczkę, wizy, pozwolenia na pracę, ubezpieczenie i bilety lotnicze. Problem w tym, że ta niemiecka firma przestała istnieć tydzień po tym, jak one dotarły na miejsce.

– Wygląda na dość skomplikowaną operację.

– Dokładnie. Zdecydowanie zbyt skomplikowaną. Przez dwie doby oglądałam nagrania z kamer na lotnisku we Frankfurcie. Na koniec oczy mi wychodziły z orbit. Może masz czas spojrzeć... – Zawiesiła głos.

– Oczywiście.

Lene włączyła laptop, otworzyła Google Earth i usiadła obok niego.

Ich ramiona prawie się stykały.

– Firma miała siedzibę tu... w tym budynku na rogu Grindelallee i Rentzelstrasse. To jeden z najdroższych adresów w Hamburgu.

Michael wskazał na szary kwadrat.

– A to co?

– Sąsiedzi. Ortodoksyjna szkoła żydowska. Talmud und Tora Realschule. Google Earth ją zamazuje i utajnia, ale przechodziłam tamtędy kilka razy i budynek jest obwieszony kamerami monitoringu, obejmującymi wszystkie wejścia, włącznie z tym, który należał do Germanischer Zukunft. Niestety nagrania pokażą mi, tylko jeśli Jerozolima się zgodzi.

– A lotnisko?

Lene pokazała mu nagrania z lotniska we Frankfurcie. Trzy młode Azjatki rozmawiają z ożywieniem. Mają na sobie dzinsy, tanie koszulki i cienkie kurtki. Wyglądają na spięte i podekscytowane. Widać, jak przecho-

dzą kontrolę paszportową, czekają na bagaże w hali przylotów – a potem znikają.

– Nikt ich nie odebrał?

Pokręciła głową i zamknęła komputer.

– Mam w Hamburgu koleżankę, Kittę Krupp. To doskonała oficerka śledcza, wiem, że będzie nękać Izraelczyków do skutku, ale najpierw policja w Hamburgu musi wystąpić z oficjalnym wnioskiem do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wniosek musi przejść przez MSZ i na koniec dostać zielone światło od izraelskiej służby bezpieczeństwa. Będę miała sto dwadzieścia lat, gdy dostanę te nagrania.

– Może nie – zamyślił się Michael. – Ida nadal przyjaźni się z jednym gościem ze swojego kibuca, Gabrielem jakimś tam, który potem trafił do Mossadu. Chyba jest tam pułkownikiem. Piszą do siebie, a on był ojcem chrzestnym syna Idy. Mogę ją poprosić, żeby się z nim skontaktowała. Skróciła biurokratyczną ścieżkę.

Lene zmrużyła oczy.

– Naprawdę byś to zrobił? Dlaczego?

Michael bawił się w kieszeni zapalniczką.

– Jeśli przekonasz Bjarnego, żeby mi pomógł z Bettiną Horst, to moim zdaniem naturalne, że ja też...

– Od razu wprowadzę go w szczegóły – obiecała. – Dalej używasz swojego gmaila?

– Tak. I dzięki.

Sama z siebie dołała mu whisky i mechanicznie zaczęła masować opuchniętą szczękę.

– Jakby sprawa nie była dość skomplikowana, możliwe, że gdzieś jest jeszcze czwarta ofiara. Albo raczej połowa – powiedziała jakby do siebie.

– Jak to połowa?

– Noworodek. Maria de la Reyes karmiła. Urodziła dziecko jakieś dwa albo trzy miesiące temu.

– Czyli gdzieś jest również dziecko bez matki?

– O ile ktoś zadał sobie trud utrzymania go przy życiu.

Michael wstał i zaczął chodzić w kółko.

– Lene, to brzmi potwornie. Musisz to wyjaśnić jak najprędzej.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– No tak, ale...

Znów usiadł i poczuł, jak narasta w nim niepokój i dziwny, nienazwany lęk. Potem spojrzał na nią. Na te szerokie usta, delikatną skórę i drobne uszy z kolczykami w kształcie delfinów.

Pochwyciła jego wzrok i zaraz spojrzała w inną stronę.

– Lene...

– Nie. Nie, Michael! Zapomnij o tym, słyszysz?

– Do cholery, dlaczego wszystko między nami musi być tak przesiąknięte nienawiścią?

Popatrzyła na niego. A potem odsunęła swoje krzesło, żeby zwiększyć dystans między nimi.

– Dlatego, Michael, że ty mnie miałeś. Miałeś moje ciało i duszę, ufałam ci. Pierwsze półtora roku naszego małżeństwa to był najlepszy okres w moim życiu.

Chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go ruchem ręki.

– Mówię to, bo taka jest prawda, ale to się skończyło, gdy twoja kochanka wpadła na pomysł, żeby zrobić ci zdjęcie twoim własnym telefonem i wysłać mi je w środku nocy. Spałeś w hotelowym łóżku z wielkim idiotycznym uśmiechem na twarzy i sflaczałym mokrym fiutem leżącym na udzie. Jej majtki leżały na poduszce, powinnam chyba być wdzięczna, że nie miałeś ich na głowie. Taką dostałam odpowiedź na pół miliona esemesów, w których mówiłam ci, jak bardzo za tobą tęsknię. Dlatego. Próbowaliśmy, jak dorośli ludzie, przepracować to na terapii, ale od tamtej nocy nasze małżeństwo stało się cholernym obrazem Picassa.

Michael spuścił wzrok. Nic więcej nie zostało do powiedzenia.

– Nie było cię przez cztery miesiące – dodała Lene i odsunęła kosmyk z czoła. Jej źrenice się rozszerzyły, kiedy spojrzała na podłogę. – Przez cztery miesiące nie wiedziałam, gdzie ty u licha jesteś.

– Wiesz, jak jest – zaprotestował. – Nie mogę ci mówić o swoich zleceniach ani klientach.

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Ty i twoja najświętsza tajemnica zawodowa. Dlaczego uważasz, że nie możesz mi zaufać?

– Mogę ci zaufać, tak samo jak moi klienci ufają mnie. To działa w obie strony.

Lene wstała i otworzyła drzwi na korytarz.

– Niech ci będzie. Ale jak sam słusznie zauważyłeś odnośnie do Bettiny Horst: to się stało. Zrobiłeś to. Nie zostałeś zgwałcony i mam tylko na-

dzieję, że ona była tego warta.

– Nie była – mruknął.

– Cóż, w takim razie szkoda. Możesz już iść. Umowa stoi. Dobranoc.

Michael stał w niekończącej się kolejce w aptece przy Jægersborg Allé i próbował telepatycznie sprawić, żeby wybitnie irytująca typowa yuppie matka w towarzystwie równie typowego gнома w markowych ciuchach się przymknęła. Tymczasem kobieta od – jak się Michaelowi zdawało – kilku godzin odpytywała farmaceutę z molekularnych składników kremu z filtrem dla dzieci.

W końcu nie wytrzymał i mocno postukał ją palcem w ramię.

– Nie wiem, czy pani zauważyła, że stoi za panią sporo osób będących na samozatrudnieniu, które tak naprawdę mają życie i chętnie by do niego wróciły. To nie jest, kurwa, pluton, tylko krem do opalania. Więc niech go pani kupuje albo spada.

Facet w stroju robotnika stojący za Michaeliem zaczął klaskać, a farmaceuta dłonią zasłonił uśmiech. Młoda kobieta miała pioruny w oczach, ale dobre wychowanie nie pozwoliło jej dać Michaelowi w twarz. Odwróciła się i przecisnęła do wyjścia, ciągnąc za sobą bachora.

Michael dostał swoje krople do oczu, wbił kod w terminal i zamarł. Jego wzrok przypadkowo trafił na czarno-białą reklamę szwajcarskiego kremu do twarzy. Twarz modelki była gładka i nieskazitelna, sunęło po niej kilkadziesiąt plastikowych lśniących kropeł wody uchwyconych w jednej dwutyśycznej sekundy.

To była twarz Rose.

Zapatrzył się na to zdjęcie, aż reszta świata się rozmazała.

Farmaceuta nieznacznie otworzył usta.

– Coś jeszcze? – spytał.

Michael wskazał na reklamę.

– Kto to jest?

– Yyy... to krem do twarzy. Nawilżający... do... no, do twarzy.

– Hej, kupuj albo spadaj, co? – Zniecierpliwził się młody robotnik za nim.

Michael zgromił go wzrokiem. A potem wyrwał reklamę z ramki i zamaszczystym krokiem wymaszerował z apteki.

Tego samego wieczora siedział za kierownicą swojego szarosrebrnego mercedesa na parkingu komendy głównej w Glostrup i na odtwarzaczu BOSE słuchał, jak Bettina Horst gra koncert skrzypcowy D-dur Beethovena, opus sześćdziesiąte pierwsze. Od czasu do czasu zerkał w górę na narożne biuro Lene. W końcu zrobiło się w nim ciemno i parę minut później wyszła z budynku. Światło latarni padało na jej rude włosy. Otworzyła drzwi małego peugeota, wsiadła i zaczęła cofać.

Jej asystenta złapał, gdy ten odpiął rower i zakładał kask na swoją dużą głowę. Michael wiedział, że odkąd obronił Bjarnego przed atakiem chwilowo obłąkanego agenta PET, stał się dla niego kimś w rodzaju Hana Solo. I rzeczywiście, na jego widok mężczyzna uśmiechnął się zaskoczony i lekko onieśmielony.

– Cześć, Bjarne – przywitał się Michael.

Informatyk się rozejrzył.

– Chcesz się widzieć z Lene? Wydaje mi się, że właśnie pojechała, więc...

– I bardzo dobrze – zapewnił go szybko. – Posłuchaj, Bjarne, potrzebuję...

– Nie dostałeś tych plików o Bettinie Horst? – mężczyzna spojrzał na zegarek. – Wysłałem je z godzinę temu.

W jego świecie nie do pomyślenia było nie sprawdzać skrzynki mailowej co najmniej dwa razy na godzinę.

– Tak, dostałem. Wielkie dzięki. Jesteś magikiem, Bjarne. Naprawdę. Tylko teraz bardzo, ale to bardzo potrzebuję twojej pomocy z tym. – Rozłożył reklamę szwajcarskiego kremu do twarzy i podsunął mu ją pod nos. – Możesz ją dla mnie znaleźć? Wiem, że wskazówek nie jest za wiele. Naprawdę wiem. W rogu małymi literami jest nazwa agencji reklamowej. Jakaś francuska firma.

Bjarne popatrzył na reklamę, ale jej nie tknął. Normalnie polecenia przyjmował tylko od Lene. Z drugiej strony trudno mu było się oprzeć wyzwaniu. Nieczęsto miał okazję w pełni wykorzystywać swoje nadzwyczajne zdolności.

Michael wpatrywał się w niego ponaglająco.

– Potrafisz to rozgryźć? Możesz się dowiedzieć, z jakimi agencjami modelek współpracują, i tym sposobem dokopać się głębiej?

Bjarne znów się rozejrzył, jakby się obawiał, że ktoś ich podsłuchuje, ale byli na parkingu sami.

– Uhm... no nie wiem, Michael. Mówię poważnie. Agencje modelek... Zwykle szyfrują swoje strony jak wściekli. Nie brakuje przecież idiotów, którym się zdaje, że się zakochali w dziewczynie z okładki... a potem je prześladują... niczym gwiazdy filmowe, sam wiesz.

Gdy mimo wszystko niepewnie wziął reklamę do ręki, Michael wiedział, że to już połowa sukcesu.

– Z drugiej strony... – Popatrzył na Michaela z powagą. – Ona rzeczywiście jest zjawiskowa. Ładna. Bardzo.

– Zapewniam cię, że nie jestem nią zainteresowany w ten sposób. Ta dziewczyna ma związek ze sprawą Bettiny Horst. Nie wiem, czy się znały, czy nie, ale muszę się tego dowiedzieć. To ważne.

Bjarne wyglądał na uspokojonego.

– Lene o tym wie?

Michael westchnął. Położył dłoń na ramieniu informatyka, chociaż wiedział, że tamten nie przepada za fizyczną bliskością. Następnie przywołał na twarz swój najbardziej zatroskany wyraz, co akurat nie było trudne.

– Będę z tobą zupełnie szczery, Bjarne. Jak pewnie wiesz, Lene i ja... my... w tej chwili mamy pewne problemy. W sensie, między nami nie jest dobrze. Sam pewnie zauważyłeś, że chodzi smutna. Nie wydaje mi się, aby był sens obciążać ją moim własnym śledztwem. Wiem, że macie aż nadto pracy z tymi Filipinkami.

Bjarne pokiwał głową i próbował powściągnąć dumę, która go zapewne rozpierała, bo oto został wtajemniczony w życie prywatne Michaela i Lene. Wreszcie zsunął plecak z ramienia i schował zdjęcie do zewnętrznej kieszeni.

– Spojrzę na to – obiecał. – Będę musiał to zrobić z domu. Mam trochę pojemności na superkomputerze Cray na uniwersytecie w Kolorado. Może uda mi się ukradkiem przepuścić zapytanie przez niego. W tej agencji mają pewnie zasieki ze studwudziestoczerobitowych szyfrów i firewalli nie do zdobycia.

Michael wiedział, że nadzwyczajny umysł Bjarnego już analizował bardziej wyszukane szczegóły zaawansowanego hakingu – albo black hattingu, jak to się chyba obecnie nazywa.

– Byłoby pięknie. Na jutro?

Tamten jakby się ocknął.

– Na jutro?

Michael pokiwał głową.

– W porządku. Jeśli to w ogóle możliwe, to tak naprawdę nie zajmie wiele czasu. Zatem na jutro.

– Wspaniale, Bjarne. Dzięki.

Michael jak zwykle oberwał w trzech rundach z rzędu. Tak naprawdę nie rozumiał, dlaczego nadal godził się grać z Idą w szachy. Zawsze na tym cierpiała jego pewność siebie.

Jako przekąskę siostra podała czarny chleb, pikle, korniszony, marynowane cebulki i jakieś dziwne ziarniste sery. Nazwała to „wieczorem rosyjskim”. W kącie syczał samowar i Michael niechętnie małymi łykami pił czarną herbatę ze szklanki w srebrnym koszyczku i przyglądał się portretowi zmarłego syna Idy wysoko na półce. Uśmiechnięty Jozjasz w mundurze izraelskiej armii na tle brązowych niskich wzgórz Synaju.

Michael przewrócił swojego białego króla i odchylił się na krześle.

– Nie możesz choć raz dać mi wygrać? – jęknął.

– Nie wkurzaj się i nie żebrz. Jestem po prostu lepszą szachistką od ciebie. To genetyka. Jak wszystko inne. Nic na to nie poradzę. Ty też nie.

– Niech ci będzie. Jak wypadły chrzciny?

– Dobrze. Myślę, że Posejdon nas wysłuchał i ucieszył się z wina. A jak idzie z dziewczyną widmo?

– Nadal jest widmem, ale dzięki Bjarnemu mam teraz do ogarnięcia bezlik nowych, nieskończenie nudnych szczegółów z jej życia. Rozmawiałaś ze swoim kolegą z Mossadu?

Ida schowała figury i pionki do pudełka i je zamknęła.

– Rozmawiałam. Właśnie oglądają te nagrania. Być może będą je musieli trochę zredagować, zanim je udostępnią Lene. Nie pojmuję, dlaczego tak się z tym cackają. Przecież to tylko szkoła, prawda?

– Żydowska szkoła ortodoksyjna. Moim zdaniem nie można ich winić, że dbają o wysoki poziom bezpieczeństwa. Trudno powiedzieć, żebyśmy aktualnie w Europie jakoś szczególnie chronili życie Żydów. Chociaż w sumie na tym kontynencie nigdy nie było takiej tradycji.

Popatrzyła na niego zaintrygowana.

– Dlaczego jej pomagasz? Myślałam, że jesteście na noże.

– Jak by nie patrzeć, ona mi również pomaga. Lene już dawno nauczyła się oddzielać życie zawodowe od prywatnego. Co pewnie nie jest zbyt trudne, gdy się nie ma tego drugiego.

– Chodzi ci o to, że zrobi wszystko, by dotrzeć do sedna?

– Tak, to jedno nas łączy – przyznał Michael. – A może wcale nie. Dla niej znalezienie sprawcy jest jak religia. Bezlitosna, surowa religia. I ona ma rację. Jeśli ktoś nie jest gotowy zapomnieć o sobie samym i iść dalej, bez względu na to, jak bardzo boli, to jest z góry przegrany. Lene rozumie to lepiej niż ktokolwiek, kogo spotkałem. To dlatego jej córka popełniła samobójstwo. Bo Lene nie potrafiła odpuścić.

Ida już dawno spała, a Michael wciąż chodził tam i z powrotem po jednym z ich przestronnych, niemal pustych salonów – zaglądając co jakiś czas do komputera. Jeśli popatrzyć na życie nowoczesnego człowieka przez cyfrowy mikroskop, obraz przytłaczał nadmiarem detali i wieloznaczności. To było jak szukać konkretnego płatka śniegu w zamieci.

Zatrzymał się i popatrzył na uśmiechniętą Bettinę Horst na jednym ze zdjęć z gazet.

– Przekłęte babsko, przestań się szczyrzyć i powiedz mi coś, kurwa!

Miał ochotę rwać włosy z głowy, ale wydało mu się to zbyt teatralne i żalotne. Zamiast tego przyniósł butelkę lagavulin, nalał sobie i wypił na raz. Potem z powrotem usiadł przy komputerze. Zapalił kolejnego papierosa i zakręcił na stole pociskiem strzelby. Bettina Horst regularnie odwiedzała salon tatuażu przy Teglgårdsstræde, więc musiała mieć sporo rysunków, których na salach koncertowych nie było widać. W Mediolanie kupowała bieliznę La Perla, a gdy była w Nowym Jorku, piła podwójne espresso z mlekiem sojowym w kawiarni przy Madison Avenue i kupowała płyty w sklepie przy Barrow Street. We Frankfurcie zaopatrywała się w smyczki i struny u lutnika z Elbestrasse.

I tak to się ciągnęło bez końca. Michael potarł oczy i wrócił do wyciągów z konta. W oczu rzucił mu się przelew na sto pięćdziesiąt tysięcy koron dla firmy o nazwie Genova Counseling. Zajrzał na ich stronę i tam został. Firma oferowała profesjonalną pomoc we wszystkich rodzajach sztucznego zapłodnienia i leczenia bezpłodności, badania genomiczne i rezonans magnetyczny całego ciała. Współpracowali z wiodącymi bankami spermy na świecie i mieli siedzibę w odnowionym sanatorium przy Skodsborg Strandvej, gdzie czynsz musiał być astronomiczny. Zakres usług obejmował wszystko od skromnego pakietu brązowego, w ramach którego można było sprawdzić, czy ma się skłonności do depresji albo raka piersi lub jajników,

aż po pakiet platynowy, w którym analizowano milion miejsc w DNA klienta, przeprowadzono zaawansowane badania hormonalne, oferowano pomoc osobom bezdzietnym i pełny rezonans magnetyczny.

Michael słyszał wprawdzie o dzieciach skrojonych na miarę i parowaniu się na podstawie genomu, ale to, co miał przed oczami, to była wyższa szkoła jazdy. Pakiety złoty i platynowy obejmowały osobisty wywiad z założycielką i właścicielką Genova Counseling, doktor Tamineh Sherazi-Petersen, mającą specjalizację w ginekologii i położnictwie oraz doktorat z genetyki.

Na oko wydawało się, że DNA pani doktor było niczego sobie. Miała gładką skórę, długie błyszczące ciemne włosy z pojedynczymi siwymi pasmami i duże, lśniące arabskie oczy. Nosila śnieżnobiały wykrochmalony fartuch, a pod nim dopasowany, cienki sweter Smedley, materiałowe spodnie i perłowy naszyjnik.

Strona internetowa kliniki wyglądała jak strona sprzedawcy rolexów.

Może Bettina i Jacob planowali dzieci i napotkali jakieś trudności?

Zamknął stronę, kiedy przyszedł e-mail. Bjarne zrobił to, o co go poprosił, a nawet więcej. Michael nie śmiał liczyć na aż tyle. Tak naprawdę to niesamowite, do czego dokopał się asystent Lene.

Na początek Michael jak lunatyk przejrzał kilkanaście okładek „Vogue’a”, „Elle” i „Harper’s Bazaar”. Na wszystkich była Rose sfotografowana w różnych, choć z reguły uwodzicielskich pozach przez najlepszych światowych fotografów mody. Rose McCullen była w połowie Szkotką, a w połowie Południową Afrykanką. Miała trzydzieści trzy lata i mieszkała w Londynie. Szczyt jej kariery przypadł na rok 2002, kiedy trafiła na okładkę „Vanity Fair”, oraz rok 2005 i rozkładówkę w „Sports Illustrated Swim Suit Edition”. Chodziła po wybiegach dla Toma Forda, D &G, Laurenta i Diora. Z czasem kariera Rose w naturalny sposób zwolniła i skurczyła się do skromniejszych kampanii kremów do twarzy wzbogacanych enzymami i kolekcji biżuterii w stylu boho.

Bjarne kierowany dziwnym sadyzmem przesłał niemal wyłącznie zdjęcia w bieliźnie i kostiumach kąpielowych. Michael jęknął i rzucił się na kanapę, a twarz zasłonił poduszką.

Odsunął ją, gdy poczuł, że ktoś go obserwuje. W drzwiach stała Ida w luźnych spodniach dresowych i jednej ze swoich nieśmiertelnych koszulek, których wzory i kolory dało się zobaczyć, tylko jeśli się za mocno potarło oczy.

– Michael, u licha, dlaczego ty nie śpisz o tej nieludzkiej godzinie?

– Nie wiem. Nie mogę ruszyć z miejsca. Nigdy jej nie znajdę. – Czuł przemożne pragnienie użalania się nad sobą.

Oczekiwał teraz długiej ociekającej sarkazmem riposty, ale w oczach siostry zobaczył wyłącznie miłość i akceptację i już wiedział, dlaczego jeszcze nie wprowadziła się do Johna.

Na jabłoni pośrodku ogrodu kos powitał nowy dzień długimi, płynnymi trelami.

Michael machnął ręką w stronę leżącego na ławie komputera.

– Tam nic nie ma, Ida. Same przekłete wycinki z *Sex & The City*. Ciuchy, kawki, torebki, buty i jeszcze więcej butów. Ilu butów potrzebuje dwudziestosemioletnia kobieta? Może sama postanowiła zniknąć. Ludzie stale to robią. Może uznała, że jej życie stało się zbyt cudowne, a ona nie zasługuje na całe to szczęście ani na swój talent. Może dopadła ją jej smutna przeszłość i w taki czy inny sposób pociągnęła w dół. Może Bettina Horst mieszka na Lolland pod zmienionym nazwiskiem, prowadzi agroturystykę i wyszła za traktorzystę. A skrzypce spaliła.

Ida usiadła w fotelu, podciągnęła kolana pod brodę i splotła na nich dłonie.

– Nie wiem, czego się spodziewałeś. Była młoda, atrakcyjna, odniosła sukces i było ją stać na tyle butów, ile tylko chciała. Poza tym nikt nie postanawia zniknąć w wieku dwudziestu sześciu lat. To jest coś, co robisz, gdy masz lat pięćdziesiąt dziewięć i boisz się, że w każdej chwili mogą cię zamknąć za defraudację albo udostępnianie w sieci dziecięcej pornografii. Poza tym pracujesz nad tą sprawą od zaledwie tygodnia. Gdyby to było proste, to inni już dawno by ją znaleźli.

Michael usiadł i z wściekłością cisnął poduszkę na podłogę.

– Nie ma po prostu żadnych faktów, które by wskazywały w jakimś jednym kierunku.

– Kiedy widziano ją po raz ostatni?

– Jej asystentka widziała ją, jak wychodziła tylnymi drzwiami z sali koncertowej. Mówiłem ci przecież!

– I nie było żadnych strażników ani kamer?

– To ciężkie drzwi przeciwpożarowe. Żeby nimi wejść, trzeba mieć kartę albo wstukać kod. Ale oczywiście nie trzeba tego robić, żeby wyjść. Na zewnątrz są dwie kamery monitoringu. Nie działały.

– Jak dogodnie. Gdyby zaplanowała swoje zniknięcie, to sama by te kamery wyłączyła, nie sądzisz? A wyłączenie ich to raczej nie jest prosta sprawa.

– Raczej nie – przyznał Michael. – Jest coś jeszcze, co w tej chwili doprowadza mnie do szału.

– Co takiego?

Michael odwrócił komputer i otworzył zdjęcie Rose McCullen.

– Ona. To ta kobieta z Paryża. Rose to jej prawdziwe imię. Zobaczyłem jej twarz w aptece na reklamie kremu, a Bjarne ją dla mnie znalazł. Mieszka w Londynie.

Ida pochyliła się i poklikała w następne zdjęcia.

– Wow! – wskazała na Rose w białym bikini zakrywającym obszar skóry wielkości trzech znaczków pocztowych. – Nie wierzę, że istnieją ludzie tak doskonali. Musieli ją fotoszopować godzinami.

– Nie musieli – mruknął Michael.

– Niebywałe. Dziewczyna wygląda jak bogini. Ale co z tego?

Zmarszczył czoło.

– Jak to co z tego?

Spojrzała na niego z konsternacją.

– Rozumiem, że czujesz się zraniony albo wykorzystany, ale przecież sam to zrobiłeś. Nikt twojego fiuta nie zmuszał...

– Wiem! Ale Ida, to wszystko zostało zaplanowane. Całe uwiedzenie, wszystko, w najdrobniejszych szczegółach. Teraz to widzę. Tylko nie wiem po co.

– Michael, to zawsze jest zaplanowane. Jezu, czy ty w ogóle nic nie wiesz o kobietach? – Podeszła do niego i pocałowała go w czoło. – Proszę, tylko nie wpadaj w obsesję. Jesteś na to za stary i to byłoby żałosne. Dobranoc.

Michael jeszcze długo siedział na kanapie i rozmyślał o porcelanowej twarzy modelki. Przypomnił sobie jej głos w ciemności, w paryskim apartamencie.

Choćby Ida waliła go kijem baseballowym, nie zdołałaby go powstrzymać przed wybraniem numeru, który załączył Bjarne.

Całą wieczność słyszał tylko własne tętno, aż w słuchawce odezwał się zaspany głos. To była ona.

– Halo... kto mówi? Halo? Halo? Okej, zdychaj.

Rozłączyła się.

Michael westchnął. A potem wyjął z telefonu kartę SIM i ją przełamał.

W budynku Polizeikommissariat Elmsbüttel w centrum Hamburga Lene dostała do dyspozycji wąską dziuplę bez okna, gdzie poza nią mieściły się trzy monitory, notes i kubek kawy. Po pewnym czasie nie wiedziała, od jak dawna tam siedzi ani czy jest dzień czy noc. Mechanicznie, małymi kęsami pochłaniała długie lukrecjowe kable i oglądała nagrania z Talmud und Tora Realschule, aż miała ochotę strzelić sobie w głowę.

Z regularnością pływów morskich każdego ranka do szkoły wlewało się stadko chłopców w wieku od sześciu do piętnastu lat i ponownie wylewało się z niej po południu. Stojaki na rowery zapełniały się i opróżniały. Kamery były wysokiej jakości i obejmowały ulicę i chodnik przed sąsiednim budynkiem, w którym przez krótki czas siedzibę miała firma Germanischer Zukunft. W nieregularnych odstępach, ale co najmniej raz na godzinę, pod szkołą przejeżdżał biało-zielony radiowóz, a rośli – i zapewne uzbrojeni po zęby – panowie w jarmułkach nieustannie patrolowali chodnik.

Jej osoba kontaktowa, komisarz z wydziału kryminalnego i rówieśniczka Lene, wsunęła głowę i się uśmiechnęła. Kitta Krupp była szczupłą kobietą o urodzie elfki i czarnych krótkich włosach, z mnóstwem tatuaży motocyklowych i niezliczoną liczbą kolczyków. Lene wiedziała, że jej koleżanka była lesbijką, jeździła motorem i miała czarny pas w aikido.

– Przynieść ci coś? – spytała łagodnym, niskim głosem. – Kawę?

Lene odwzajemniła uśmiech.

– Nie, dzięki. – Kawa na tym komisariacie była obrzydliwa.

– Na pewno?

– Na pewno. Dzięki.

– W piątki zwykle z ludźmi z pracy chodzimy do Der Bootsmann na piwo – oznajmiła Kitta. – Będzie nam bardzo miło, jeśli do nas dołączysz. To niedaleko stąd.

– Dzięki. Może... Jeśli coś tu znajdę i uznam, że trzeba to uczcić, to z radością wpadnę do was później.

Kitta zniknęła, a Lene włączyła kolejne nagranie. Germanischer Zukunft, osiemnaście godzin po tym, jak Maria de la Reyes, Marissa Castro i Kayla Torres wylądowały na międzynarodowym lotnisku we Frankfurcie.

Zadzwoił Bjarne.

– Cały czas przychodzą nowe dokumenty z Manili – powiedział zamiast powitania. – Mendoza naprawdę się przyłożył. W sumie to dziwne...

– Co takiego?

– Że ma na biurku listę z nazwiskami pięciuset tysięcy zaginionych dziewczyn, a mimo to tyle czasu poświęca na pomaganie nam z tą trójką.

– Ja go rozumiem. Pół miliona ludzi to jednak abstrakcja. A tu być może poczuł, że coś da się zrobić, może nawet wymierzyć sprawiedliwość. Więc co pisze?

– Zanim wyleciały, przeszły mnóstwo badań w prywatnej klinice w Manili. Mendoza przysłał nam kopie ich kartotek. Wszystkie przeszły bez żadnych uwag, jeśli można tak powiedzieć, ale w moim odczuciu badania były niesamowicie drobiazgowe. I kosztowne. W przeliczeniu cały pakiet kosztował jakies pięćdziesiąt tysięcy koron za głowę.

Lene rozpakowała nową lukrecję i zamierzała położyć nogi na biurku, ale nie było miejsca.

– Bjarne, to się robi coraz bardziej niezrozumiałe. Przecież one nie chciały lecieć w kosmos, do diabła. Te badania były pod jakimś konkretnym kątem?

Jej asystent zamilkł. Lene słyszała, jak kartkuje jakies papiery u nich w biurze.

– Wprawdzie nie jestem lekarzem... i tak naprawdę staram się lekarzy unikać... ale jest tu mnóstwo o jakichś wymazach, biopsjach szczyteczkowych z szyjki macicy, profilach hormonalnych, badaniach ginekologicznych i czymś, co się nazywa histerosalpingografia. Sprawdziłem i chodzi o rodzaj prześwietlenia macicy i jajowodów. Z tego, co się orientowałem, to standardowe badanie przy diagnozowaniu bezpłodności.

Lene milczała dłuższą chwilę. Jej dłonie leżały nieruchomo, a telefon przyciskała do ucha ramieniem.

– Bjarne, oni chcieli się upewnić, że te dziewczyny mogą zajść w ciążę – powiedziała w końcu, wolno i wyraźnie. – Kurwa, to o to w tym wszystkim chodzi! Te dziewczyny miały służyć do reprodukcji. Miały być młode i zdrowe, a potem, gdy już zrobiły, co do nich należało, musiały zniknąć.

– Domyślam się, że ta teoria pozwala połączyć niektóre z punktów – przyznał cicho.

Lene opuściła dziuplę i zaczęła chodzić w kółko po pustym open space.

– Żebyś chciał wiedzieć – potwierdziła. – Doskonale, Bjarne. To takie proste, gdy się nad tym zastanowić. Zjawisko nie jest nawet szczególnie nowe. Bogate pary od lat kupują sobie zawodowe surogatki we Wschodniej Europie. Te kobiety są traktowane jak ktoś w rodzaju niewolnic. Niektóre rodzą po dziesięcioro albo jedenaścioro dzieci, a potem są zabijane przez pośredników, gdy więcej rodzić nie mogą. To odrażające, ale tak się dzieje.

– Tak, słyszałem o tym.

Lene zatrzymała się i popatrzyła na otwarte drzwi klaustrofobicznej kiszki z monitorami. Nie było wyjścia. Musiała tam wrócić, ale teraz przynajmniej była bliższa odkrycia. Zrobili ważny krok naprzód. Wiedziała to.

– Przefaksuj mi wszystko, co masz z tego szpitala, i pozdrów ode mnie Mendozę.

– Tak zrobię.

Lene po raz pierwszy od wielu lat miała ochotę na papierosa i zaczęła nawet grzebać w szufladach cudzych biurk. Ostatecznie dała sobie spokój i poczłapała z powrotem do dziupli.

Zupełnie jakby bogowie w końcu odrobinę zainteresowali się tą sprawą, w następnej sekwencji do krawężnika przed Germanischer Zukunft podjechał volkswagen touran i wysiadły z niego trzy Filipinki z walizkami i torebkami na ramionach. Cały czas trajkotały i rozglądały się zaciekawione. Była godzina dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć, piątego kwietnia. Dwie doby po przybyciu do Niemiec. Młody mężczyzna w ciemnym garniturze pośpiesznie przeszedł przez ulicę i wprowadził je do budynku.

Na miejsce spotkania z Jacobem Wintherem wybrał ławkę w ogrodzie botanicznym. Pomyślał, że jeśli narzeczony Bettiny Horst się rozklei, usłyszawszy złe wiadomości, które miał dla niego, to Michael będzie mógł po prostu wstać i odejść, zamiast najpierw szukać kelnera, żeby zapłacić za kawę, a potem opuszczać salę, czując na karku pełen wyrzutu wzrok ludzi za to, że zostawia człowieka w takim stanie.

Ścieżką przeszła młoda kobieta z wózkiem dziecięcym. Gdy Michael się za nią obejrzał, dostrzegł Jacoba. Choć było ciepło, mężczyzna miał wiatrówkę zapiętą pod samą szyję. Szedł skulony, blady i ze wzrokiem wbitym w ziemię, ale kiedy zobaczył Michaela, to mimo wszystko uśmiechnął się słabo i jakby z nadzieją. Usiadł na ławce niepewnie, jak ktoś z zaawansowaną osteoporozą.

– Cześć, Michael. I raz jeszcze wielkie dzięki.

– Obawiam się, że nie masz mi za co dziękować – powiedział od razu Michael i próbował zachować neutralny wyraz twarzy.

Za to twarz Winthera nosiła ślady bezsennej rozpaczy.

– Jak to?

– Przejrzałem wyciągi z konta Bettiny, jej deklaracje podatkowe, bilingi telefoniczne i właściwie wszystkie wydatki, za które zapłaciła kartami kredytowymi. Nie pytaj, skąd to miałem, bo to nieistotne. Mimo to nie znalazłem niczego interesującego. Myślę, że Bettina po wyjściu z sali koncertowej spotkała kogoś, kogo znała. To był ktoś, komu ufała, ale kto należał do dalszego kręgu znajomych. Nie mam jednak pojęcia, kto by to mógł być. A ty masz?

Mężczyzna popatrzył na błękitne niebo. W kanale wściekła kaczka krzyżówka goniła łyskę.

– Niezliczoną ilość razy myślałem o tym samym – powiedział wreszcie. – Że to właśnie musiało się stać. Problem w tym, że Bettina znała mnóstwo ludzi, których nigdy nie widziałem i o których nigdy nie słyszałem. Innych muzyków, dźwiękowców, dyrygentów, lutników, projektantów. I owszem, była ufna. Nie miała powodu nie być.

Potem przez jakąś minutę obaj milczeli, a Michael czuł, jak narasta w nim dziwny, nieokreślony gniew. W tej chwili nienawidził siebie za swoją nieudolność, ale jeszcze bardziej nienawidził Jacoba Winthera za to, że zlecił mu tak beznadziejne zadanie. A najbardziej nienawidził Bettiny Horst, bo była tak niewybaczalnie beztroska, naiwna i łatwowierna.

– Czyli nie ma żadnych śladów? – spytał cicho młody mężczyzna.

Michael wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Ze złością wydmuchiwał małe kłęby dymu.

– Z technicznego punktu widzenia nie – potwierdził i spojrzał tamtemu w oczy. Zamierzał wygłosić krótką, łagodzącą mowę pożegnalną i opuścić ten przeklęty park. – Z drugiej strony: sprawy tego kalibru rzadko pozostają niewyjaśnione. W zbrodniach tak medialnych prawda zwykle wychodzi na jaw, bo istnieje ktoś, ktoś ją zna. Przychodzi w życiu taki moment, kiedy ludzie pragną rozliczyć się z wielkich życiowych zawirowań. Również ze zbrodni, które popełnili. Chcą popatrzeć na nie z perspektywy czasu, przyznać się, prosić o przebaczenie, wyznać coś na piśmie albo przed lekarzem czy księdzem. Niemal zawsze tak jest. Prędzej czy później.

Jacob wytrzymał jego wzrok.

– Czyli mam po prostu poczekać czterdzieści lat, aż jakiś zabójca na łożu śmierci przyzna się do porwania i zabicia Bettiny? To chcesz mi powiedzieć?

Michael wstał i jeszcze raz na niego popatrzył.

– Masz rację. Dość nieudolnie próbuję cię pocieszyć. Zdaję sobie z tego sprawę.

Jacob uśmiechnął się nieznacznie.

– Ale przynajmniej spróbowałeś i za to jestem ci wdzięczny.

Podali sobie ręce na pożegnanie i Michael odetchnął z ulgą. Jacob został na ławce, jakby nigdy nie zamierzał się stamtąd ruszać.

Michael właściwie mógł się odwrócić i sobie pójść. Nikt nie miałby mu tego za złe. Postarał się przecież najlepiej, jak umiał.

– Być może byłoby ci łatwiej, gdyby wam się udało z tym leczeniem bezpłodności. Dzieci zapewniają rodzaj nieśmiertelności – dodał życzliwie.

Młody mężczyzna nic nie odpowiedział, w ogóle nie zareagował. Michael powoli ruszył w stronę wyjścia.

Uszedł cztery kroki, kiedy usłyszał, jak Jacob go woła, więc się odwrócił.

– Co mówiłeś?

Wzrok Jacoba powoli przesuwał się po trawniku, ścieżce i wreszcie zatrzymał się na Michaelu.

– Co ty właśnie powiedziałeś? – spytał ponownie.

– O czym?

Jacob zniecierpliwiony kręcił głową.

– O bezpłodności... powiedziałeś coś o dzieciach. I bezpłodności.

Michael wrócił do niego i usiadł.

– Znalazłem płatność wykonaną w zeszłym roku dla firmy o nazwie Genova Counseling w Skodsborgu. Specjalizują się w leczeniu bezpłodności i doradztwie genetycznym. Za ich pośrednictwem można dostać nasienie z banku spermy, pobrać jajeczka od wybranych dawczyń, a nawet skontaktować się ze zdrową i zaufaną surogatką, która przejdzie za ciebie ciążę. Domyśliłem się więc, że Bettina... że wy... W każdym razie wykupiła u nich pakiet platynowy, a to dość wnikliwe i kosztowne badania.

Jacob pokręcił głową:

– Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach. Wydaje mi się, że ona w ogóle nie miała takich planów. Poszerzała swój repertuar, chciała nagrywać więcej płyt i grać więcej muzyki kameralnej. Ciężko nad tym pracowała. Nie

wiem nawet, czy ja sam chciałem być ojcem, Nigdy nie myślałem o dzieciach. Nigdy.

– Więc po co, u licha, były jej te badania genetyczne?

Mężczyzna zamyślił się i na jego czole pojawiły się głębokie poziome bruzdy.

– Jej matka zmarła na raka piersi w dość młodym wieku – zaczął niepewnie. Nagle popatrzył na Michaela pobudzony: – Teraz zaczynam sobie przypominać. Wydaje mi się, że Bettina przeczytała jakiś artykuł o tym, że Angelina Jolie poddała się mastektomii, ponieważ była genetycznie obciążona rakiem piersi. Dała sobie usunąć również macicę i jajowody. Bettina miała podobne obawy. Pewnie dlatego. Chociaż nie wiedziałem, że naprawdę to zrobiła.

– Wciąż tego nie wiesz – zauważył Michael i sam się zamyślił. – Bywała impulsywna?

– Jeszcze jak! Planowanie długodystansowe przychodziło jej z najwyższym trudem. Takimi sprawami zawsze zajmowała się jej agentka. Bettina żyła chwilą i nie martwiła się na zapas. Zupełnie odwrotnie niż ja. Nazywała mnie Kłapouchym, od tego wiecznie strapionego osła z *Kubusia Puchatka*. I zawsze była w biegu. Oczywiście, że by mi powiedziała, gdyby dolegało jej coś poważnego.

Michael wstał – ponownie.

– Jest to w każdym razie jakiś cienki ślad, niezgodność, której chciałbym się przyjrzeć bliżej – postanowił. – Nie wydaje mi się, aby ktoś wcześniej badał akurat ten szczegół. Odezwę się, jeśli znajdę coś godnego uwagi.

– Czyli nie zamykasz sprawy?

Michael uśmiechnął się słabo.

– My nigdy nie zamykamy i nigdy się nie poddajemy. Mamy to wymalowane na rodowym herbie Sanderów. Albo mielibyśmy, gdybyśmy mieli herb.

Następnego dnia Michael siedział w wygodnym fotelu w przestronnym wysokim biurze dawnego sanatorium przy Skodsborg Strandvej, a obecnie siedziby Genova Counseling. Słuchał wrzasków mew i wodził tęsknym wzrokiem za białymi żaglami na Sundzie. Słońce przypiekało, a w świetle padającym z wysokich okien pyłki tańczyły menueta. Na wprost niego za biurkiem siedziała czterdziestokilkuletnia kobieta w białym kitlu i z okularami

do czytania na łańcuszku. Gdy się zamyślała, jej twarz zdradzała rodzaj permanentnego smutku. Do kieszonki na piersi jej fartucha była przyczepiona niebieska plakietka z napisem: Dr Louise Nykvist.

Może ktoś jej umarł, pomyślał Michael.

Uśmiechnął się, żeby jej dodać otuchy, kiedy otworzyła obszerny kwestionariusz.

– Powiedz, Michaelu, czym się zajmujesz na co dzień?

– Pracuję w ubezpieczeniach.

Z powagą pokiwała głową.

– Przed rezonansem chciałabym się zapytać o zdrowie twojej najbliższej rodziny, czyli rodziców, rodzeństwa i ewentualnych dzieci – mówiła monotonnym głosem.

– Wał śmiało.

– Dobrze. Zatem czy w twojej rodzinie występują jakieś choroby przewlekłe? Chodzi mi na przykład o choroby serca, cukrzycę, astmę, nowotwory, dolegliwości neurologiczne, alergie. Tego typu rzeczy.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Doktor Nykvist odhaczyła punkty.

– Choroby psychiczne?

Michael uśmiechnął się ochoczo.

– Myślę, że sporo ludzi powiedziałoby, że mój ojciec był psychiczny.

Kobieta popatrzyła znad formularza, jakby ciut się zainteresowała:

– Psychiczny? W jakim sensie?

– Ruchał wszystko, co miało puls, a to stanowiło pewien problem, jako że był proboszczem w małym miasteczku. Pił wino mszalne. Regularnie bił swoje dzieci, czyli moją siostrę i mnie, za zmyślane przewinienia. Złamał serce mojej matce. Kiedy nie był agresywny, użalał się nad sobą i prosił o wybaczenie. Zmarł wiele lat temu.

Michael zauważył, że oczy pani doktor nieco się powiększyły.

– Czy został zdiagnozowany? W systemie? ...to znaczy: oficjalnie?

Michael wzruszył ramionami.

– Dziś pewnie uznano by, że miał zaburzenia afektywne dwubiegunowe. Albo że był seksoholikiem. W tamtych czasach gazety nazwały go po prostu „szalonym księdzem”. Raz biskup prawie go zabił. Dosłownie. To był krewki chłop i zanim zaczął studiować teologię, był kowalem. Ten biskup, znaczy się.

Lekarka odhaczyła jakiś punkt, zmieniła zdanie, przekreśliła i zapisała dwie linijki. Pewnie w polu „uwagi”. Zmarszczyła brwi w skupieniu.

– Jest jeszcze matka – ciągnął Michael z namysłem. – Myślę, że polineuropatia to byłoby dość łagodne określenie.

– Była neurotyczką?

– O tak. Polowała. W prezencie na trzecie urodziny dała mojej siostrze małego zajączka, którego sama zastrzeliła i wypchała. Miał małe szklane paciorki zamiast oczu. Jedno niebieskie, a drugie brązowe. Dzień później pochowaliśmy go razem z siostrą. Za co oczywiście zostaliśmy ukarani. Przez osiem godzin siedzieliśmy zamknięci w szafie i na zmianę wyglądaliśmy przez dziurkę od klucza.

Długopis doktor Nykvist szalał na papierze.

Michael wyjrzał przez okno i splótł ręce na kolanach.

– I oczywiście siostra. Trzy lata młodsza ode mnie. Jest chirurgką okulistką. Ma za sobą trzy próby samobójcze i sporo pobytów na zamkniętych oddziałach psychiatrycznych. Była leczona elektrowstrząsami i obecnie przyjmuje dwa rodzaje antydepresantów.

Lekarka podniosła rękę w czymś na kształt samoobrony.

– Myślę, że to wystarczy, Michaelu. Opowiedz mi zatem o sobie? Cierpisz na jakieś zaburzenia psychiczne? Wiesz, byłoby w pełni zrozumiałe, gdybyś...

Uśmiechnął się szeroko.

– Nic a nic. Moja żona twierdzi, że jestem zbyt nieczuły, aby zachorować na depresję, mimo że powinienem. Przynajmniej jej zdaniem.

– Rozumiem. Nałogi?

– Zdecydowanie. To znaczy... no, tak, trochę. Jakieś. Żadne narkotyki, oczywiście... w każdym razie prawie żadne... ale...

Wywiad trwał jeszcze dziesięć minut, zanim doktor Nykvist uznała, że wie już wystarczająco. Wstała i popatrzyła na Michaela niepewnie. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, podsumować jakoś te informacje, ale dała sobie spokój.

Po rezonansie magnetycznym i pobraniu próbki krwi zeszła razem z nim eleganckimi, wygiętymi i wyłożonymi dywanem schodami do głównego holu kliniki.

– Wyniki powinniśmy mieć w poniedziałek, najpóźniej wtorek w przyszłym tygodniu – oznajmiła.

Michael przystanął na ostatnim stopniu przed parterem.

– Mogę o coś zapytać?

– Oczywiście.

Chrząknął zawstydzony.

– To wszystko to właściwie pomysł mojej żony – wyznał i zatoczył wokół ręką. – Ona nazywa to miejsce czymś w rodzaju manufaktury dzieci. Twierdzi, że jesteście niemal w stanie stworzyć dziecko według specyfikacji rodziców. Kolor włosów, oczu, iloraz inteligencji i tak dalej. Mówi, że Hitler by was uwielbiał, ale to oczywiście żart. Tak sądzę. Ona jest młoda i pracuje jako chemiczka w NOVO. Bardzo chce mieć dzieci i... cóż, może nie powinienem był jej aż tak dogłębnie wtajemniczać w psychiczne problemy w mojej rodzinie. Chcę po prostu mieć pewność, że one nie są dziedziczne.

Lekarka pokiwała głową, wyraźnie niezadowolona.

– Manufaktura dzieci. Tego jeszcze nie słyszałam. Ale tak, na jej miejscu pewnie zażądałabym tego samego. Biorąc pod uwagę informacje, które od ciebie uzyskałam. – Uśmiechnęła się pojednawczo, nim dodała: – Skoro rzeczywiście istnieje taka możliwość.

Michael pokiwał głową, udając onieśmiałego, i przyjrzał się prostym zniszczonym butom pani doktor. Nie nosiła biżuterii. Daleko jej było do olśniewającej założycielki Genovy, doktor Sherazi-Petersen, która prezentowała się jak z kolorowego magazynu do czytania w samolocie.

– Tak, oczywiście – przytaknął i popatrzył na nią z nadzieją. – Ale jeśli w tych badaniach wyjdzie, że moje geny są w jakiś sposób wybrakowane, to pomyślałem, że może mogłaby pani doktor w raporcie trochę złagodzić swój werdykt. W końcu geny to nie wszystko, prawda? To przecież nie jest kompletny zapis tego, kim się człowiek stanie. Geny nie są chyba całą prawdą o człowieku? Proszę zrozumieć, bardzo kocham żonę.

Doktor Nykvist docisnęła do piersi skrzyżowane ręce i popatrzyła na niego oziębło.

– Nigdy bym czegoś takiego nie robiła. Poza tym z czasem doszliśmy do wniosku, że geny decydują właściwie o wszystkim. Dyskusja o roli dziedzictwa i środowiska tak naprawdę już się wypaliła, chociaż z tego, co wiem, szwedzkie przedszkola zaprzeczają, że istnieją różnice między dziewczynkami a chłopcami. Tymczasem różnice są ogromne. To jak twierdzić, że ziemia jest sześcianem albo że lądowania na Księżycu nigdy nie miały miejsca. Szaleństwo.

– Święte słowa – wtrącił Michael. – To znaczy, te o różnicach między płciami.

Lekarka oparła się o czarną wypolerowaną poręcz schodów. Jej wzrok się ożywił i patrzyła Michaelowi w twarz.

– Geny nie decydują tylko o tym, jak będziesz wyglądał. Czyli jaki będziesz miał kolor włosów, oczu, budowę ciała i tak dalej. Mówią nam również, z niemal stuprocentową pewnością, czy będziesz miał nadwagę, czy będziesz lubił sport, będziesz dobry w szachach albo brydżu, jakie będziesz miał IQ, zdolność skupiania uwagi, talent do języków, matematyki, muzyki, czy będziesz optymistą czy przeciwnie... Tak naprawdę o wszystkim. Od nich zależy, czy będziesz miał pociąg do substancji poszerzających świadomość czy alkoholu, czy będziesz manipulatem, psychopatą, czy będziesz miał wielu partnerów seksualnych, czy też znajdziesz się po przeciwnej stronie spektrum jako człowiek aseksualny. Prócz tego oczywiście dziedziczymy predyspozycje do chorób. A one przecież także odgrywają niemałą rolę.

– Dziękuję. – Teraz Michael podniósł rękę w geście obrony. – Moja siostra zdecydowanie przyznałaby pani rację w sprawie szachów, co do tego nie ma wątpliwości.

Doktor Nykvist lekko się uśmiechnęła.

– Ale ponieważ kupiłeś pakiet złoty, to nie ja, ale doktor Sherazi będzie interpretować wyniki i rozmawiać z tobą o dalszej procedurze.

– A nie doktor Sherazi-Petersen?

– Rozwiedli się rok temu.

Szybko uciekła wzrokiem, ale nie dość szybko, żeby Michael nie zdążył dostrzec pewnej dezaprobaty w jej oczach. Może nie lubiła rozwodników. To by go nie zdziwiło.

Lekarka tymczasem dodała:

– Doktor Sherazi założyła tę klinikę, więc będziesz w najlepszych możliwych rękach.

– No tak.

Nagle coś mu przyszło do głowy i przytrzymał jej wzrok.

– Można w ogóle wyobrazić sobie jednostkę genetycznie idealną? – spytał. – Ale nie meduzę, lampartę czy bakterię, tylko człowieka. Czy my wszyscy nie jesteśmy jakoś niedoskonalni?

Doktor Nykvist łypnęła na niego i naraz jej twarz przybrała zamyślony wyraz.

– Jednostka, której DNA jest wolne od aberracji, permutacji, polimorfizmów, mutacji albo pęknięć? W której nie występują nieprawidłowe pary zasad czy transkrypcje kodów?

– Jeśli to właśnie oznacza ideał, to tak.

– Takie jednostki istnieją, ale są niesłychanie rzadkie. Pojawiają się anegdotycznie w literaturze fachowej, a genetycy nazywają je jednoróżcami.

– Jednoróżcami?

Pokiwała głową.

– Właściwie nikt, kto się zajmuje ludzką genetyką, choćby robił to całe życie, nigdy się z takim przypadkiem nie zetknie. Są jak jednoróżce dla zoologów. Tyle że takie osoby rzeczywiście występują w przyrodzie. Sądzę, że z częstotliwością raz na pięćdziesiąt milionów.

Michael się rozejrzał i uśmiechnął życzliwie – choć wszystkie instynkty iskrzyły w nim i migwały jak kontrolki w spadającym samolocie.

– Udało wam się kogoś takiego znaleźć?

Kobieta roześmiała się i dla pewności potrząsnęła głową.

– Zdecydowanie nie. Absolutnie. W żadnym razie.

Michael uznał to za przeczenie aż nazbyt żarliwe.

Kobieta odwróciła się, kiedy otworzyły się drzwi do sekretariatu.

– O wilku mowa – mruknęła.

Michael przyjrzał się ładnej i ewidentnie świadomej swej atrakcyjności kobiecie, która szła w ich kierunku. Jej strój był nienaganny, a cała postać emanowała królewskim dostojeństwem. Gdy go dostrzegła, zmierzyła Michaela bystrych arabskimi oczami.

Doktor Nykvist przedstawiła ich sobie:

– Ramineh, to nasz najnowszy klient Michael Berg.

Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Zabrzęczały złote bransoletki.

– Mam nadzieję, że Louise nie przestraszyła cię naszym inkwizytorskim formularzem?

– W żadnym razie – zapewnił ją uprzejmie Michael.

Odniósł niejasne wrażenie, że widział już gdzieś doktor Sherazi, ale nie umiał tego bliżej określić. Może po prostu zapamiętał jej zdjęcie ze strony kliniki.

Doktor Nykvist patrzyła na niego niemal zaborczo.

– Michael to klient złoty. Zapisałam go do ciebie na przyszły tydzień – wyjaśniła.

Jej szefowa rzuciła okiem na kosztowny, wysadzany diamentami zegarek. A potem uśmiechnęła się mechanicznie.

– Aha. Zatem do zobaczenia, Michaelu. – Znów pośpiesznie zmierzyła go wzrokiem z góry na dół. – Chociaż wydaje się, że jesteś w świetnej formie.

– Wygląd bywa mylący – uśmiechnął się cierpko.

– Słucham? Tak. Chociaż nie sędzę. Było miło. Do zobaczenia.

Louise Nykvist otworzyła szefowej drzwi. Michael stał obok genetyczki przy schodach i patrzył, jak Ramineh Sherazi siada za kierownicą audi. Za przyciemnianą szybą można było dostrzec zarys machającej dłoni.

Doktor Nykvist przygryzła dolną wargę i skrzyżowała ręce, jakby marzła. Kobiety nawet przez moment nie nawiązały kontaktu wzrokowego.

– Iranka? – spytał.

– Słucham?

– Doktor Sherazi. Chodzi mi o akcent.

Kobieta przyjrzała mu się bacznie z ledwie widoczną bruzdą między powiekami.

– Tak. Jej rodzina wyjechała z Iranu w tym samym czasie, gdy szach osiadł w Nowym Jorku. Jej ojciec pracował w Standard Oil, więc emigracja raczej nie była traumą. Masz ucho do akcentów.

Michael miał ochotę sam siebie kopnąć.

– Lubię podróżować, to wszystko. Do widzenia.

Lene starała się nie zamykać powiek, ale w tej chwili pałała do trzech monitorów przed sobą taką nienawiścią, że myślała, że wymiotuje. Gdy zamykała oczy, widziała trzy jasne, świecące prostokąty. Dostrzegą ją również nocą, kiedy leżała w wąskim łóżku w tanim pensjonacie.

Nagle wyprostowała plecy. Była godzina dwudziesta druga trzydzieści cztery, dwa dni po przybyciu dziewcząt. Do krawężnika przy Grindelallee podjechał ciemny samochód osobowy na duńskich rejestracjach. Ktoś z niego wysiadł, rozłożył parasol i pośpiesznie przeszedł na drugą stronę. Tam, w szklanych drzwiach pojawił się ten sam młody mężczyzna, który wprowadził do budynku Filipinki i wpuścił tajemniczego gościa. Chwilę później obaj zniknęli z zasięgu kamer. Oślepiające światło latarni przebijało się przez ścianę deszczu i rzucało na ulicę rozmyty, nierzeczywisty blask.

Osoba z parasolem przyniosła niewielką ciemną walizkę.

Przez dwie doby, które minęły, odkąd Maria de la Reyes, Kayla Torres i Marissa Castro weszły do tego budynku, Lene nie widziała żadnej z nich.

Przewinęła wstecz. Długi, ciemny samochód osobowy włącza migacz i podjeżdża do krawężnika. Sylwetka mężczyzny albo kobiety wysiada, rozkłada parasol i...

Lene powiększyła tablicę rejestracyjną i zapisała numery, zanim zadzwoniła do Bjarnego.

– Bjarne? Duński numer rejestracyjny... poproszę od ręki.

Usłyszała błyskawiczne stukanie w klawiaturę, a sama niecierpliwie stuknęła w biurko.

– No dalej, Bjarne – mruknęła.

– Spokojnie. Audi a osiem zarejestrowane w dwa tysiące dwunastym. Należy do Martina Petersena, mieszkającego w Østerbro.

– A czym się zajmuje ten Petersen?

– Czeka... transport. Maersk Containers.

– Fuck, Bjarne.

Wstała i kopnęła pod biurkiem kosz na śmieci. Z hukiem uderzył w ścianę. Zamknęła oczy, znów zobaczyła pod powiekami te trzy ekrany i najbardziej na świecie pragnęła uciec z tego przeklętego miejsca. Poza nią nie było tu nikogo. Wszyscy od dawna pili piwo i świetnie się bawili w Der Bootsman, kiedy ona siedziała tu sama i jadła lukrecję. Biedna, antyspołeczna pracoholiczka z Danii, która nie ma w życiu żadnych zajęć poza wy-

jaśnianiem jakiejś zbrodni. Na pewno tak właśnie o niej myśleli – Kitta Krupp i jej koledzy. I jak by nie patrzeć, mieli rację.

– Czekaaj, czekaaj... Ile wzrostu ma Martin Petersen? – spytała.

– Prawie dwa metry. Ma to wpisane w paszporcie.

Lene poczuła, jak dziwny, ciepły spokój powoli wypełnia jej ciało, porzucając od stóp. Usiadła i wbiła wzrok w osobę pod parasolem, która z całą pewnością nie miała dwóch metrów.

– Ma żonę?

– Miał. Niejaką Ramineh Sherazi-Petersen... a ona...

– Co?

Jego oddech przyśpieszył i usłyszała psikanie spreju na astmę.

– Bjarne... – mruknęła groźnie.

– Jest właścicielką kliniki przy Skodsborg Strandvej, która oferuje doradztwo genetyczne i leczenie bezpłodności. Jest ginekolożką. Oryginalnie.

Lene odchyliła się i uśmiechnęła. To było jak poczuć słońce pierwszego dnia wiosny.

– Dzięki, Bjarne. Stokrotne dzięki. Chcę wiedzieć o niej wszystko, jasne? Wszystko.

– Oczywiście.

Po tym, jak się rozłączyli, jeszcze długo siedziała z telefonem w ręce. Bjarne, naturalnie, wiedział równie dobrze jak ona, co mogła oznaczać wizyta ginekolożki i specjalistki od zapładniania pod tym konkretnym adresem w Hamburgu i w tym konkretnym czasie. Mimo to przez telefon wydawał się dziwnie markotny. Nawet jak na Bjarnego. Kiedy wróci, siłą zaciągnie go na miasto i upije.

Co właściwie mogłoby go ucieszyć? Poza kolejną częścią *Gwiezdnych wojen*, oczywiście. Lene nie miała pojęcia i dostała krótkiego, lecz silnego ataku wyrzutów sumienia, że wciąż nie udało jej się nieco lepiej poznać swojego zaufanego i nieodzownego współpracownika.

Zaczęła gwizdać motyw z *Dobrego, złego i brzydkiego*. W każdym udanym śledztwie prędzej czy później otwierała się taka przestrzeń: przy wejściu do niej znajdował się cały nadludzki wysiłek, wyczerpanie, zagubienie, zwątpienie i frustracja, a przy wyjściu nadal, oczywiście, czekały przeszkody, ale droga była wyraźnie oznaczona niczym pas lądowania. Okazywało się, że miał człowiek rację, był na właściwym tropie i wiedział, jaki powinien być następny krok. Było tylko kwestią czasu, zanim będzie można przejść do czynów. Dobrze było znaleźć się w tej przestrzeni.

Uczciła tę chwilę świeżym kablem lukrecjowym, a zmęczenie minęło jej jak za pomocą czarów. Żując, przyglądała się, kiedy na wprost granatowego audi doktor Sherazi zaparkował szary samochód dostawczy. Dwaj barczyści mężczyźni w roboczych kombinezonach z niewyraźnym logiem na plecach przeszli w deszczu na drugą stronę i zaczęli wywozić z budynku duże przemysłowe kosze na pranie i po mechanicznych rampach wsuwać je na pakę samochodu.

Trzy kosze.

Nie trzeba być Herculesem Poirotem, żeby zgadnąć, co zawierały.

Furgonetka odjechała z Grindelallee, a chwilę później ta sama co wcześniej osoba średniego wzrostu z parasolem i małą walizką w lewej ręce przeszła przez ulicę i oddaliła się swoim audi.

Der Bootsmann był typową knajpą żeglarską. Wszędzie wisały sieci, boje i inne marynistyczne artefakty, a lokal składał się z serii niskich pomieszczeń szczelnie wypełnionych ludźmi i połączonych ze sobą dziwnymi, krętymi korytarzami i pasażami.

Kittę Krupp wypatrzyła w jednym z ostatnich i najniższych lokali, gdzie siedziała przed pustym kuflem i rozmawiała z kolegami głosem donośnym i ożywionym. Ona sama stała w miejscu. Nigdy nie lubiła tłumów, a teraz jeszcze jej wzrok i słuch cierpiały dodatkowo, bo przywykły do cichego buczenia komputerów i ziarnistych obrazów z nagrań.

Jak za sprawą telepatii, Kitta odwróciła się i natychmiast zobaczyła Lene. Odsunęła krzesło i pomachała do niej.

Po rundce pośpiesznych powitań i prezentacji, nachyliła się do niej i spytała z uśmiechem:

– Znalazłaś coś godnego uczczenia?

– Tak sędzę. Wiem już jak i dlaczego. I jestem niemal pewna kto, tylko wiadomo, to za mało, żeby postawić zarzuty.

Kitta położyła dłoń na przedramieniu Lene.

– Rozwiążesz to – zapewniła ją. – Nie mam najmniejszych wątpliwości. Więc jak, Lene, może mi postawisz piwo? Dla uczczenia, ma się rozumieć.

Lene popatrzyła na ładną, elfią twarz kobiety. Jej obcisła koszulka z krótkimi rękawami podkreślała drobne piersi. Jeden z tatuaży zaczynał się na środku prawego ramienia i ciągnął wzdłuż szyi. Przypominał ogon jaszczurki. Oczy pani komisarz były brązowe, uśmiechnięte i uważne, a czarne

włosy krótkie i gęste. Lene westchnęła i chyba po raz pierwszy od drugiej klasy liceum próbowała sobie wyobrazić, jakby to było być z kobietą.

– Jasne – odparła.

Michael wracał ze Skodsborga, kiedy sobie uświadomił, że ma przecież pełne prawo poprosić Simona Hallberga o przysługę w sprawie Bettiny Horst. W Nowym Jorku musiało być teraz mniej więcej południe.

Simon siedział pewnie w jakimś manhattańskim drapaczu chmur i próbował w imieniu „The Economist” rozeznaczyć się w światowej gospodarce, jej tendencjach i rozwoju. Michael bez trudu umiał go sobie wyobrazić. Gość musiał mieć koło trzydziestki i stanowił dziwną hybrydę Piotrusia Pana i uczonego ekonomisty, który najwyraźniej się nie starzał. Był czytany kosmopolitą, miał encyklopedyczną znajomość hiszpańskich win i spotykał się z kobietami, które po miesiącu miały go dość.

Simon odebrał.

– Cześć, Michael.

– Cześć. I dzięki za Jacoba Winthera. Miło, że go do mnie przysłałeś, ale następnym razem podrzuć mi jakiś prawdziwy problem do rozwiązania, okej? A rachunek mam wysłać tobie?

W słuchawce zapadła cisza. W końcu Simon odchrząknął.

– Yyy... dalej liczysz sobie dziesięć tysięcy euro za dzień?

– Plus wydatki – dodał Michael.

Tamten skwitował to pustym śmiechem.

– Wiem. Wiem, okej?! Ale Jacob był w kompletnej rozsypce. Ledwie go poznałem. Nie przestawał o tym mówić, a mnie do lotu zostały dwie godziny. Więc ostatecznie uznałem, że coś muszę zrobić, i wtedy przed oczami stanęła mi twoja twarz. Pling.

– Pling? Tak po prostu? Bo musiałeś coś zrobić? Chciałeś powiedzieć, że to ja musiałem coś zrobić. To niesłychanie szlachetne z twojej strony, Simonie. Jesteś wspaniały.

– Żebyś chciał wiedzieć! Więc co dalej? Możesz się czegoś dowiedzieć?

– To zależy między innymi od tego, czy potrafisz zdobyć dla mnie informacje na temat firmy o nazwie Genova Counseling z siedzibą przy Skodsborg Strandvej. Struktura własności, rachunki, personel. Wszystko, tak naprawdę. Ewentualni inwestorzy. To najważniejsze.

– Zabiorę się za to od ręki.

– W takim razie zapomnijmy o moim rachunku. I Simon, czas jest kluczowy.

– Mówię przecież, że już do tego siadam.

Po dotarciu do domu Michael wypakował zakupy do lodówki, wziął szybki prysznic i zaparzył kawę. Potem zapalił papierosa i zadzwonił do Bjarnego, który wydawał się nienaturalnie zdystansowany.

– Bjarne, tylko jedno szybkie wyszukanie. Błahostka. W sumie prawie nic, okej?

– Co znowu?

– Zeznania podatkowe Louise Nykvist, Griffenfeldsgade trzydzieści siedem, Nørrebro. To genetyczka.

– Lene o tym wie?

Michael uśmiechnął się uspokajająco, licząc, że ten uśmiech przeniknie do satelitów i dotrze do Bjarnego.

– To nie ma związku z waszym śledztwem. Poza tym ona, zdaje się, ma aż nadto na głowie. Więc jak, dasz radę to zrobić?

– Pewnie dam – odburknął. – Ale powiesz jej o tym, prawda? To ona płaci mi pensję.

– Jasne – skłamał. – Nie zapomnę jej powiedzieć, jak bardzo mi pomogłeś w sprawie Bettiny Horst. Obiecuję.

Głosie informatyka nieco się ożywił.

– Dobra, dzięki. Myślę po prostu, że najśluszej będzie ją poinformować. Lene potrafi czytać między wierszami.

– Zadzwonię do niej od razu – obiecał Michael i się rozłączył. Wolałby sobie złamać rękę, niż do niej dzwonić.

Kiedy wróciła Ida, Michael z poczuciem winy wyłączył komputer i obiecał sobie już nigdy więcej nie oglądać zdjęć Rose McCullen w sieci. Nigdy, przenigdy.

Jego siostra ziewnęła, przeciągnęła się i nalała wody do elektrycznego czajnika. Z lodówki wyjęła mleko, nalała sobie do szklanki i wypła duszkiem. Potem westchnęła.

– Ciężki dzień? – zainteresował się.

– Jestem wykończona. Śmiertelnie zmęczona aż do szpiku kości, aż do...

– Ile może zarabiać specjalista od genetyki w prywatnej klinice leczenia bezpłodności, mający do tego specjalizację z ginekologii i położnictwa oraz dwudziestoletnie doświadczenie?

Oczy Idy wciąż były przymknięte, ale lada chwila zamkną się całkiem.

– Nie wiem. Na pewno dużo więcej niż ja. A co?

– Spróbuj, siostrzyczko. Zastanów się. Sama jesteś lekarką po specjalizacji, podobno.

– W publicznej placówce, Michael. I serio nie wiem. Poza tym padam na twarz. Sto tysięcy miesięcznie? Sto pięćdziesiąt?

Michael wykonał kilka szybkich obliczeń w notesie i zestawił je z liczbami od Bjarnego. Popatrzył na Idę z uznaniem.

– Nieźle. Cztery lata temu była zatrudniona w Clinique Générale w Bernie. To tam pojechałaby na konsultację Jennifer Lawrence, gdyby była w bliźniaczej ciąży, a płody nieprawidłowo się ułożyły. Bardzo ekskluzywne miejsce. Doktor Nykvist zarabiała wtedy w przeliczeniu z franków szwajcarskich jakieś sto czterdzieści tysięcy koron.

Ida nalała wrzątek do szklanki i zanurzyła w niej torebkę z herbatą.

– Słyszałam o tym miejscu – przyznała. – Że kąpią noworodki w dom perignonie albo oślim mleku. Powiedz, o kim rozmawiamy? Ledwie stoję na nogach, nie mam siły na zagadki. Powinieneś spróbować pożyć moim życiem chociaż jeden dzień, a wieczorem poszedłbyś się położyć na tory. Gwarantuję ci to.

Zamieszała łyżeczką, wyrzuciła torebkę i usiadła, wspierając brodę na dłoniach.

– Chcesz?

Nie czekając na odpowiedź, wsunął jej papierosa między palce i go odpałił.

– Doktor Louise Nykvist. Dyplom zrobiła na Uniwersytecie Kopenhaskim. Jest lekarką po specjalizacji i jeszcze cztery lata temu była starszą konsultantką w Clinique Générale. Teraz jest konsultantką genetyczną w Skodborgu. Klinka nazywa się Genova Counseling. Projektują dzieci na zamówienie. Poznałem ją dziś popołudniu. Jako klient.

Ida zmarszczyła czoło i popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Po jaką cholere? Chcesz się poddać sztucznemu zapłodnieniu?

– Bardzo zabawne, siostrzyczko. Bettina Horst była ich klientką, więc musiałem z bliska obejrzeć to miejsce. Zwłaszcza że Jacob nigdy nie rozważał posiadania dzieci i nie miał pojęcia, że Bettina u nich była. Ponoć

była osobą bardzo spontaniczną i natychmiast przechodziła od myśli do czynu. Do kliniki zgłosiła się prawdopodobnie po to, żeby się dowiedzieć, czy jest obciążona genetycznie rakiem piersi. Jej matka zmarła na tę chorobę, kiedy Bettina była całkiem młoda.

Ida zaciągnęła się i zatrzymała dym w płucach. Wyglądała na bardziej przytomną. W końcu wydmuchała sporą chmurę.

– Czyli oni właśnie badają twoje DNA? Chyba nie to mi chcesz powiedzieć, co, Michael? Robisz sobie ze mnie jaja, prawda?

Podrapał się z boku głowy i spuścił wzrok.

Ida zamknęła oczy i z rezygnacją pokręciła głową.

– Michael, ja pierdolę, no.

– Doktor Nykvist nie wydawała się zbyt optymistycznie nastawiona. Biorąc pod uwagę wywiad rodzinny.

– Opowiedziałeś jej o ojcu?

Jej głos podniósł się o oktawę. Po niskich, mrocznych hebrajskich naleciałościach nie było śladu.

Michael potwierdził skinieniem. Teraz, kiedy siedział z siostrą w kuchni, jemu również wydało się to odrobinę problematyczne. W jakiś sposób nie-
lojalne.

– I o mamie? – Powoli wskazała na siebie palcem. – I o mnie?

– O całej naszej nędzy. Musiałem. Ona i tak by to wszystko odkryła, patrząc na moje geny, prawda?

Ida patrzyła w miejsce za jego plecami i ani drgnęła. Michael ostrożnie jej się przyjrzał. Kiedy nie cierpiała na depresję, była całkiem zrównoważona. Tylko czasem dawała upust potężnej jak erupcja wulkanu, a przy tym precyzyjnie ukierunkowanej wściekłości. Gdy sytuacja tego wymagała, Ida umiała być równie nieprzejednana i bezkompromisowa jak on.

Ale przynajmniej udało mu się ją ocucić do końca.

– Michael, jesteś kompletnym bezmózgiem – powiedziała cicho. – Naprawdę. To tak nie działa. Twoje DNA to nie rysunek techniczny ciebie ani twojej duszy.

– Nie? A doktor Nykvist twierdziła, że...

– Pieprzyć ją! Baba sprzedaje pakiety genetyczne, jak inni sprzedają samochody czy domy. Oczywiście, że zachwala swój produkt. Jezu... czasem potrafisz być tak naiwny i tępy, że naprawdę nie pojmuję, jak możesz robić to, co robisz.

– Dzięki.

Ida wycelowwała w niego oskarżycielski palec.

– Geny to cienie różnych wariantów, predyspozycji, które mogą, ale nie muszą się objawić według mendlowskiego prawa dziedziczenia. Rozwijają się przecież w określonym środowisku, które będą dany zestaw cech genetycznych promować albo wprost przeciwnie. Można je włączać i wyłączać. To gra zespołowa. DNA jest wszystkim, a zarazem niczym. Paprocie i żółwie mają znacznie więcej chromosomów od ciebie, ale nie były dzięki temu w stanie wysłać człowieka na Księżyc ani skomponować dziewiątej symfonii Beethovena, prawda?

– Przypomnę ci, siostrzyczko, że kasa na edukację poszła na ciebie. Ja wstąpiłem do wojska. Ale to w sumie nieistotne... Dasz mi powiedzieć do końca?

– Tak, ale tylko dlatego, że nie znam kodu do szafki z bronią i nie mogę cię odstrzelić.

Michael się uśmiechnął.

– To dziesięć, dziesięć, siedemdziesiąt dwa. Twoja data urodzenia. A teraz posłuchaj. Później mnie sobie odstrzelisz.

– Żebyś wiedział. Więc o co chodzi z tą jakąś Nykvist? Dlaczego jest taka ważna?

– Wygląda na to, że przed czterema laty przetoczyło się przez nią osobiste i finansowe tsunami. Tak wynika z informacji podatkowych, które wyciągnął dla mnie Bjarne. Dała wypowiedzenie w szwajcarskiej superklinice i zaczęła pracę w klinice Genova w Skodborgu, która wtedy dopiero się rozkręcała. Dom w Bernie sprzedała ze sporą stratą i obecnie zarabia jakieś trzydzieści tysięcy miesięcznie, wynajmuje mieszkanie przy Griffenfeldsgade, a ubiera się tak, że Matka Teresa wygląda przy niej jak dziwka z kasyna w Vegas.

Zniknęły czerwone plamy z policzków Idy.

– Brzmi dziwnie. Co się stało?

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć – postanowił Michael. – Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jest albo była poddana jakiegoś rodzaju presji. – Nalał sobie whisky, zanim ciągnął dalej: – Jest coś jeszcze. Jej szefową w Clinique Générale Hirslande była doktor Ramineh Sherazi, założycielka Genovy. Ona w jakimś sensie stanowi jedyny stały element w późniejszej karierze Nykvist.

– Ją też poznałeś?

– Tylko w przelocie. Kobieta wygląda jak królowa Kataru. Sukienka Balenciagi, zegarek Patek Philippe i naszyjnik ze szmaragdami, który musiał kosztować majątek. I to jest jej strój do pracy. W przyszłym tygodniu ma wydać na mnie wyrok. Aha, przy czym obie panie szczerze się nie znoszą.

– Skąd wiesz?

– Były jak kobra i mangusta.

Ida wstała, stłumiła ziewnięcie i zmrużyła oczy, patrząc na lampę nad stołem.

– Michael, to wszystko brzmi arcyciekawie, ale po prostu muszę się położyć. Jutro mam cztery poważne operacje. A potem dyżur.

– Jestem z ciebie dumny, siostrzyczko – powiedział Michael poważnym głosem. – A w ogóle, to w klinice nie podałem prawdziwego nazwiska, więc nie musisz się tym tak przejmować.

– Cudownie. I rzeczywiście wydaje się, że coś znalazłeś. Może powinieś porozmawiać z Lene o klinice Genova?

Popatrzył ponuro przed siebie.

– Po co? To nie ma z nią żadnego związku. Poza tym obstawiam, że sama zadzwoni. Ostatnimi czasy trochę nagabywałem Bjarnego. Ona pewnie uzna, że go wykorzystuję. Ma wobec niego nadzwyczajne poczucie odpowiedzialności.

– Nic dziwnego. On dla niej pracuje. Poszukaj sobie własnego asystenta.

– Takiego jak Bjarne? Niemożliwe. Jest rzadki jak kostka lodu w piekle.

Ich ciała leżały splątane, przerażająco bliskie, ciepłe, niezręczne, zakazane, niewłaściwe, budzące dyskomfort – i niesamowicie podniecające. Kitta całowała ją głęboko i natarczywie, ich języki się ze sobą droczyły, a biała, niemal pozbawiona mebli sypialnia nagle się poszerzyła. Lene pomyślała, że to blask świec sprawia, że ściany i sufit się rozsuwają. Łóżko było białe i duże, a ona sama robiła się coraz mniejsza. Czas zleciał błyskawicznie od ich pierwszego nieporadnego nieśmiałego pocałunku przy akompaniamencie stukania zębów w przedpokoju mieszkania Kitty – pocałunku, który skojarzył się Lene ze staniem na końcu dziesięciometrowej trampoliny na basenie u nich w Vordingborgu – do chwili, gdy niecierpliwymi dłońmi rozbierały się nawzajem, rozpinają guziki, odsuwały zamki, odpinały haftki, uśmiechając się i uciekając wzrokiem. Obie onieśmiałe, choć Lene bardziej, aż rozwiązały sznurówki i zrzuciły buty i skarpetki.

Ich części garderoby znaczyły na podłodze i łóżku miejsca, gdzie w zapamiętaniu zostały rzucone. Poza tym na podłodze leżały dwa pistolety w plastikowych kaburach, kajdanki w czarnym skórzanym etui i gaz pieprzowy z czerwonym przyciskiem.

Lene znajdowała się bardzo, ale to bardzo daleko od swojej strefy komfortu, pozwoliła więc, żeby to Kitta kontrolowała ich ciała i ruchy swoimi palcami i ustami, a sama jedynie za nią podążała – na tyle, na ile potrafiła. Kitta zostawiała językiem długie wilgotne smugi na jej szyi, zrobiła mały objazd w stronę ucha i zagłębienia obojczyka, i przez cały czas otwartą dłoń i palcami, stale zmieniając intensywność, masowała wzgórek łonowy Lene i jej cipkę. Wsunęła w nią środkowy palec i bez pudła odnalazła punkt G, za splotem łonowym. Lene wciągnęła powietrze, przycisnęła głowę do poduszki, a twarz zasłoniła dłońmi. Była o milimetr od odepchnięcia Kitty, od wymierzenia jej niezasłużonego policzka, a potem przeproszenia, pośpiesznego ubrania się i ucieczki. Ale nie mogła. To było niemożliwe, poza tym było na to o wiele za późno. Zamiast tego poddała się, a Kitta gryzła, całowała i lizała jej sutki, schodziła wargami niżej. Lene docisnęła dłonie do uszu i zamknęła oczy. Wiedziała, że jej twarz płonie.

Telefon zawibrował głośno na drewnianej podłodze i zaraz przeszedł w dzwonek, który przypisała Bjarnemu.

– Nie, nie, nie! Och, nie!

Położyła dłoń na karku Kitty i mocno docisnęła jej twarz do swojego krocza.

– Nie możesz przestać... nie możesz...

Telefon zamilkł. Wszystkie zmysły skupiła na Kicie i jej cudownych, działających z taką wirtuozerią wargach, palcach i języku. Wstrzymywała oddech przy każdym, dla niej fundamentalnie nowym doznaniu. Jęczała coraz szybciej, napierała łonem na usta i palce Kitty. Zaczęła masować swoje piersi i patrzyła na sufit, który nie przestawał się odsuwać. Sypialnia nieskończenie wolno powiększała się i rozjaśniała. Kitta silnymi dłońmi uniosła jej biodra jak kielich, mięśnie brzucha i ud Lene zaczęły drżeć. Przygryzła dolną wargę i...

Telefon. Natarczywie.

Kitta przerwała, ale Lene ponownie wsunęła palce w krótkie, gęste włosy koleżanki i docisnęła ją mocno do siebie.

– Bjarne... *ja pierdolę...*

Telefon przestał dzwonić.

Palce Kitty wsuwały się w nią i wysuwały, wypełniały ją bez reszty. Jej usta i dłonie były tak pewne, tak zwinne, tak lekkie, miękkie i twarde. Lene poczuła w miednicy skurcz. Szczytując, całkiem się rozpułyła, stała się wyłącznie swoją rozkoszą.

Kitta delikatnie sprowadziła ją na ziemię. Cofnęła usta. Wysunęła mokre palce. Położyła się obok Lene, która leżała odwrócona plecami w pozycji embrionalnej z poduszką przyciśniętą do twarzy. Czuła przemożny wstyd, podniecenie i zachwyty. Jej kochanka czubkami palców dotknęła jej włosów, a potem twarzy. Na koniec położyła się, nie dotykając Lene, a ta czuła tylko jej oddech na karku.

Znów zadzwonił telefon.

– Lepiej odbierz – poradziła Kitta cicho. – To chyba ważne.

Lene szukała aparatu po omacku, z zamkniętymi oczami. Postanowiła, że już nigdy ich nie otworzy. Znalazła telefon pod łóżkiem.

– Co! Bjarne, cholera, wiesz, która jest godzina?

– Obudziłem cię? – Jego głos był słaby i nieszczęśliwy.

– Nie! To znaczy tak! Mam nadzieję, że to naprawdę ważne – warknęła.

Wciągnęła głęboko powietrze i otworzyła oczy. Przecież musiała to zrobić. Usiadła na krawędzi łóżka i patrzyła ukradkiem na drobne blade ciało Kitty. W migotliwym świetle świec jej tatuaże zdawały się ożywać.

Zaczęło do niej docierać, co tu się właśnie stało. Dotknęła rozpalonego policzka chłodną dłonią.

Boże!

– Chodzi o Michaela – zaczął niepewnie Bjarne.

– Nie.

– Tak.

– Nie!

Michael był absolutnie ostatnią osobą, o której chciała myśleć. Kitta chyba zrozumiała onieśmienie Lene, bo zasłoniła kołdrą swoją śliczną cipkę i brzuch. Potem wsparła ciemną głowę na zgiętym łokciu i się uśmiechnęła.

Tymczasem asystent Lene nadal mówił, z nietypowym dla siebie wahaniem:

– Chodzi o to... Nie mogę przez to spać. Bo on mnie poprosił o sprawdzenie informacji podatkowych pewnej osoby zatrudnionej w...

– Genova Counseling? U doktor Sherazi?

– Tak. Dokładnie.

– Kogo?

– Louise Nykvist. Genetyczka. Skąd wiedziałaś?

Lene wstała i mechanicznie zaczęła się ubierać. Nagle ogarnął ją nieprzebrany smutek.

– Stąd, że on zawsze, ale to zawsze miesza się i wszystko psuje. Nigdy mi nie pozwala... Zresztą, nieważne. Dobrze, że mi o tym powiedziałaś. Reszty dowiem się sama.

Bjarne brzmiał, jakby kamień mu spadł z serca.

– Więc z nim porozmawiasz?

– Tak. A ty nie zrobiłaś niczego złego. Wiem, że go lubisz i że czasem robisz mu jakąś przysługę. To nic takiego, Bjarne. Śpij dobrze.

– Ty też. Ale jest jeszcze coś...

Lene stała nieruchomo ze wzrokiem wbitym we własne buty. Ciekawe, co mogło być gorsze?

– Poprosił, żebym znalazł modelkę z reklamy.

– Że co? – Złapała się za głowę.

– Modelkę. Mieszkającą w Londynie.

– Dobranoc, Bjarne.

– Ale...

Wyłączyła telefon i dokończyła się ubierać. Włosy związała w kucyk. Potem wzięła Kittę za rękę. Odchrząknęła i znów poczuła ciepło w podbrzuszu oraz wyzwolenie od wszystkiego, co twarde, gorzkie i trudne.

– Kitta, muszę lecieć – powiedziała. – Przykro mi. Było tak... Jesteś taka śliczna. Dziękuję.

Kitta usiadła i pocałowała Lene w policzek. Potem ułożyła poduszki przy ścianie, oparła się na nich, a dłonie splotła na kołdrze niczym dziecko do wieczornej modlitwy. Wyglądała bardzo młodo.

– Wracasz do Danii?

Lene przytaknęła.

– Muszę. Mój mąż, ze swoim niezawodnym talentem do niszczenia mi życia, zaczyna mieszać w moim śledztwie.

– Jest z policji?

– Był. Pracował też w wielu innych miejscach. Jest konsultantem. Prywatnym śledczym dla bardzo zamożnych ludzi i jest w tym dobry. Pracuje właśnie nad sprawą Bettiny Horst na zlecenie jej narzeczonego. Za darmo, chociaż nic nie byłoby mniej w jego stylu. Pamiętasz tę sprawę?

– Oczywiście. Ale sądziłam, że jest nierozwiązywalna. Wyszło coś nowego?

Lene uśmiechnęła się gorzko. W tej chwili miała ochotę tylko na jedno: rozebrać się, położyć obok Kitty i jeszcze długo zgłębiać to coś nowego i cudownego.

– Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Chyba tylko, że Michael... mój mąż... uważa najwyraźniej, że moje śledztwo jest powiązane z uprowadzeniem Bettiny Horst. Intuicyjne łączenie faktów to jego konik. I w tej kategorii rzeczywiście nie ma sobie równych.

– Wydaje się interesujący – stwierdziła Kitta niepewnie.

– To idiota i nienawidzę go.

Louise Nykvist trzykrotnie bez powodzenia próbowała się dodzwonić do Michaela Berga. Odłożyła telefon i ponownie skierowała wzrok na sekwencje DNA, które właśnie przyszły. Wynik sam w sobie był zaskakujący, ale tak naprawdę powodem, dla którego chciała się z nim skontaktować, był fakt, że program automatycznie sparował analizy DNA Berga z podobnymi znajdującymi się w ich bazie. Dwie identyczne sekwencje uzyskane z niepowiązanych próbek. To powinno być niemożliwe, chyba że Michael Berg już wcześniej dał sobie u nich zbadać geny. Tylko wówczas chyba by coś powiedział? Oraz kto u licha płaciłby drugi raz za tę samą analizę?

Na dobre jednak zaniepokoiło ją to, że analizy, z którymi była zgodność, przeprowadzono osiemnaście i piętnaście miesięcy temu – anonimowo.

To ostanie było wręcz nie do pomyślenia. Osobiście nigdy się z tym nie spotkała. Nie było powodu ukrywać tożsamości klientów. Ochrona danych z oczywistych względów była w Genovie najlepsza, jaką dało się kupić. Systemy były na bieżąco testowane i aktualizowane przez dostawcę, który zresztą dostarczał identyczny poziom bezpieczeństwa chociażby Bankowi Narodowemu. Atakującym udawało się co najwyżej sforsować zewnętrzne zapory sieciowe i ani kroku dalej.

Louise gryzła ołówek i patrzyła przez okno. To poważny błąd i musiała o nim powiadomić Ramineh, choć bardzo tego nie chciała. Trudno. Upewniła się, że wyraz szacunku, który przywołała na twarz, dobrze przylega, i wyszła z biura.

Założycielka i właścicielka kliniki zareagowała dopiero, gdy Louise zapukała po raz trzeci.

Kiedy chwilę później przemierzała piękny gabinet z panelami, obrazami, akwariem i perskimi dywanami, Ramineh Sherazi spojrzała na nią znad swoich papierów.

– Co się dzieje, Louise?

– Pamiętasz Michaela Berga? Złoty klient. Ciemne włosy, bardzo niebieskie oczy. Masz z nim konsultację w środę. – Louise zatrzymała się przy biurku. Nawet jej się nie śniło, żeby usiąść na którymś z dwóch przeznaczonych dla gości krzeseł.

– Akurat pamiętam. Niezły. Co z nim?

– Chyba łatwiej będzie, jeśli ci to po prostu pokażę.

Ramineh odsunęła fotel i wstała.

– Jeśli to naprawdę konieczne.

– Naprawdę.

Szefowa skrzyżowała ręce na piersi, a Louise otworzyła program na swoim komputerze i znalazła profile DNA Michaela.

– Zobacz.

Wyprostowała się i wskazała na górny rząd sekwencji genetycznych.

Ramineh wprawnym okiem zeskanowała analizy.

– Są czyste. Bardzo. Chyba nie widziałam tak czystych i nienaruszonych sekwencji od czasu... no wiesz.

Louise z powagą pokiwała głową.

– Sama jestem trochę zaskoczona. Zdrowie psychiczne jego w rodzinie nie było wzorcowe, ale najwyraźniej przyczyna nie leżała w genach.

– To dość ciekawe – przyznała Ramineh. – Umiarkowanie. Ale dla czego...

Louise poklikała i wyświetliła pasujące sekwencje. Czują, jak koncentracja szefowej przybierała na sile i kobieta chyba nawet wstrzymała oddech.

Wpatrywała się w ekran, nie dostrzegając niczego wokół.

– Są identyczne – oznajmiła cicho Louise. – I pochodzą sprzed odpowiednio osiemnastu i piętnastu miesięcy. Nie rozumiem tego. Po co płacić trzy razy za tę samą usługę i dlaczego pierwsze dwie próby były anonimowe? To bez sensu.

Zerknęła na Ramineh. Na jej ładnej twarzy zobaczyła cień niepokoju.

Szefowa wróciła za biurko, nie mogąc najwyraźniej oderwać oczu od monitora. W końcu popatrzyła przed siebie pustym wzrokiem i chrząknęła.

– Mówiłaś o tym komuś? To znaczy, owszem, to dziwne, ale to musi być jakiś błąd systemu. Tak przypuszczam.

Louise wcisnęła ręce głęboko w kieszenie fartucha. I odparła cicho:

– Kilka razy próbowałam do niego zadzwonić, ale nie odebrał. Nikomu innemu oczywiście nie mówiłam.

Ramineh Sherazi wstała raptownie, minęła Louise i otworzyła drzwi. Została tak z ręką na klamce.

– Masz to zachować dla siebie, dopóki tego nie wyjaśnię – oznajmiła szorstko.

– Oczywiście.

– Widzę się z nim w środę i wtedy na pewno poznamy jakieś racjonalne wyjaśnienie.

– Możliwe. – W głosie Louise słychać było wahanie. – Chociaż nie wiem, jakie by ono mogło być.

Ramineh dotknęła ramienia pracownicy.

– Zrób sobie wolne do końca dnia. Wyglądasz na zmęczoną. Jedź do domu.

– Ale mam stosy analiz – zaprotestowała.

– To nie jest sugestia.

Ciężkie dębowe drzwi zamknęły się za Louise z hukiem.

Od wielu dni nad Danią królował wyż, fala upałów powoli stawała się nie do zniesienia i wkrótce pewnie zostanie wydany zakaz podlewania ogrodów i napełniania basenów. Trawa wszędzie była żółta i wyschnięta, a aktywiści klimatyczni wieszczyli rychłą śmierć planety.

Aktualnie wyż zaczynał słabnąć i meteorolodzy zapowiedzieli, że rozplynie się i zostanie wyparty przez serię północnoatlantyckich niżów, niczym średniowieczny król odsunięty od władzy przez walczących o tron synów.

Michael podpłynął bliżej dna morskiego, gdzie woda była chłodniejsza. Wypuścił powietrze, zrobił fikołka i dał nura w stronę piasku. Leżał na plecach na chłodnym, twardym dnie morskim i patrzył na nieskończony błękit, zanim się odwrócił i obiema nogami odepchnął ku górze.

Chwilę później jego mokra głowa przebiła powierzchnię wody. Pociągnął nosem, rozejrzał się i podpłynął leniwym, lecz efektywnym kraulem do swojego sekretnego miejsca.

Jego ulubionym miejscem kąpieli nad Sundem było małe, niemal całkiem zawalone moło schowane pod wysokimi zboczami. Wzdłuż wody prowadziła do niego wąska zarośnięta ścieżka, ale rzadko widywał tu innych ludzi.

Wspiął się na pomost, wstał, podniósł ręcznik i ostrożnie się powycierał. Musiał unikać pocierania najbardziej drażliwych blizn i miejsc, w których przeszczepy skóry się nie przyjęły.

Palcami wymacał obrzęk pod lewym obojczykiem. Pod skórą poruszało się coś ostrego i spiczastego. Miał tam niewielką ranę, z której wciąż dało się wycisnąć kroplę krwi: kolejny fragment szkieletu Karima opuścił jego ciało. Michael westchnął. Miał nadzieję, że niewiele ich już w nim zostało. Minęło chyba z czternaście lat, odkąd kości Karima w niego wtargnęły.

Shepherd & Wilkins wysłali go do Afganistanu, żeby chronił i eskortował w bezpieczne miejsce grupę niemieckich inżynierów z tamy budowanej na północny wschód od Kabulu, zanim budowę zajmą talibowie, wezmą wszystkich na zakładników, a tamę wysadzą.

Karim był ich kierowcą i tłumaczem. Cyniczny młody człowiek, mąż i ojciec dwójki małych dzieci. Wcześniej mieszkał w Stanach, ale chwilowo wrócił do Afganistanu, żeby zarobić majątek jako tłumacz i pilot prowadzonych przez NATO operacji specjalnych w górach Tora-Bora i półmilitarnych agencji ochroniarskich jak ta, w której pracował Michael.

Ich humvee jechał na przodzie niemieckiego konwoju. Zostawili za sobą niebezpieczne doliny, których ukształtowanie obfitowało w możliwości zasadzki, i dotarli do głównej drogi na Golbahar. Od tego momentu czekała ich spokojna jazda w kolumnie. Michael usadowił się i oparł głowę o szybę, żeby się zdrzemnąć, gdy w jednej chwili wszystko się rozpadło z nieoczekiwanym, wstrząsającym hukiem, który ogłuszył go na wiele dni. Ajdik eksplodował pod pierwszymi dwoma pojazdami. Drzwi od strony kierowcy zniknęły, a ciało mężczyzny rozerwało się, powodując śmierć na miejscu. Ciśnienie wyrzuciło Michaela przez drzwi pasażera – i jednocześnie poszatkowało go odłamkami kości Karima.

Michael obudził się w szpitalu polowym w bazie Bagram dziesięć godzin później.

Od tamtej pory kawałki kości czasem podchodziły mu pod skórę, tworząc małe pęcherzyki, mimo że te największe oraz znaczną część mniejszych usunęli mu lekarze wojskowi.

Michael trzymał je w blaszanej puszcze po tytoniu do fajek Navy Cut.

Wyjął teraz kolejną drzazgę i schował ją do portfela.

Potem naciągnął koszulkę w kolorze indygo, czarne dżinsy i buty do biegania. I zmarszczył brwi, patrząc na swój telefon. Ktoś z Genowa Counseling dzwonił do niego trzy razy.

Zatrzymał się przed witryną sklepu z fajkami wodnymi i połyskującymi syntetycznymi tkaninami z Bliskiego Wschodu. Miał wrażenie, że stoi na ulicy w Kairze. Wszędzie arabskie szyldy, kebaby, młodzi Arabowie patrzący spod byka i sprzedawcy orientalnych delikatesów. Odczekał, aż na chodniku zrobi się mniej więcej pusto, zanim wytrychem otworzył drzwi do klatki Louise Nykvist. Wszedł na trzecie piętro i zadzwonił do jej mieszkania. Po chwili usłyszał w środku lekkie kroki.

– Kto tam?

– Michael Berg. Dzwoniłaś. Trzy razy.

– Tak... no, dzwoniłam. Ale dlaczego przychodzisz tutaj? – W środku zabrzączał łańcuch, jakby dotykała go niezdecydowana, ale ostatecznie otworzyła drzwi.

– Powiedziano mi, że jesteś w domu. Louise, potrzebujesz pomocy.

– Tak?

– Mówię poważnie. Nie pracuję w ubezpieczeniach i nazywam się Michael Sander. Badam różne nieprawidłowości dla prywatnych klientów i wiem wszystko o twojej przeszłości w Clinique Générale Hirslande. Byłaś tam naczelną lekarką i szefową porodówki. Obecnie zarabiasz tyle co nauczycielka. Jeździłaś nowym mercedesem i miałaś piękny dom z widokiem na Aare. Teraz masz rower i to.

Drzwi się uchyliły i sekundę później Michael pchnął je do końca.

Doktor Nykvist stała na końcu korytarza. Miała na sobie dżinsy, sandały i białą męską koszulkę poplamioną farbą we wszystkich możliwych kolorach. Dwa skrzyżowane pędzle przytrzymały na czubku głowy jej długie siwiejące włosy. Weszła do jednego z pokoi, a Michael stał nieruchomo w progu porażony nieoczekiwanym kosmosem intensywnych kolorów i śmiałych, wyzwolonych kompozycji. Płótna były wszędzie, na ścianach i sztalugach, a od ostrego zapachu terpentyny i farby olejnej zakręciło mu się w głowie.

Louise Nykvist zebrała stos magazynów o sztuce, żeby zwolnić dla niego miejsce w fotelu przy oknie. Magazyny wypuściła z ręki na poplamioną

podłogę. Sama usiadła w fotelu na wprost niego.

Wzrok miała bezpośredni, a twarz pozbawioną wyrazu.

– Kim jest twój klient? – spytała.

– Pewien młody mężczyzna. Bliski ofiary.

Zdrapała z rękawa kawałek farby i wyjrzała przez okno.

– Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że kiedyś pojawi się ktoś taki jak ty. Nie wiem dlaczego, po prostu wiedziałam.

– Twoje obrazy są bardzo piękne. Przykuwają uwagę. Wystawiasz się czy ktoś cię reprezentuje? – zagał.

– Nigdy nie próbowałam niczego sprzedać. Gdy brakuje mi miejsca, zamalowuję stare płótna albo oddaję do przechowalni. Okłamałeś mnie.

– Nawzajem się okłamaliśmy. Dlaczego dzwoniłaś?

– Dostałam twoje analizy DNA i wyniki były tak zaskakujące, że uznałam, że powinnam zadzwonić.

Michael nie był pewien, czy miał ochotę poznać te wyniki.

– Więc? Przed sześćdziesiątką zapomnę, jak się wiąże buty? Albo jak się nazywa ten kolor, który ma skórka pomarańczy? – spytał z uśmiechem i udawaną beztroską.

Louise z powagą splotła ręce na kolanach.

– Jest bardzo mało prawdopodobne, że zachorujesz na alzheimera – oznajmiła. – Tak naprawdę masz doskonałe geny. Nadzwyczaj udane.

– I to cię zaskoczyło?

Uśmiech zamajaczył wokół jej ust.

– Tak, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę zdrowie psychiczne w twojej rodzinie. Czy może to również było kłamstwo?

– Nie. To akurat brutalna prawda. Czyli co, jestem tym jednorożcem?

Znów się uśmiechnęła.

– Oczywiście, że nie jesteś jednorożcem, ale jesteś bardzo w porządku. Z genetycznego punktu widzenia. Genu kłamliwości jeszcze nie rozpoznano.

Wstała i odwrócona do niego plecami zaczęła wycierać pędzle w szmatkę.

– Największy problem polega na tym, że program automatycznie zestawiał wyniki z dwoma innymi, identycznymi sekwencjami DNA. Badałeś już sobie geny?

– Nigdy. W każdym razie nic o tym nie wiem.

– Tak myślałam – mruknęła zmęczona.

– Dlaczego z dwoma?

Wstawiła pędzle do słoika z terpentyną. Wytarła ręce i się odwróciła.

– Nie wiem. Tamte analizy mają odpowiednio osiemnaście i piętnaście miesięcy.

Teraz Michael musiał wstać. Podszedł do okien i popatrzył na ulicę. Zaniepokojony zmrużył oczy. Coś się zmieniło tam, na dole. Nastąpiło drobne, nagłe przesunięcie w umiejscowieniu ludzi, samochodów, furgonek, autobusów i rowerów. Zerwano pewien schemat, a gdy tylko uchylił zasłonę, ktoś się wycofał z pola widzenia.

Śledzono ich. Michael był tego całkowicie pewien. Puścił zasłonę, która ponownie przesłoniła okno.

– Cholera – mruknął.

– Słucham?

Odchrząknął.

– Moja siostra powiedziała, że w zeszłym roku ktoś się do niej włamał. Nie widać było, aby cokolwiek zginęło.

– Tak naprawdę wystarczy cokolwiek – wyjaśniła Louise. – Włos. Odcisk szczoteczki do zębów. I już masz wszystkie informacje genetyczne, jakich sobie możesz zażyczyć.

– Często się widujemy, a gdy siostra chorowała, mieszkaliśmy razem. Parę włosów pewnie u niej zostawiłem. Tylko po co?

Michael usiadł, oparł dłonie na kolanach i czuł tylko drażniący niepokój. Zerknął w stronę okien i drzwi na korytarz. Jego pistolet został na dole w samochodzie.

– Istnieje tylko jedna logiczna odpowiedź na to pytanie – oznajmiła genetyczka. Jej oszczędny, akademicki sposób wysławiania się zaczynał mu działać na nerwy.

– Jaka? Że ktoś, kto ma znajomości w Genova Counseling, chce się dowiedzieć, czy cierpię na jakieś interesujące choroby dziedziczne? To kompletnie bez sensu.

– Choroby też, ale również zdolności, talenty, inteligencję, długość życia i tak dalej.

Michael nie był w stanie dłużej wysiedzieć na miejscu i znów podszedł do okna. Potem wyszedł do przedpokoju i sprawdził, czy zamek jest przekrecony, a łańcuch zaciągnięty. Chociaż krzepki czterolatek mógłby te drzwi wyważyć, opierając się o nie.

Gdy wrócił z rekonesansu, Louise zmierzyła go nieprzeniknionym wzrokiem.

– Herbaty? – zaproponowała.

Michael pił herbatę, tylko kiedy grypa doprowadzała go do ostateczności albo kiedy grał w szachy z Idą, i to wyłącznie dlatego, że nalegała i zawsze podkreślała ją rumem. Louise Nykvist niestety nie wyglądała na kogoś, kto miał większe ilości jamajskiego rumu.

– Brzmi cudownie – zgodził się uprzejmie.

Kuchnia, o dziwo, była przytulna. Michael stał w drzwiach i przyglądał się, jak Louise nastawiła wodę, podgrzała imbryk i z wielką dokładnością odmierzyła trzy czubate łyżki darjeeling.

– Powiedziałaś o tym komuś? – spytał.

– Rozmawiałam o tym z szefową. Musiałam. Uznała, że to musiał być błąd systemu, i próbowała zbagatelizować sprawę. Niezbyt zręcznie. Na koniec odesłała mnie do domu, co zdarzyło się po raz pierwszy i było dla niej zupełnie nietypowe. Zwykle stara się wycisnąć ze mnie, ile się da.

– Czyli była zaskoczona?

– Raczej wstrząśnięta.

– Nie wydajesz się pałać szczególną sympatią do doktor Sherazi – zauważył.

– Nienawidzę jej. Nie ma dnia, żebym nie życzyła jej, aby zginęła śmiercią możliwie najbardziej brutalną i mnie uwolniła – odparła kobieta spokojnym głosem. – Zniszczyła mi życie i zamierza nadal to robić. – Czajnik zagwizdał, Louise zalała liście herbaty i obróciła minutnik w kształcie jajka. – Ma się parzyć przez trzy minuty. Wtedy jest najlepsza – wyjaśniła.

– Dlaczego nie odejdziesz? Widziałem twoje CV. Masz wybitne kwalifikacje.

– Nie mam wyboru.

– Co by się stało?

Nalała czerwoną herbatę do delikatnych porcelanowych filiżanek.

– Ramineh zniszczyłaby tę odrobinę, która mi jeszcze została – oznajmiła.

– Twoją reputację?

Przyjrzała mu się uważnie. A potem po raz pierwszy uśmiechnęła się całym szczerze.

– Ucho do akcentów... intuicja... Musisz być dobry w swoim fachu, Michaelu. To imponujące. I tak, masz absolutną rację. Ciastko?

– Śmiało.

Wrócili do pracowni, gdzie Michael, uśmiechając się uprzejmie, wmuszał w siebie ciepły płyn. Potem oparł spodek na kolanie i popatrzył na nią ponaglająco.

– Louise, ten problem sam nie zniknie, a ja muszę rozwiązać go do końca. Wydarzą się pewne rzeczy... dość drastyczne, jak sędzę. Domyślam się, że jesteś szantażowana. Od czasu Szwajcarii?

Postawiła filiżankę na podłodze, zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła płakać. Z początku cicho. Potem zaczęły jej drżeć plecy.

Michael siedział nieruchomo. W końcu wstał, podszedł do niej i wcisnął jej chusteczkę w dłoń.

Louise wytarła oczy i nos. I załamana pokręciła głową.

– Zdarzyło ci się kiedyś być świadkiem początków czegoś, co samo w sobie zasługuje na pochwałę, a jednocześnie wiedzieć, że skończy się fatalnie? – spytała i wytarła oczy.

Zamiast odpowiedzieć, podciągnął koszulkę pod brodę. Kobieta zapowietrzyła się i zamarła z chusteczką przy ustach.

Oprowadził ją pokrótce po najważniejszych atrakcjach turystycznych przedniej części swojego tułowia:

– Kazachstan. Karabin maszynowy i lekka broń ręczna. Poniżej przy pasku mamy Somalię. Odłamki z ostrzału mózdzierzowego. Miałem wielkie szczęście. – Wskazał na długą niebieską bliznę biegnącą od prawej pachy w stronę pępka. – Brazylia. Bardzo młody płatny zabójca z nożem. Był piekielnie zdolny. A te wszystkie małe wysepki, o tutaj, to z wycieczki do Iraku z amerykańskimi oddziałami specjalnymi. Byłem ochroniarzem takiej jednej gwiazdy BBC. Dziennikarki celebrytki, która chciała być jak najbliższej frontu. Zbliżyła się tak bardzo, że jej dwudziestopięcioletnia fotografka została zastrzelona i zmarła w ciągu godziny. Ale dziennikarce nic się nie stało. Zyskała jeszcze większą sławę, a potem dostała własny program informacyjny i zarobiła fortunę. Mnie musieli wyłonić jelito. Przez pół roku chodziłem ze stomią. Srałem do woreczka. – Opuścił koszulkę. – Zatem wiem dokładnie, o czym mówisz – podsumował.

– Tak, rozumiem. – Powiedziała to do siebie, jakby komentowała własne wspomnienia. Dalej mówiła głosem monotonnym, Michael miał wrażenie, że opowiadała swoją historię wielokrotnie, ale zawsze tylko sobie samej. –

Myślę, że to od początku była utopia, to nie mogło się udać. Takie rzeczy się czuje, w każdym razie z perspektywy czasu. A czasu miałam mnóstwo. Projekt od początku miał małe szanse powodzenia, ale w miejscu takim jak Hirslande łatwo przecenić swoje możliwości w udawaniu Boga. Mieliśmy budżet i możliwości techniczne, o których w Danii można tylko pomarzyć. I zwykle osiągałyśmy swój cel, Ramineh i ja. Pozwalałyśmy zostawać rodzicami ludziom bardzo starym. Swoją sławę jako miejsca, w którym cuda są na porządku dziennym, klinika tak naprawdę w dużej mierze zawdzięcza nam.

Onieśmielona zerknęła na Michaela, który skinieniem zachęcił ją, by mówiła dalej.

I Louise ciągnęła swoją opowieść:

– Tamto małżeństwo zwróciło się do nas jakieś pięć, może sześć lat temu. Byli bardzo zdeterminowani, twardo obstawali przy swoim planie. Ona miała czterdzieści siedem lat. Nadal miesiączkowała, chociaż nieregularnie. A on był bajecznie bogaty.

– I chcieli dziecko?

– Jeszcze jak. Twierdzili, że muszą je mieć, że nie ma innego wyjścia. Dostali więc cały pakiet. Terapię hormonalną. Jeszcze więcej hormonów. Nieustanne monitorowanie temperatury, żeby ustalić moment owulacji, prześwietlenia jajników. Kolejne prześwietlenia. Oraz najlepszy dawca spermy, jakiego mogliśmy dla nich znaleźć. Procedura była niezwykle intensywna, ale skuteczna. Uzyskałyśmy od niej fantastyczne jajeczka. Pobrałyśmy je, zapłodniłyśmy nasieniem dawcy, z powrotem wprowadziłyśmy do jej organizmu i stał się cud: zaszła w ciążę.

– Dlaczego dawcy?

Louise wzruszyła ramionami.

– To była działka Ramineh. Miałyśmy jasny podział zadań. Mążonek był poważnie obciążony alzheimerem i nie chcieli przekazywać tego obciążenia dziecku.

– Jasna sprawa. I co było potem?

Kobieta popatrzyła w jakiś punkt odległy o kilka lat świetlnych.

– Niestety nie mam żadnych wyraźnych wspomnień z tamtego okresu.

Michael zmarszczył czoło.

– Jak to? Nie pamiętasz?

Pokręciła głową.

– Nie. Nie pamiętam prawie nic z tamtej straszliwej nocy. Wiem, że to okropne i niezrozumiałe, ale nie pamiętam!

Michael miał ochotę nią potrząsnąć.

– Ale musisz pamiętać cokolwiek!

– Skurcze zaczęły się o wiele za wcześnie. Nie dramatycznie wcześnie, ale wiesz... Masz dzieci?

– Co? Tak. Ale prawie ich nie widuję. Ich matka wyprowadziła się do Nowej Zelandii z nowym mężem.

– Przykro mi – oznajmiła i brzmiała, jakby mówiła szczerze. – W każdym razie przygotowaliśmy się do awaryjnego cesarskiego cięcia. Mieliśmy najlepsze położne, supernowoczesną salę operacyjną, pielęgniarki operacyjne i anestezjologa. Był środek nocy. To zawsze dzieje się w środku nocy. Echo serca płodu było w porządku, dotlenienie też. Ale klientka chciała rodzić naturalnie, czyli waginalnie, mimo że stanowczo ją namawiałam na cesarskie cięcie.

– Dlaczego?

– Skurcze miała silne, ale nie było dostatecznego rozwarcia... Sytuacja się przeciągała... wszyscy byli wykończeni. Byliśmy jak zombie. I wtedy u kobiety pojawiły się oznaki zatrucia płodu. Jej ciśnienie drastycznie podskoczyło, wskaźniki nerek nie przestawały rosnać, a oni dalej oboje upierali się, że wszystko musi się odbyć tak, jak zaplanowali. Albo jak sobie wymarzyli.

Louise ukryła twarz w dłoniach.

A Michael czekał.

I czekał.

– Co było potem? – spytał wreszcie. – Z tego, co mówisz, była was tam cała armia?

– Raz jeszcze poprosiłam matkę o zgodę na awaryjne cesarskie cięcie. Jest to napisane czarno na białym we wszystkich kartotekach i notatkach pielęgniarek. Ramineh jak zwykle była bezużyteczna.

– Nie poparła cię?

– Im bogatsi byli klienci, tym chętniej się do nich naginała. W kartotekach wyczytałam, że ci ludzie ostatecznie zrozumieli powagę sytuacji i zgodzili się na operację. Że ja sama ją przeprowadziłam i...

– I co dalej? Co się stało?

– Kobieta dostała znieczulenie podpajęczynówkowe, a ja musiałam popełnić błąd podczas operacji. Wszyscy byli potem bardzo wspierający i wy-

rozumiali... Ale faktem jest, że wszystko poszło fatalnie, po prostu. Łóżko się odkleiło. Pacjentka się wykrwawiała, płód obumarł. Ona zmarła dwa dni później z powodu niewydolności organów w szpitalu uniwersyteckim w Genewie.

Michael usiadł obok niej i dotknął jej ramienia.

– To potworne, co się stało. I chyba naturalne, że twój umysł wyparł tamte zdarzenia. Przynajmniej częściowo.

Kobieta wstała i wybiegła z pokoju. Chwilę później usłyszał, jak wymiotuje w łazience.

Podszedł do okien i zauważył pierwszego z ogonów: młodego, ciemnowłosego mężczyznę, który przypinał rower do znaku drogowego, ale zerkał przy tym ukradkiem w okna Louise. Potem wyjął telefon i idąc, zaczął coś pisać.

Michael wsparł się czołem o ścianę i modlił w duchu, żeby Louise jak najprędzej wróciła.

Niemiecka wersja Google'a w ciągu sekundy wyświetliła tysiąc dwieście wyników z hasłem RAMINEH SHERAZI uporządkowanych według ważności i częstotliwości.

Lene patrzyła na ekran zrozpaczona. Była zmęczona i smutna. Wczorajsza euforia wywołana odkryciem konkretnego powiązania między światowej sławy specjalistką od leczenia bezpłodności a trzema zaginionymi filipińskimi dziewczynami ulotniła się po wydarzeniach z zeszłej nocy, które sama ledwie rozumiała. Wróciła do pensjonatu przy Wohlwillstrasse i w ubraniu położyła się na wąskim łóżku, będącym nędznym substytutem miękkiego podwójnego łoża Kitty. Resztę nocy przeleżała na plecach ze wzrokiem wbitym w sufit i słuchając z narastającą desperacją niecichnącego astmatycznego kaszlu sąsiada zza ściany. Pod koniec całkiem poważnie rozważała, czy nie wejść do niego i nie uwolnić go od jego cierpień. Na zawsze.

O godzinie ósmej zeszła do recepcji i monosylabami odpowiadała na wesołe uwagi rześkiej jak skowronek gospodyni. Uregulowała rachunek i zniosła swój skromny bagaż do samochodu. Potem z duszą na ramieniu pojechała na komisariat w Elmsbüttel. Przerazała ją myśl o spotkaniu twarzą w twarz z Kittą. Na szczęście nie natknęła się na nią, zmierzając szybko krokiem do swojej znienawidzonej dziupli. Tam zaczęła skrupulatnie kopio-

wać kluczowe fragmenty nagrań z kamer monitoringu na dysk USB, na potrzeby duńskiej prokuratury.

O wpół do jedenastej skończyła, ale wtedy w otwartej przestrzeni za drzwiami usłyszała głos Kitty. Wstrzymała oddech i modliła się, żeby Kitta nie postanowiła do niej zajrzeć. W końcu jej głos się oddalił, więc Lene nieco ulżyło i mogła pomyśleć o Ramineh Sherazi.

Potem otworzyła wyszukiwarkę.

Ogromna większość linków dotyczyła jej pracy naukowej. Lene otworzyła kilka z nich. Klikała w oryginalne artykuły na PubMed. Nie rozumiała ani słowa z medycznego żargonu, za to tytuły wszystkich współautorów i nazwy reprezentowanych przez nich uczelni brzmiały bardzo nobliwie i dystygowanie.

Potem odchyliła się w fotelu, patrzyła na poźółkłe dziurkowane płyty ścienne za komputerami i na próżno szukała w torebce jeszcze jednej paczki lukrecji.

Uznała, że był to dzień pełen rozczarowań. Taki, który należy zamknąć jak książkę i o nim zapomnieć.

Przełączyła wyniki na grafikę i nieobecny wzrokiem przewijała bezlik zdjęć pięknej Arabki: w laboratoriach, w otoczeniu uradowanych świeżo upieczonych rodziców, na bankietach i premierach, w kolorowych magazynach wysławiających pionierkę i zagląających do wysmakowanych wnętrz jej domów w Szwajcarii i Danii.

Ziewnęła i zamrugła. Miała wrażenie, jakby pod powiekami miała piasek. Potem z palącą niechęcią pomyślała o Michaelu. Wiedziała, że nieuchronnie będą musieli się spotkać, i to w najbliższej przyszłości. Byli jak dwa pociągi jadące z naprzeciwka tym samym torem. Pytanie tylko kiedy – oraz jakie będą zniszczenia. Michael najwidoczniej uważał, że Ramineh Sherazi miała związek z jego własnym śledztwem w sprawie Bettiny Horst, skoro poprosił Bjarnego o wyszukanie informacji o jednej z jej pracownic w Genova Counseling.

Mrucząc do siebie, weszła na YouTube'a. Wybrała nastrojowe nagranie Bettiny Horst z Academy of St. Martin in the Fields, wykonującej *Cztery pory roku* Vivaldiego w przeszklonym pawilonie w ogrodzie botanicznym w Walii. Kolejne koncerty z cyklu ilustrowały klimatyczne zdjęcia ogrodu w poszczególnych odsłonach.

Choć zwykle nie słuchała muzyki klasycznej, przyłapała się na tym, że nuci główny temat *Zimy*. Ze smutkiem i poczuciem bezsensu obserwowała

regularne rysy twarzy młodej kobiety, z której biło radosne porozumienie z sekcją smyczkową orkiestry, jej pełne skupienie, pewność i zuchwałość oraz zupełnie niepojętą wirtuozerię i prędkość, z jaką jej palce poruszały się po gryfie.

Jak on to ujął, Monell? Że interesują go tylko zima i wiosna, tylko śmierć i ponowne narodziny. To oraz perfekcja w każdym ludzkim działaniu.

I nagle pod na wpół zamkniętymi powiekami zobaczyła wszystko całkiem wyraźnie. Wiedziała, że Michael interesował się doktor Sherazi. I mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie.

Jak powiedziała Bjarnemu przed kilkoma dniami: nikt nie ma wszystkiego.

– Oczywiście – mruknęła do siebie.

Wyłączyła komputery, spakowała swoje rzeczy do torby, wciągnęła głęboko powietrze i otworzyła drzwi swojej dziupli.

Dyskretnie zamknęła je za sobą i kakofonia rozmów, dzwoniących telefonów i stukania w klawiatury wypełniająca open space była jak gwałt na jej bębenkach usznych, które od tak dawna znosiły tylko ciche elektroniczne buczenie w dziupli. Dwoje śledczych, którzy byli poprzedniego wieczora w Der Bootsmann, uśmiechnęło się do niej, pozostali nie zwracali na nią uwagi.

A potem Lene spojrzała w prawo i dostrzegła Kittę, siedzącą przy uprzątniętym biurku, niczym wyspa ciszy i spokoju. Dłonie komisarz leżały splecione na blacie, a jej wzrok był wbity w przestrzeń. Jej twarz nie zmieniła wyrazu, ale Lene wiedziała, że tamta ją zobaczyła.

Podeszła i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Jedziesz do domu? – spytała Kitta.

– Tak.

– I dowiedziałas się tego, czego chciałaś się dowiedzieć?

– Tak sędzę. Dziękuję.

Chwilę milczały, obie głęboko zakłopotane, ale Lene nie odrywała wzroku od twarzy koleżanki.

W końcu Kitta wstała i się objęły.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytała.

– Nie wiem – przyznała Lene. – Nie sędzę. Nie jestem pewna. Kitta, to dla mnie bardzo niecodzienna sytuacja.

Twarz tamtej spoważniała. Kobieta spuściła wzrok.

– Dla mnie też.

– Oczywiście. Do widzenia, Kitto.

– *Auf Wiedersehen*.

Komisarka wróciła za biurko i znów wbiła wzrok przed siebie. Lene podniosła z podłogi swoją torbę i ruszyła do wyjścia. Po pięciu krokach usłyszała, jak tamta ją woła. Odwróciła się, uśmiechając się niepewnie.

Niemka w wyciągniętej ręce trzymała telefon i celowała aparatem w zaskoczoną twarz Lene.

– Uśmiech – rzuciła zachęcająco.

Lene zrobiła co w jej mocy.

Kitta opuściła telefon i obejrzała zdjęcie. W końcu nieznacznie pokiwała głową.

– Może być – stwierdziła. – Na pamiątkę.

Kiedy Lene ponownie się odwróciła, marzyła, aby potop zalał ją i całą planetę.

Erik Kaufmann mruknął rozdrażniony, zdejmując buty i kurtkę w ciepłej szluzie powietrznej, i otworzył pakunek zawierający sterylny kombinezon, brzydkie crocсы, czepek, maseczkę i rękawiczki. Laskę oparł o ścianę i z trudem nałożył na siebie kolejne elementy stroju. Kolano bolało go teraz bez przerwy. Wreszcie był gotowy, aby wkroczyć do najświętszego miejsca w posiadłości: pokoju dziecięcego. Chociaż to określenie nie oddawało sprawiedliwości ogromnej, wysokiej przestrzeni, która się ciągnęła za stalowymi drzwiami. Mowa tu była raczej o komnatach królewskich, a z panującym tu poziomem hysterii antyseptycznej nie zetknęło się chyba żadne dziecko na świecie.

Z tego, co wiedział, lokator był całkiem zwyczajnym dzieckiem, silnym i zdrowym. Nie cierpiał na wyjątkowo ostry niedobór odporności ani nie był po przeszczepie szpiku. Wszystko tu było dowodem, że kogoś bardzo poniosło i przybrało formę sformalizowanego szaleństwa.

Przytknął obleczony w rękawiczkę palec do niebieskiego ekranu pod interkomem i poprosił o audiencję. Hana go przyjęła. Ona też była w maseczce, białym kitlu i materiałowym czepku. Jej oczy uśmiechnęły się lekko na jego widok.

Bertram Monell właśnie przewijał ruchliwego jasnowłosego bobasa, który od razu skierował na Kaufmanna wielkie niebieskie oczy. Pieluchy oczywiście były tkane z niebielonej organicznej bawełny.

Z ukrytych głośników sączyły się dźwięki sonaty fortepianowej Mozarta, a jedna ściana wyglądała jak wielkie akwarium pełne kolorowych tropikalnych ryb. Kaufmann wiedział, że to film wyświetlany na specjalnych płytach, ale efekt porażał naturalnością.

Rozejrzał się.

– Muzyka. Rybki. Rafa koralowa. Nie obawiasz się przeciążenia sensorycznego? Że wywali jej bezpiecznik?

Monell zakończył operację i zużyta pielucha została z pneumatycznym świstem zassana przez wbudowaną w podłogę konstrukcję ze stali nierdzewnej. Mężczyzna podniósł dziecko i popatrzył na Kaufmanna z dezaprobatą.

– W żadnym razie. Właśnie teraz jej mózg jest niesłychanie chłonny. Jest w stanie uchwycić, zapamiętać i uporządkować wszystko to i znacznie więcej.

– A jak jej korespondencyjne szachy?

– Przymknij się, Erik – odparł pan domu i zaniósł dziecko Hanie, która usiadła z nim na niskiej kanapie i zaczęła je karmić piersią. Ciche odgłosy ssania i mlaskania wydawały się dziwnie niezdiscyplinowane i o wiele zbyt naturalne, pomyślał Kaufmann. Niesterylne. Chyba że Hana wcześniej odkaziła sobie sutki?

Popatrzył na Monella. Miał ochotę bez końca drażnić się z nim i wspominać mu, że przez swoją niefrasobliwość i próżność naraził wszystko, co wspólnie osiągnęli. Kaufmann doskonale znał i rozumiał istotę próżności, jednak były pewne granice. Racjonalne granice. Należało zawsze wiedzieć, co jest czym i kto jest kim.

– Myślałem, że dla układu odpornościowego dziecka dobrze jest wyjść na zewnątrz i pobrudzić sobie ręce?

Monell zbladł na samo wyobrażenie.

– Wczoraj była na balkonie całe pół godziny – wypalił szybko.

– Zapewne opakowana w celofan – mruknął Kaufmann.

– Co?

– Nic.

– Czy możemy na chwilę zostawić dziecko i jego pielęgnację, o której nie masz pojęcia? O czym chciałeś pomówić? Twierdziłeś, że to ważne.

– Bo to prawda. To bardzo ważne – potwierdził Kaufmann i zerknął z boku na Hanę. Nuciała cicho małej. – Może wyjdziemy? – zaproponował.

Odetchnął z ulgą, kiedy zasiadł w wygodnym wiklinowym fotelu na werandzie i zapalił cygaro. Monell stał oparty o ścianę i uważnie studiował swój ogród.

– Pewien nasz wspólny znajomy zadzwonił do mnie dziś przed południem i zepsuł mi dzień. Tobie pewnie też zepsuje, Bertramie.

– Dlaczego?

Kaufmann zaciągnął się głęboko i popatrzył na żar cygara. Zupełnie mu nie smakowało. Zdjął z dolnej wargi strzępek tytoniu.

Hana przyglądała się mężczyznom zza szklanych drzwi, gdy niemowlę nieprzerwanie ssało jej pierś. Oczywiście nie słyszała, o czym rozmawiali, ale uniosła brew, gdy twarz Bertrama Monella zbladła i się zasepiła. Mężczyzna odwrócił się plecami do swojego gościa i zacisnął ręce na balustradzie werandy, aż pobiełały mu kostki.

Kaufmann nie przestawał mówić do jego pleców. Jego twarz z kolei była śmiertelnie poważna, a na swoje cygaro patrzył, jakby było zatrute.

Twarde dźwięki dziecka zadawały jej ból. Na szczęście mała w końcu się najadła i zasnęła. Hana owinęła niemowlę w owczą skórę, a na głowę założyła mu czepek. Dziewczynka beknęła cicho przez sen. Wtedy kobieta wzięła ją na rękę i wyszła na werandę drzwiami znajdującymi się kawałek dalej. Pograżeni w najwyraźniej bardzo poważnej rozmowie mężczyźni nie usłyszeli, jak się skrada.

– I co ja mam teraz zrobić, Erik? Cholera jasna... – usłyszała wybuch Monella.

Głos prawie mu się załamał ze strachu i rozpacz, ale jego towarzysz nie wykazywał się przesadną empatią. Widząc to, miliarder wziął się w garść, puścił balustradę i wcisnął ręce w kieszenie spodni.

– Michael ma w dupie dowody i przepisy prawa – oznajmił bezlitośnie Kaufmann. – Wie, co wie, i działa wedle własnego uznania. To żołnierz, a nie prokurator.

– Tak, ty coś o tym wiesz – mruknął Monell. – W końcu sam go zatrudniłeś.

– Bo były ku temu dobre powody. Sądziłem, że jesteśmy co do tego zgodni. Pracowałem dla ciebie przez ostatnich sześć czy siedem lat i zawsze z powierzonych zadań wywiązywałem się wzorowo. Zatem tu nie ma żadnych przypadków.

Kaufmann nagle zorientował się, że do nich dołączyła, i odwrócił się do niej z uśmiechem.

Monell patrzył przez nią, jakby była przeźroczysta.

– Cudownie widzieć to dziecko na zewnątrz, na świeżym powietrzu i wolnym wybiegu, Hano – pochwalił przesadnie głośno, a wzrok Monella powoli stawał się bardziej obecny. Na koniec pan domu popatrzył na Hanę i dziecko z jakąś rozpaczliwą, obłąkaną poządlivością, dopóki się nie opanował i ruszył w stronę schodów prowadzących na dół do ogrodu.

– Chodź ze mną – rzucił przez ramię.

Kaufmann uśmiechnął się do kobiety przepraszająco i z trudem wstał z fotela.

– Do zobaczenia – pożegnał się.

– Do zobaczenia, Eriku.

– Tylko nie wiem kiedy.

– Czyli dokładnie tak jak zwykle.

Kiedy byli obaj poza zasięgiem słuchu, Kaufmann przystanął, rozmasował chore kolano i zauważył:

– Istnieje, naturalnie, pewna alternatywa.

– Jaka?

Mężczyzna zerknął na młodą kobietę na werandzie.

– Mógłbyś zniknąć. Mogę ci zagwarantować, że nikt cię nigdy nie znajdzie. Nowe nazwisko, nowa twarz, nowy paszport. Patagonia, Polinezja Francuska, Alaska. Nowy ty.

Monell prychnął i szerokim gestem objął ogród, budynki i plażę.

– To nie jest alternatywa, Eriku. Wołałbym umrzeć. Piętnaście lat pracowałem nad tym ogrodem i prawie udało mi się doprowadzić go do doskonałości. Niemal każdy metr sześcienny ziemi, żwiru i piasku przeszedł przez moje ręce. Poza tym jest jeszcze firma. Wszystko poszłoby na marne. Ona poszłaby na marne. I wreszcie tu są pochowani Silas i Rebekka. Nie mogę ich zostawić. Nigdy.

Kaufmann wiedział, że żadna argumentacja go nie przekona.

Monell za to w rzadkim przyplýwie uczuó i pragnienia bliskoói poóózył mu dón na ramieniu. Silne palce wpióy sió w jego ciaóo.

– Erik. Proszó ció. Obiecujó, óe wszystko ci wynagrodóó.

Kaufmann uómiechnął sió ze smutkiem.

– Zawsze byóesó bardziej nió szczodry, Bertramie. Od pierwszego dnia, od pierwszego patentu. Mojej fortuny starczyóoby dla trzech saudyjskich ksiąóó.

– Wióó zrobisz to?

Drzewa sió rozsunóóy, koóysane wiatrem. Na dole zбочa w niewielkiej przystani cumowaó dóugi elegancki Aragon, kilka mniejszych gumowych pontonów i Riva, która koóysaóa sió na spokojnej wodzie. Dwaj pracujący dla Monella młodzi francuscy ekslegionióóci szorowali wóóasnie nadbudowóó olbrzymiego jachtu.

Kaufmann wskazaó palcem.

– Pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Óe Aragon w dzieó i noc bóódzi czekaó z peónym bakiem gotowy do natychmiastowego wypóóniócia. Pieniáóde, dokumenty, woda i prowiant. Tym statkiem moóna dopóónaó do Brazylii bez tankowania ani postojów. Obiecasz mi to?

– Umowa stoi – zapewnió go bez wahania i jego dón znów spocóóó na ramieniu Kaufmanna.

Napióta atmosfera óadnemu z nich nie pozwalaóa usiedzieó w miejscu. Michael przechodzió od okna do okna i ostroónie odsuwaó zasóony, mamrocóó pod nosem niezrozumiaóe przekleóstwa. Louise przechadzaóa sió wolno mióódy swoimi póóótnami, jakby sió z nimi óegnaóa.

– Teraz znasz moją przeszóóó – podsumowaóa odwrócona do niego plecami. – Ramineh trzyma mnie w Genowie jako kogoó w rodzaju domowej niewolnicy, a ja pracujóó szeóódziesiąt godzin tygodniowo, óeby ona byóa jeszcze bogatsza i jeszcze sławniejsza. Gdy próbuóó sió skaróóó, grozi, óe doprowadzi do cofniócia mojej licencji, przekaóó historió prasie, wystawi mnie na póósmiewisko. Óe mnie zniszczy. Óe nigdzie nie znajóó pracy. Mówi, óe to bóódzi jej najwyóószy priorytet.

Michael mruknaó coó wspóóóczujóó. Teraz ogonów byóo dwóch. Zabraó róóó i zasóona wróóóa na miejsce.

– Ktoś mnie śledzi – oznajmił. – Albo ciebie.

Już miała odsunąć zasłonę, gdy złapał ją za nadgarstek.

– Nie rób tego.

Jej oczy zrobiły się wielkie i zalęknione, a w kąciku warg pojawił się nerwowy tik.

– Kto to jest?

Posadził ją na fotelu, położył ręce na jej ramionach i docisnął. Potem palcem dotknął jej brody i podniósł jej twarz.

– Przecież wiesz, Louise. Wiesz i będziesz musiała mi powiedzieć.

Wyglądała na szczerze zdziwioną i powoli potrząsnęła głową.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Michael uderzył pięścią w podłokietnik, aż się wzdrygnęła.

– No mów, do diabła. Mów wszystko!

– Ale już powiedziałam. Nigdy nikomu nie mówiłam o tamtej nocy. Nawet nie wiesz, jak bardzo się odsłoniłam! Czego jeszcze chcesz?

– Jednorożca – syknął. – Opowiedz mi o jednorożcu.

Oparła głowę o fotel i popatrzyła na swój ulubiony punkt za jego plecami, znajdujący się w innym wymiarze, bardzo, bardzo daleko od Nørrebro.

– To jakiś koszmar – wymamrotała.

Michael cały czas stał przed nią.

– Opowiedz mi swój koszmar. Uwielbiam słuchać, jak ludzie opowiadają swoje co im się śniło. Królewski trakt do prawdy jest wybrukowany marzeniami, czyż nie? To dlatego chcą cię dorwać. Powiedziałaś, że nigdy nie trafił wam się jednorożec, ale to nieprawda, co?

– Ramineh się udało – pokiwała głową. – Nigdy nie widziałam u niej takiej... euforii. To był czysty przypadek, a ona jest ostatnim człowiekiem na świecie, który na to zasłużył. Postanowiła to uczcić i sporo wypić. Był piątkowy wieczór, wszyscy oprócz nas dwóch poszli do domu. Ramineh oczywiście nie zdołała zachować tego dla siebie, a ja byłam chyba jedyną, która mogła to zrozumieć i docenić.

– Nazwisko!

– Nie znam, naprawdę. Nigdy mi nie powiedziała, kto to był. Widziałam tylko sekwencje na ekranie i to było coś niesamowitego. Kurczę, jak znaleźć nową planetę! Przepiękne!

Michael czuł, że zaraz eksploduje ze złości i frustracji. Miał ochotę rozwalić na atomy wszystko w tym pokoju, ale zadowolił się kopnięciem jed-

nej ze sztalug, która wylądowała w korytarzu i połamano się z trzaskiem.

Potem ściszym głosem ostrzegł:

– Jeśli kłamiesz, to cię znajdę i odpowiesz mi za to, zrozumiałaś?

– Wierzę ci, cholera – zapewniła go równie cicho – ale nie mogę ci powiedzieć czegoś, czego nie wiem. Groźby towarzyszą mi nieustannie od jakichś czterech lat, więc nimi nic nie wskórasz, ale tak, wierzę ci, widzę, że nie żartujesz.

Wcisnął ręce głęboko do kieszeni, jakby przestał im ufać.

– Powiedziała mi tylko, że to kobieta. Młoda i pochodząca z Danii.

Michael świdrował ją wzrokiem.

– Kiedy?

– Jakies półtora roku temu. Może więcej. W lutym.

Michael opadł ciężko na fotel na wprost niej. Odchylił się, wyprostował nogi i patrzył na plamę na podłodze w kolorze ochry. Wyglądała jak zaschnięta krew.

– To była Bettina Horst – powiedział pustym głosem. – Skrzypaczka. Zniknęła z powierzchni ziemi czternaście dni po tym, jak się zgłosiła do Genovy. Ktoś ją porwał, umieścił w bezpiecznym miejscu i pobrał jej jajeczka do jakiegoś chorego, wynaturzonego projektu ludzkiej hodowli. Ramineh Sherazi i ci, dla których pracowała. Nie mam dowodów, ale tak musiało się to odbyć. To właśnie zrobili, Louise. A potem ją zabili. Twoja szefowa musiała czekać na kogoś takiego albo dostała polecenie kogoś takiego znaleźć. Gdy ją znalazła, sprzedała jej geny, a dziewczyna nawet nie wiedziała, skąd oberwała i za co. To właśnie było w niej najbardziej wyjątkowe i cenne. Nie jej dłonie, nie umysł ani talent, lecz geny.

Kiedy te słowa, raz wypowiedziane zawisły w pokoju niczym w próżni, Michaela ogarnęło rzadkie poczucie smutku i bezsensu i położyło się na nim jak ciężki płaszcz. Prawie to wiedział, ale teraz miał pewność. Pomyślał o Jacobie Wintherze i serce zabiło mu mocniej i szybciej. Jak u licha ma to powiedzieć temu młodemu człowiekowi, który tyle czasu szukał jej niestrudzenie? W nadziei na cud, którego nawet Bóg nie mógłby mu dać. Pomyśleć, że nawet zapytał Michaela, czy wierzy w cuda.

– Może wcale jej nie zabili – podsunęła Louise.

– Może.

Ale oczywiście, że zabili. Bettina Horst była zbyt znana. Utrzymując ją przy życiu, stale ponosiliby ogromne ryzyko, że ktoś ją dostrzeże i rozpozna. Gdziekolwiek na świecie.

Przypomniawszy sobie uśmiechniętą, piękną arystokratyczną twarz Ramineh Sherazi i wyobraził sobie, co by z tą twarzą zrobił, gdyby nadarzyła się okazja. Lecz to były halucynacje zrodzone z bezsilności. Pusty gest.

Twarcz Sherazi zawisała mu przed oczami jak portret na pustej ścianie, chociaż próbował ją od siebie odsunąć. Nagle z okrzykiem zerwał się na równe nogi i zaczął gorączkowo szukać telefonu w kieszeniach. Louise obserwowowała go z trwogą.

– Co znowu? – spytała.

Nie odpowiedział. Otworzył w telefonie wyszukiwarke i z zakładki Ulubione wybrał transmisję ostatniego koncertu Bettiny Horst, zamieszczoną na stronie DR. Widział to nagranie co najmniej dziesięć razy. Teraz odnalazł w nim właściwy moment i popatrzył na Louise z pozbawioną radości satysfakcją.

– Tu. Wydało mi się, że już ją gdzieś widziałem, kiedy się na nią natknęliśmy w klinice. Przecież to nagranie widzieli wszyscy, ale nikogo nie zdziwiło puste krzesło w sali koncertowej. Nikt nie zwraca uwagi na nieobecność, Louise. Nawet New Scotland Yard albo FBI.

– Kto i co?

– Zobacz. Sala koncertowa. Szostakowicz. Ostatni koncert Bettiny Horst – zatrzymał obraz i podał jej telefon. – W środku drugiego rzędu. Powiedz, jeśli kogoś rozpoznajesz.

– Ramineh – wymamrotała. – We wszystkich swoich klejnotach. Wygląda jak źle przystrojona choinka.

– Fakt. – Wziął od niej telefon i przewinął nagranie do przodu. – A tu ta sama sala po przerwie. Carl Nielsen. Wiesz już, o co mi chodzi?

– Nie ma jej.

Michael złapał się za głowę.

– *Fuck*, ale ze mnie idiota. Tyle razy to oglądałem! I ona cały czas tam siedziała, mieliśmy ją jak na tacy... Scotland Yard i FBI, kurwa.

Usiadł i jeszcze kilka razy przejrzał fragment filmu. W końcu z powrotem schował telefon do kieszeni.

– Masz coś do picia? Coś nie z krzaka w Indiach?

– Akurat mam.

Zniknęła w kuchni i wróciła z butelką bez etykiety i dwoma wysokimi kieliszkami. Nie poskapiła tajemniczego bezbarwnego płynu i Michael, niewiele myśląc, opróżnił swój kieliszek na raz. Nagle zeszytniał, skulił się,

z oczu pociekły mu łzy i z trudem łapał powietrze długimi, świszczącymi haustami. Do tego kaszłał, aż myślał, że wypłuje płuca.

Kiedy odzyskał mowę, wydukał:

– Rany boskie, co to jest? Rozpuszczalnik?

Louise również jednym haustem opróżniła własny i nawet się nie skrzywiła. Stwierdził, że jej przełyk musi być galwanizowany.

– To raki z Macedonii. Siedemdziesiąt procent. I tak, czasem rzeczywiście moczę w niej pędzle. Włosie jest dzięki niej miękkie. Tylko chyba potrzeba do niej trochę wprawy.

– Chyba tak. Jezu. Masz jeszcze? Nawet działa... chyba.

Znów im naląła i tym razem Michael uważnie obejrzał kieliszek. Następnie zapalił papierosa i zamoczył wargi, a Louise zaraz pobiegła otworzyć okno.

– Nie podchodź do tych okien, co? Oni czekają na nasz ruch, ale po co ich drażnić.

– Przepraszam.

Znów podniósł kieliszek do ust i zamyślił się głęboko. Chociaż nie do końca wiedział nad czym. Starał się złapać i naświetlić nieuchwytnie i nieprzewidywalne przecucie, śliskie jak węgorz i miotające się nieprzerwanie, czym stale przykuwało jego uwagę.

Poddał się i przestał je ścigać. Zamiast tego wstał i oznajmił:

– Nie możesz tu teraz zostać. Jest jakieś miejsce, w którym możesz się zatrzymać, takie, o którym nikt nie wie?

– Mam przyjaciółkę w Viborgu. Studiowałyśmy razem. Nikomu o niej nie mówiłam, a ona właśnie po wielu latach we Francji wróciła do Danii.

– Znakomicie.

Poszedł do jej przypominającej klasztorną celę sypialni, zdjął z szafy walizkę, otworzył ją i rzucił na łóżko. Następnie zaczął na oślep wrzucać do niej ubrania.

Louise powstrzymała go, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Ja to zrobię – powiedziała spokojnie. – A ty wracaj do salonu i napij się raki. To mi zajmie góra parę minut.

Chwilę potem weszła do salonu z walizką w ręce, dużą torbą na ramię, ubrana w dżinsy, sweter i wygodne buty.

– Jestem gotowa.

– Pieniądze, paszport?

Skinęła.

Louise jako pierwsza ruszyła w górę tylnymi schodami. Przeszli długim strychem, który ciągnął się przez większą część kamienicy i innymi tylnymi schodami zeszli na wewnętrzny dzieciniec.

Michael uchylił drzwi na zewnątrz i upewnił się, że teren jest czysty. Potem szybko przeszli przez podwórze, ale kiedy ciemną, zimną bramą mieli wyjść na Tjørnegade, Michael instynktownie stanął i położył dłoń na ramieniu Louise. Zatrzymała się natychmiast. Pociągnął ją za sobą z powrotem na podwórze.

Młody ciemnowłosa mężczyzna, na wpół ukryty i odwrócony do nich plecami, niemal zlewał się z półmrokiem panującym między bramą a murem kamienicy. Ten sam, którego Michael widział, jak przypinał rower do znaku przy Griffenfeldsgade. Był barczysty, dobrze zbudowany i umięśniony, całą uwagę skupiał na wejściu do klatki Louise Nykvist.

Michael przysunął wargi do ucha Louise:

– Zaczekaj.

Pokiwała głową. Wytrzeszczała oczy.

Przemknął przez bramę bezszelestnie jak pyłek dmuchawca. W pełni skoncentrował się na tym, aby go nie było. Aby jego obecność i aura były takie jak powietrznej dziury, co było niezbędne, jeśli się chciało uciec przed instynktownym radarem drugiego człowieka. Kiedy podszedł bliżej, pod granatową koszulką chłopaka zauważył wybrzuszenie i już wiedział, że tamten był uzbrojony.

Na wpół świadomie odtworzył w głowie krótką choreografię dwóch niemal równoczesnych ruchów, które zamierzał wykonać w mniej niż trzy sekundy. Wstrzymał oddech i stanął w lekkim rozkroku. I błyskawicznie nasadą dłoni uderzył mocno w skroń nic niepodejrzewającego czujki, a jednocześnie lewą dłonią oddał silny hak w jego szczękę po przeciwnej stronie i tym samym sparował ruch czaszki.

Mężczyzna osunął się bezwładnie. Nim uderzył w ziemię, Michael złapał go i ostrożnie położył.

Potem odwrócił się, żeby zawołać Louise, i okazało się, że stała tuż za nim.

– Zasadniczo miałaś poczekać w podwórzu – oznajmił szorstko.

Nie patrzyła na niego, wzrok wbijała w nieprzytomnego chłopaka na ziemi.

– Co to u licha było, to, co właśnie zrobiłeś?

Uśmiechnął się i bez sentymentu popatrzył na swoją ofiarę.

– W KGB nazywali to pocałunkiem. Dość trudne do wykonania, muszę przyznać, ale gdy się udaje, powoduje natychmiastową utratę przytomności. Wywołujesz w mózgu przeciwnika krótką zmianę napięcia, uderzając po obu stronach głowy, ale nie jednocześnie. Przyśpieszenie i spowolnienie. Gdy się ocknie, nic nie będzie pamiętał.

– Ale pocałunek? To jednak dziwna nazwa.

– Tak.

– Jezu. A ty gdzie się tego nauczyłeś?

– Chyba widziałem na YouTube – mruknął.

Klęknął obok leżącego mężczyzny i pośpiesznie go zrewidował. Na lewym ramieniu zauważył tatuaż z Legii Cudzoziemskiej, a przy pasku glocka 9 mm. Poza tym zablokowany telefon i pęk kluczy. Żadnego portfela ani dokumentów. W dekolcie koszulki polo wisiał srebrny łańcuszek z małym krzyżykiem.

Wreszcie wstał i westchnął.

– Idziemy?

– Chcesz go tu zostawić?

– Do twojej torby się nie zmieści, a poza tym on jest jednym z tych niedobrych, chociaż wygląda jak model Hugo Bossa.

Na końcu Tjørnegade widać było wysokie drzewa cmentarza Assistens. Przeszli przez cmentarz i wyszli na Nørrebrogade. Zatrzymał taksówkę i Louise wsiadła na tylną kanapę.

Opuściła szybę i uśmiechnęła się do niego niepewnie.

Michael wsunął jej do ręki plik banknotów.

– Nie korzystaj z karty ani komórki. Wyjmij z niej baterię. Wkładają ją co godzinę między piętnaście a siedemnaście po. Jeśli ktoś zadzwoni w tym przedziale czasowym, to będę ja. Do pociągu nie wsiadaj na głównym, tylko pojedź do Høje Tåstrup.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję. Uważaj na siebie, Louise.

Odprowadził taksówkę wzrokiem, aż zniknęła przy Runddelen.

Godzinę później Michael stał przy kasie biletowej na lotnisku w Kastrup i kupował sobie miejsce przy oknie w najbliższym samolocie do Londynu.

– Ma pan bagaż do nadania? – spytała dziewczyna.

– Nie.

– A podręczny?

– Też nie.

Unosząc brew, wręczyła mu kartę pokładową.

– Udanej podróży.

– Nie sądzę.

Kiedy stał w kolejce do kontroli bezpieczeństwa, zadzwonił jego telefon. To była Lene, ale za nic w świecie nie chciał w tej chwili z nią rozmawiać. Pewnie dzwoniła, żeby go opieprzyć za wykorzystywanie Bjarnego.

Kiedy telefon zadzwonił ponownie, przeklął byłą żonę za jej upierdliwość, ale tym razem dzwonił Simon Hallberg.

– Chyba mam coś dla ciebie.

– Brzmi cudownie. Dobrze mi zrobi jakaś dobra wiadomość. Zdążyłem nawet o tobie zapomnieć.

Nastąpiła wymowna transatlantycka cisza. W końcu Simon odezwał się ponownie:

– Jak to zapomnieć? Jest niedziela. Po raz pierwszy od trzech miesięcy wyszło słońce, a ja wczoraj wieczorem odwołałem randkę z bajecznie zdolną i niesłychanie gibką chińską aktorką broadwayowską, żeby móc dla ciebie harować. Ja pierdolę.

– Wybacz... Więc co znalazłeś?

Ponagli Michaela, żeby przeszedł przez wykrywacz metalu. Spojrzał na zegarek. Miał dość czasu, więc wyszedł z kolejki.

– Ta Louise Nykvist jest biedna jak mysz kościelna – oznajmił Simon. – Co dziwi, bo robi oszałamiającą karierę.

– To wiem. Właśnie wsiadam do samolotu do Londynu. Z czym dzwo-
niesz?

– Monell Industries. Są właścicielem Genova Counseling za pośrednictwem zagranicznych spółek na Bahamach, Jersey i w Liechtensteinie. Taki układ sugerowałyby, że piorą pieniądze dla rosyjskiej mafii, ale wszystko jest w pełni legalne. Tylko cholernie zawile.

Michael zastygł w miejscu. Ludzie, detektory i elegancka lekka konstrukcja budynku rozpląwały się na jego oczach.

– Monell...

Monell zgodnie z jego życzeniem zakwaterował go w George V i w ramionach Rose McCallen.

- Michael, dobrze się czujesz?
- Dlaczego ludzie w kółko o to pytają?
- Bo mówisz, jakbyś miał wylew.

Bertram Monell!

Klocki jeden po drugim wpadały na swoje miejsca. Przy każdym słyszał wyraźne klik. Przez duże przeszklone ściany popatrzył na błękitne niebo. Wszystko, co przeczuwał i czego się domyślał, w sposób naturalny i nieuchronny dryfując, opadało z przestworzy i zajmowało przynależne sobie miejsce w Pełnym Obrazie. Nie był to obraz piękny, w żadnym razie, ale wreszcie był kompletny.

– Oczywiście – mruknął, głównie do siebie. O Simonie w tej chwili zapomniął, a ręka, w której trzymał telefon, wisiała wzdłuż ciała.

W końcu dotarł do niego zdenerwowany głos w słuchawce i z powrotem podniósł telefon.

- Silas Monell – powiedział.
- Kto? Michael, musisz być taki, kurwa, tajemniczy?
- Co? Przepraszam. Nie. Bertram Monell miał syna o imieniu Silas. Chłopak ćpał, odkąd skończył czternaście lat. Zmarł wiosną zeszłego roku i to ja go znalazłem w więzieniu na końcu świata w Kaszmirze. Nigdy nie był człowiekiem, którego można by sobie wyobrazić w roli emanującego naturalnym autorytetem top lidera na zebraniach zarządu. W żadnym razie.

– I?

Michael po jego głosie zorientował się, że w Simonie Hallbergu obudził się dziennikarz, niczym stary generator, który stał nietknięty w schronie. Monell Industries było spółką blue chip, notowaną w NASDAQ na równi z Apple'em i Intelem, a wiedza poufna potrafiła bardzo szybko uczynić człowieka bardzo bogatym.

Dlatego też Michael czym prędzej ostudził jego młody, narwany temperament.

- Nie możesz o tym pisać.
- Nie mogę?
- W żadnym razie. Gdybyś to zrobił, musiałbym poprosić twoją chińską znajomą, żeby cię zabiła pałeczkami, albo coś w ten deseń. Mówię poważnie.
- Zrozumiałem. Teoretycznie... Ale chętnie posłucham dalej.

– To wszystko. Bertram Monell potrzebuje spadkobiercy. Kogoś, kto będzie kontynuował dzieło jego życia.

– Nie może adoptować?

– Nie, nie może. Chciałby wiedzieć wszystko o genetycznych skłonnościach tego dziecka. Wolałby je sobie skonstruować od podstaw, że tak powiem.

– Dlaczego?

– Po prostu.

Michael nie miał potrzeby wtajemniczać Simona w dalsze szczegóły.

– Kurwa, ale na pewno nie mogę o tym napisać? Michael, weź. Jak nic byłaby pierwsza strona w „The Economist”. Stary, w tej historii jest wszystko!

W głosie Simona słychać było desperację, błaganie. Gdyby Michael dał mu na to czas, tamten zacząłby płakać, bredzić o Pulitzerach albo raku mózgu swojej młodszej siostry.

– Ani słowa – wycedził przez zęby. – Śpieszę się na samolot. Na razie, Simon... I nie waż się tego ruszać!

– Michael...

Ladbroke Grove była przyjemną, opanowaną przez japiszonów ulicą w Notting Hill z rzędami zadbanych, trzykondygnacyjnych szeregowców. Michaelowi skojarzyła się z klimatycznymi kopenhaskimi Kartoffelrækkerne tylko na anabolikach. Ulice były szersze, a samochody zupełnie innej klasy, niż widywało się w Danii.

Spojrzał na zegarek. Pora zadzwonić do Louise Nykvist, chociaż na myśl o tym robiło mu się niedobrze.

Odebrała od razu.

– Michael...

– Rebekka i Bertram Monellowie. To byli oni, prawda?

– Słucham?

– To oni zgłosili się do kliniki w Szwajcarii, prawda? – spytał i wstrzymał oddech.

– Tak, to byli oni. Rzeczywiście.

Powoli przesunął dłoń po zaroście.

– Okej. Dzięki. Mówiłaś też coś o moim biologicznym materiale. Moim genetycznym substytucie, bo chyba można to tak nazwać.

– Tak, Michaelu, to bardzo adekwatne określenie.

Ścisnął nasadę nosa dwoma palcami i zamknął oczy, zanim zadał następne pytanie.

– O co w tym chodziło?

Wyrażała się jasno, słysząc było, że starannie dobiera słowa:

– Skoro pobrano jajeczka od Bettiny Horst i tak wiele ryzykowano, żeby je zdobyć, to należało użyć również możliwie najlepszego dawcy spermy, prawda? Takiego, w którego klienci byliby gotowi zainwestować równie wiele.

– Domyślam się – przytaknął i coraz wyraźniej czuł w skroniach, jak pulsuje mu krew – ale to przecież mógł być ktokolwiek, prawda?

Cisza.

– Ktokolwiek? – powtórzył łagodniej.

Tamta oporna nieuświadomiona i wymykająca mu się wiedza oderwała się od nieszczęsnego, udręzonego mózgu Michaela i podплыnęła do powierzchni. Niczym koszmarny potwór z głębin.

– No, powiedz, Louise – wychrypiał.

– Druga z twoich próbek. Ta, którą mieliśmy w bazie od jakichś piętnastu miesięcy. Pamiętasz?

– Tak. Co z nią?

– Materiał nie pochodził z włosa, jak pierwsza... To było twoje nasienie, Michael. Doskonałe, żywe plemniki. I jakość twojego nasienia jest zaskakująco dobra, jeśli zważyć na palenie i wiek. Plemniki były bardzo żywotne i było ich mnóstwo.

Michael przypomniał sobie Rose. Cień, którzy przesunął się w drzwiach w środku nocy. Cichy brzęk kostek lodu w wiaderku po szampanie.

– Pamiętasz datę, kiedy poddano analizie tę próbkę?

– Czwarty marca.

Dwa dni po Paryżu. I po Rose.

– No tak – wymamrotał załamany.

– A twoje geny, jak mówię, są pierwszorzędne.

Zawsze miał przesuszone dłonie. Teraz były wilgotne. A czarne włosy na nich stały dęba.

– Czyli gdzieś mam dziecko? – powiedział niewyraźnie i czuł, że spada i że to spадanie nigdy się nie skończy. – Mówisz, że mam dziecko, a Bettina Horst, geniuszka, jest jego matką? Biologiczną? Że została zapłodniona moim nasieniem i naprawdę urodziła dziecko? To mi chcesz powiedzieć?

– Przykro mi. Naprawdę – wyszeptała. – Ale nie ma pewności, czy to Bettina Horst urodziła dziecko. To mogła być surogatka. Michael, kto by wybrał ciebie na dawcę spermy?

– Każdy, kto mnie poznał? – wysilił się na słaby żart.

Po tym wszystkim, po najbardziej sensacyjnej rozmowie w swoim życiu Michael w wynajętym samochodzie przesiedział dwie godziny, które zdały się dwiema sklejonymi wiecznościami. Wykorzystał ten czas na zadreczanie się wyobrażaniem sobie niemowlęcia, które może już nawet nie żyło.

Myśli kłębiły się i kotłowały, i wszystkie były w równym stopniu niedorzeczne, wywrotowe i destrukcyjne.

Zrobiła się osiemnasta, a jego jedyną ludzką interakcją była wymiana spojrzeń – jego błagalne za jej potępiające – z czarną parkingową, która wsunęła mu mandat pod wycieraczkę.

Rozpoznał ją z daleka. Rose nie dało się pomylić z nikim: poruszała się jak na wybiegu. Jej ubranie było proste, ale drogie. Trencz Burberry, obcisła czarna koszulka, dopasowane czarne dżinsy i buty bikery. Długie, ciemnobrązowe włosy związała w kucyk i nie przestawała rozmawiać z na oko pięcioletnią, wesołą dziewczynką, którą trzymała za rękę. W drugiej dłoni niosła zakupy. Podobieństwo między nimi było uderzające. Dziewczynka podskakiwała albo truchtała, a Rose McCullen wyglądała jak z okładki „Chic Mother Magazine”.

Wizytówkę z nazwiskiem sprawdził już dawno. Dom należał do Rose & Vidy McCullen. Najwyraźniej żadni inni lokatorzy czy małżonkowie nie byli tu zameldowani.

Matka z córką weszły po krótkich kamiennych schodkach i zniknęły za lśniąco czarnymi drzwiami, których mosiężne elementy były wypolerowane na błysk.

Michael spojrzął na zegarek. Na to, co zamierzał zrobić, było za wcześnie. Zastanawiał się właśnie, czy poszukać jakiejś kawiarni albo pubu i czegoś nie zjeść, kiedy znów zadzwonił mu telefon.

Lene.

Na ekranie nadal pojawiała się jej twarz. Z jakiegoś powodu nie skasował tego zdjęcia.

– Tak?

– Michael, dzwoniłam milion razy. Gdzie ty u licha jesteś? Musimy pomówić. Nie mam na to ochoty tak samo jak ty, ale po prostu musimy.

– Odpowiedź na wszystkie pytania twoje i moje brzmi: Bertram Monell – oznajmił z powagą. – On finansuje miejsce o nazwie Genova Counseling w Skodsborgu. To prywatna klinika specjalizująca się w leczeniu bezpłodności i badaniu ludzkiego DNA. W pewnym momencie zwróciła się do nich młoda kobieta, której matka zmarła na raka piersi. Ta kobieta wkrótce potem zniknęła. Okazało się, że była tak zwanym jednoróżcem. Tak w ich branży nazywa się ludzi o idealnych genach.

– Jednoróżce – powtórzyła z ironią.

– Bo są równie rzadcy – wyjaśnił.

– Ale mówisz o idealnych ludziach? W sensie nadludziach?

– Pod względem genetycznym. W teorii żyją wiecznie, rozwiązując problemy klimatyczne świata, latając na Marsa, wynajdując samoostrzące się ołówki i środkowych napastników dla FC Barcelony.

– To mogłaby być na przykład Bettina Horst – zauważyła Lene.

– To *była* ona. Bertram Monell nie miał spadkobiercy, a dla takiego typu jak on to nie do pomyślenia. Jego drzewo genealogiczne sięga jakiegoś szlacheckiego rodu z trzynastego wieku. On jest ostatni, a przodkowie ukrzyżowaliby go, gdyby się pojawił w zaświatach, nie zapewniwszy ciągłości rodu. Zwykle członkowie rodu Monellów dożywają sędziwego wieku i do końca zachowują żywy umysł, ale ten kutas nabawił się mutacji jednego genu, który sprawia, że dostanie alzheimera.

Milczała.

– Lene?

– Odwiedziłam Monella na jego wyspie – powiedziała w końcu. – Jest mocno zamieszany w zabójstwo Marii de la Reyes. Pokazał mi grób swojego syna. Ten człowiek wydał mi się obłąkany albo co najmniej zaburzony psychicznie. I było tam niemowlę.

– Naprawdę? Widziałaś je?

Nigdy niczego nie słuchał tak intensywnie, jak teraz wsłuchiwał się w każde brzmienie jej głosu.

– Tak. Ma około trzech miesięcy. To dziewczynka. Jasne włosy i niebieskie oczy. – Jej głos zaczął się oddalać po tym, jak sprecyzowała: – Dość

szczególony, ciemny odcień niebieskiego.

Poczuł coś ciepłego i mokrego na policzku. Wytarł to i popatrzył skołowany na swoje mokre palce. Pośpiesznie wciągnął powietrze, czuł, że lada chwila załamanie mu się głós.

– Jaka ona jest? – wydusił z siebie po przerwie.

– Jak każde trzymiesięczne dziecko. Nie bije z niej światło i nie ma aureoli wokół głowy.

– Oczywiście, że nie. Ale nie wiedziałem, że z nim rozmawiałaś ani że byłaś na wyspie. By to szlag, nie mogłaś... – Urwał. To nie by dobry moment na wypominanie Lene, że nie grała w otwarte karty.

– Nie mogłam czego, Michael? Śmiało, powiedz – syknęła. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że w tej chwili Bjarne wie o moim własnym śledztwie więcej ode mnie, prawda? A to zajebiście nie w porządku i nie tak się umawialiśmy!

Michael zamknął oczy.

– Wybacz. Masz rację. Syn Monella był ćpunem. Zmarł w więzieniu w Indiach w zeszłym roku.

Jej głós był zaskakująco spokojny, chociaż Michael wiedział, że to była cisza przed burzą:

– To jego szukałeś przez tamte cztery miesiące, gdy cię nie było?

Słyszał, jak Lene hiperwentyluje, i zacisnął powieki w oczekiwaniu opierdolu o międzygalaktycznych rozmiarach.

– Gdybyś tylko sam mi o tym powiedział dawno, dawno temu – powiedziała ze smutkiem.

– Wiem. Ale nie mogłem.

– Czyli Bettina Horst dostarczyła materiał genetyczny idealnemu potomstwu Monella?

Michael opuścił boczne okno i zapalił papierosa. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Ani trochę mu się nie podobał.

– Tak sędzę.

– Daj już spokój. Wiesz, że tak. A ja też mam kilka informacji, które cię zaciekawia.

– Tak?

– To Maria de la Reyes urodziła Monellowi to cudo. Ona, Kayla Torres i Marissa Castro zostały starannie wyselekcjonowane i poddane szczególnym badaniom ginekologicznym, zanim opuściły Manilę. Były zdrowe i młode. A na ostatnim etapie, już w Hamburgu, zatwierdziła je Ramineh

Sherazi. Dziewczyny były więzione przez dwie doby, zanim przewieziono je dalej. I oboje chyba wiemy, jaki był następny i ostatni przystanek na ich drodze.

Michael pstryczkiem posłał niedopałek do rynsztoka i od razu zapalił następnego papierosa. Naprzeciwno, w domu Rose McCullen zapaliły się światła.

– To rzeczywiście ciekawe – wybełkotał, bo z przepełniającej go nienawiści i niepokoju ledwie był w stanie formułować słowa.

Nadludzką siłą woli przerwał groźną, niekończącą się spiralę niepowstrzymanych myśli o trzymiesięcznej dziewczynce w rękach Monella, wysiadł i zwymiotował do studzienki za samochodem. Przechodząca obok para młodych ludzi przystanęła i spytała, czy wszystko w porządku, co krztusząc się, potwierdził. Poszli dalej i co jakiś czas oglądali się na nieszczęśnika.

– Co jest?

– Nic. Musiałem zwymiotować. Chyba coś zjadłem... nie wiem co. Piłem herbatę. Nie toleruję herbaty.

– Michael, o czym ty, u licha, mówisz?

Jej głos był ostry jak smagnięcia biczem i to go oprzytomniło. To pewnie odruch Pawłowa wykształcony po długiej znajomości. Tak przypuszczał.

– O niczym. Nic mi nie jest.

– Czyli Monell bawi się w Boga?

Wiedział, że Lene nie umiała żartować z takich rzeczy. Wyznawała chrześcijaństwo w pierwotnej, fundamentalistycznej wersji.

– Nie wiem – przyznał ostrożnie. – Obstawiam tylko, że do każdego problemu podchodzi w identyczny sposób. I zasadniczo to wyłącznie kwestia pieniędzy i zaangażowania. Skoro potrzebne mu dziecko, to je skonstruuje najlepiej, jak tylko można sobie wyobrazić. Tak, jakby to zrobił w przypadku chipa komputerowego nowej generacji albo swojego zasranego ogrodu. Pracowałem dla niego przez wiele lat. Również zanim poznałem ciebie. Większość zadań, jakie dla niego rozwiązałem, dotyczyła szpiegostwa przemysłowego.

Michael znowu zerknął na dom McCullenów. Światła na niższych piętrach zgasły, paliło się za to na poddaszu. Rolety wewnętrzne były w motywy z Piotrusia Pana. Słodkie.

– Więc kto jest ojcem? – Lene zadała pytanie nieuchronne jak śmierć. – Jakiś inny jednorożec?

– Nie wiem. – Zacisnęła powieki. – Gdzie teraz jesteś?
– W McDonald’s na południe od Fredericii. Wracam do domu.
– Lene, od śmieciowego jedzenia boli cię głowa.
– Dzięki tobie już mnie boli, ale doceniam troskę.
– Mogłabyś się trochę pośpieszyć i zrobić mi przysługę?
– To zależy od wielu rzeczy, Michael. O dziwo w tej chwili nie mam ochoty wyświadczać ci kolejnych przysług.

– Martwię się o Idę. Próbowałem się do niej dodzwonić nie wiem ile razy. Pewnie po prostu odsypia dyżur, ale może dałabyś radę do niej zajrzeć? Wiem, że mnie obserwują. To zawodowcy. Na lotnisku udało mi się ich pozbyć, ale... – Zamknął oczy i ugryzł się w knykcie. Mocno. Najwyraźniej był bardziej zmęczony i zdenerwowany, niż mu się wydawało.

– Jak to na lotnisku? Jezu, Michael... Jesteś w Londynie! Ty dupku! Poleciałeś za tą babką z Paryża, prawda? Bjarne powiedział, że prosisz go o wyszukanie jej adresu. Wiesz co? Wal się! I na przyszłość bądź tak miły i korzystaj z własnych skromnych zdolności i zasobów, nie zawracaj dupy mojemu asystentowi. Ten dług wdzięczności, który jego mylnym zdaniem ma wobec ciebie, już dawno został spłacony. – Michael odnotował, że jej głos stał się jakby jaśniejszy. Rozżarzony do białości.

Usłyszał, że otworzyła drzwi samochodu, i dotarły do niego odgłosy w tle. Duńskie głosy. Klęła niewyraźnie i był pewien, że kopała w opony.

– Na razie – powiedziała na koniec.

– Lene! Lene, kurwa. Nie rozłączaj się. To nie tak, jak myślisz. Ukradli moją spermę... Jeśli można tak powiedzieć o spermie... W tamtym pokoju w hotelu George V w Paryżu. Tę spermę przechowano w temperaturze ciała w niej... w tej, z którą byłem.

W słuchawce była głucha cisza.

– Wszystko tamtego wieczoru w Paryżu zostało zaaranżowane. To była pułapka – dodał.

– Pułapka, w której musiałeś puknąć modelkę? Ojej, jakie to straszne. Ale mi ciebie szkoda, Michael. Posłuchaj uważnie: zawsze brałeś odpowiedzialność za swoje działania. To była jedna z rzeczy, które w tobie lubiłam. Więc nie zaczynaj mi teraz wyjeżdżać z jakimiś chorymi wymówkami. To żalosne i chyba nie jestem w stanie tego znieść.

Michael chodził tam i z powrotem po chodniku.

– Nie rozumiesz – wyparował. – Pracowałem dla Monella i on mnie wybrał. Mnie! W zeszłym roku ktoś się włamał do domu Idy i pobrał materiał

genetyczny. Wystarczyło parę włosów, nic więcej. On już wiedział, że Silas nigdy nie będzie w stanie robić niczego innego, niż wstrzykiwać sobie heroinę w żyły. Plan miał gotowy od lat, ale nie mógł przystąpić do jego realizacji, zanim Silas nie zmarł.

– Skąd o tym wiesz i jaki to ma, u licha, związek z Paryżem?

Michael popatrzył na zegarek. Niedługo będzie musiał zrobić to, po co tu przyleciał, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Zaczynał odchodzić od zmysłów ze strachu o Idę.

– Przeanalizowali moje DNA w Genovie. Rozmawiałem z jedną z tamtejszych genetyczek i powiedziała, że miałem... że miałem...

– Że co miałeś?!

– Zajebicie dobre geny. – Zaśmiał się nerwowo. – Nie spodziewałaś się, co?

– Więc to ty?! To dziecko, które widziałam na wyspie... Przecież ty naprawdę jesteś największym palantem na świecie. I ty masz dziecko? Ja nie mam, a ty masz?

Zrozpaczona próbowała głęboko oddychać, głos już dawno jej się załamał i Michael wiedział, że tylko przerośnięta duma nie pozwalała jej się rozplakać. Nigdy jeszcze nie czuł się tak głęboko zawstydzony.

– Michael, ty świnió. Zadzwoń za dwie minuty – powiedziała na koniec. – Nienawidzę cię, kurwa.

– Lene? Lene, do cholery...

Wsiadła do samochodu, zamknęła drzwi i krzyczała co sił w płucach, waląc jednocześnie dłońmi w kierownicę. Potem wysiadła, kopniakiem zamknęła drzwi i zaczęła przemierzać rozległy parking, aż znalazła to, czego szukała: czerwony żar w szoferce jednej z ciężarówek.

Mocno zapukała do drzwi.

Kierowca czytał książkę, paląc papierosa. Mężczyzna w średnim wieku, siwa broda, kolczyki, długie siwe włosy pod brudną czerwoną bejsbolówką, golf i czarne drewniaki. Popatrzył na nią zaciekawiony. Z głośników płynął nastrojowy duet Nancy Sinatry i Lee Hazlewooda z połowy lat pięćdziesiątych, kiedy dla mężczyzny pewnie czas się zatrzymał. Na siedzeniu obok siedział biały pudel z obrozą wysadzaną kamieniami półszlachetnymi, jakby wracał prosto z wystawy psów w Cannes. Człowiek i pies patrzyli na nią szklącymi, nieruchomymi oczami.

Lene odsunęła kurtkę, ukazując kaburę na biodrze, i położyła dłoń na kolbie pistoletu. Nie miała wątpliwości, że kierowca to widział, ale najwyraźniej był wybitnie spokojnym człowiekiem.

– Policja – oznajmiła. – Pan pali.

– To nielegalne?

– Tak. Jestem zmuszona skonfiskować dwa z pańskich papierosów.

Mężczyzna uśmiechnął się i rzucił jej w połowie pełną paczkę cameli i jednorazową zapalniczkę. Wyjęła papierosa, zapaliła, zaciągnęła się głęboko i zakrztusiła. Nie paliła od drugiej klasy liceum. W tym czasie nie robiła wielu rzeczy, które obecnie wydawały jej się całkiem naturalne. Na przykład pójście do łóżka z Kittą. Była na siebie zła, że nigdy nie pozwoliła sobie na więcej swobody. Że trochę nie poeksperymentowała.

– Niech ją pani zatrzyma – zachęcił ją kierowca i przyjrzał jej się uważnie. – Wszystko okej?

Lene przestała kaszleć i wzięła następnego macha. Poszło lepiej.

– Absolutnie nie. Mam się chujowo. Co by pan zrobił, gdyby żona pana zdradziła?

Czoło pod daszkiem czapki się zmarszczyło. Potem mężczyzna z namysłem pokiwał głową i odwrócił się do zasłonki oddzielającej część sypialną. Zasłonka była granatowa jak niebo o północy i usiana srebrnymi gwiazdami i półksiężycami jak namiot wróżki.

– Rita? Rita! Skarbie, nie śpisz?

Lene usłyszała, jak w ciemności za jego plecami ktoś cicho stęka. Po chwili ukazało się długie, szczupłe i nagie kobiece ramię. Dłoń o krwistoczerwonych paznokciach odsunęła zasłonkę i w przerwie pojawiła się dojrzała twarz w kształcie serca. Kobieta ziewnęła i uśmiechnęła się do Lene.

– Dobry wieczór, skarbie. Co mówiłeś?

Twarz kierowcy była zupełnie neutralna.

– Ta pani pyta, co bym zrobił, gdybyś się przespała z kimś innym.

Kobieta się przeciągnęła. Potem jej twarz stała się poważna, a oczy wąskie.

– Tom, po co znów do tego wracać? Przecież to nic nie znaczyło. Byłam pijana i przeprosiłam cię milion razy. Co jeszcze mam zrobić? Iść się utopić?

Lene zrobiła wielkie oczy. Uważała, że oboje byli fantastyczni.

Kierowca wzniosł wzrok do nieba.

– Nie pytała o nas, do diabła! Jej chyba chodziło tak ogólnie. Hipotetycznie, kurza twarz!

Okładka książki leżącej na kierownicy zwróciła uwagę Lene: *Ptaki wędrówne Skandynawii*.

Kobieta czubkiem różowego języka zwilżyła dolną wargę. A potem spojrzała Lene głęboko w oczy.

– Jeśli go kochasz, to mu wybaczyć. A jeśli nie, to o nim zapomnij. Ale skarbie, cokolwiek postanowisz – zawiesiła głos na moment. – I to jest naprawdę ważne. Musisz przede wszystkim być wierna sobie. I na Boga, koniecznie weź odwet!

– Już wzięłam – wypaliła Lene. – Z kobietą.

Rita wzięła bucha męzowego papierosa i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Mądra dziewczynka.

A potem ponownie zanurzyła się w ciemności. Zasłona powoli się zaciągnęła.

Kierowca wzruszył ramionami.

– Zna się na życiu. Z reguły opłaca się jej słuchać. Dobranoc.

– Dobranoc. I dziękuję – odparła Lene.

Zatrzaskała ciężkie drzwi. Pies ani razu się nie poruszył. Może był wypchany?

Michael prosił, żeby się pośpieszyła, i Lene robiła to na tyle, na ile się dało w małym peugeocie. Wcześniej sama spróbowała zadzwonić do Idy, ale miała równie mało szczęścia co Michael. Klęła bez ustanku i co jakiś czas ze złością szarpała kierownicę. Aż się spociła z frustracji – z powodu zdrady Michaela, manii wielkości miliardera, cynizmu, zabójstw, dziecka. Dziecka, rany boskie! A przecież niemal trzymała je na rękach wtedy na Virkø. Patrzyła w bezdenne ciemnoniebieskie oczy, na niedokończoną twarz. Na oczy w dokładnie takim samym kolorze co oczy Michaela.

Przejechała całą Fionię, zanim była w stanie zmusić się do oddzwonienia do ultrazdrajcy. Odebrał od razu.

– Powiedziałaś dwie minuty.

– To mnie pozwij. Czyli technicznie jesteś ojcem mutanta Monella? A twoja kochanka ukradła twoje nasienie? Bez jaj, Michael. – Opuściła szybę i wygrzebała z paczki papierosa. Spadł na podłogę i przed oczami ukazały jej się małe czerwone plamki czystej rozedrganej wściekłości. Płomień zapalniczki natychmiast gasł w przeciągu. Ze złością rzuciła ją na siedzenie obok. – Kurwa mać! Co zamierzasz z tym zrobić i po co leciałeś do Londynu, skoro już wszystko wiesz?

– Muszę to usłyszeć od niej osobiście.

– Aha. A po czym wnioskujeś, że ona w ogóle ma ochotę z tobą rozmawiać? Nie masz żadnych, kurwa, dowodów. Sama raczej nie będzie chciała się tym pochwalić. Była modelką, Michael! Ona jest znana!

– Myślę, że zechce ze mną porozmawiać – powiedział bez przekonania.

– A co z chłopakiem Bettiny Horst? Co jemu powiesz?

– Nie wiem. Chyba prawdę. Będzie musiał się z tym pogodzić. Inaczej nigdy nie zazna spokoju.

Lene znowu jęknęła, ale przynajmniej w końcu udało jej się zapalić. Zaciągnęła się, zakrztusiła i wcisnęła gaz do dechy.

– Michael, ale masz przesrane. Zjechałeś to po królewsku. – I znowu walenie w kierownicę.

– Nie musisz mi o tym przypominać, ale dzięki.

W końcu odrobinę się uspokoiła. Zwykle w pewnym momencie osiągała punkt, w którym tak jakby akceptowała fakty. W którym umysł wyłączał jałowe, niedorzeczne spekulacje i przechodził w tryb planowania. Lene była

nieskończenie wdzięczna za tę umiejętność. Bez niej już dawno zabiłyby ją wrzody żołądka. Albo by zwariowała. Albo zamknęła się w klasztorze.

– Kiedy wracasz? – spytała.

– Jak najprędzej. Późnym wieczorem albo w nocy. Dla mnie to wszystko też jest bardzo świeże. Dowiedziałem się kilka godzin temu.

– Musisz znaleźć to dziecko – oznajmiła i usłyszała w słuchawce, że Michael stara się oddychać głęboko.

– Wiem.

Zredukowała bieg i wyprzedziła długą holenderską ciężarówkę.

– I żeby między nami wszystko było jasne, ja też się z kimś przespałam – wyznała. – Uważam, że powinieneś wiedzieć, mimo że... I nie, nie wiem, co będzie dalej ze mną i tym kimś...

– Co zrobiłaś? Z kim?!

Uśmiechnęła się, słysząc jego wzburzenie.

– To absolutnie nie twoja sprawa – odburknęła i uśmiechnęła się szerzej. Dziwna kobieta z ciężarówki miała rację.

– Jak to nie moja sprawa? O ile mi wiadomo, jesteśmy małżeństwem.

– Michael, nie zachowuj się jak ostatni idiota. I tak, zajrzę do Idy sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Chyba nie usłyszał ostatniego zdania.

– Ale wciąż jeszcze moglibyśmy spróbować...

– Nie sądzę – ucięła.

– W takim razie mam nadzieję, że był tego wart – rzucił cierpko.

– Moim zdaniem zdecydowanie była warta. *Fuck!* Złapałam gumę. Kurwa mać...

– Masz koło zapasowe?

– Nie wiem. Na razie. Poradzę sobie. Mamy to w ubezpieczeniu?

– Nie.

– Zajebicie.

Michael popatrzył na telefon.

„Ona była warta?”

Przesłyszał się?

Znowu zadzwonił do Idy i zaklął, kiedy włączyła się poczta.

Zostawił jej z dziesięć wiadomości, jedną bardziej ponaglącą od drugiej. Wysłał kolejnego esemesa, prosząc, żeby natychmiast opuściła dom i

pojechała do Johna, o ile już u niego nie była.

Michael przeszedł przez spokojną o tej godzinie ulicę i wąską alejką dotarł do furtki ogrodu na tyłach domu Rose McCullen. Jadąc z lotniska, zatrzymał się w świetnie zaopatrzonym sklepie żelaznym, gdzie kupił przybory pozwalające otworzyć większość zamków.

Spomiędzy dwóch kubłów na śmieci wybiegł kot z myszą w pyszczku i Michael prawie dostał zawału. Kot wskoczył na ostatni kubeł w szeregu i połknął mysz w całości. Na koniec tylko cienki ogonek wystawał spomiędzy kocich zębów i ruszał się na boki.

Vida leżała na plecach z rękami na kołdrze i patrzyła na karuzelę z motywami cyrkowymi wiszącą nad swoim łóżkiem. Jej twarz lśniła po kąpieli, a w kremowej piżamie wyglądała bajkowo.

Rose zamknęła *O czym szumią wierzby* i położyła książkę na kolanach.

– Co się wydarzy jutro?

Jej matka ziewnęła, zasłaniając usta dłonią.

– Hm. Szczur i Kret odwiedzą Ropucha w Ropuszym Dworze. Ropuch pewnie chce się pochwalić nowym samochodem. Będzie zabawnie.

Córka spała. Długie czarne rzęsy dotykały policzków. Oddychała powoli i bezgłośnie.

Rose wstała, przeciągnęła się i zgasiła światło w pokoju dziecka, ale zostawiła zapalone w korytarzu. Potem zeszła na parter do kuchni, włączyła ekspres do kawy, a na płaskim ekranie nad stołem puściła CNN.

Zmarszczyła czoło, kiedy w jednym z pokoi usłyszała cichy jazz. Nie przypominała sobie, że włączała wieżę.

W ciemnym pokoju świeciła tylko zielona dioda sprzętu. Z głośników sączyła się Nina Simone. Rose zanuciła razem z nią *My Baby Just Cares For Me*.

Nagle za jej plecami skrzypnęła podłoga i Rose przestała oddychać. Wiedziała, że dostała zawału albo wylewu. Że umrze tu i teraz i zostawi Vidę, bo nie była w stanie precyzyjnie ani jednej cząsteczki powietrza przez coś straszliwie twardego i obcego, co się zacisnęło na jej szyi. Słyszała, jak filiżanka z kawą rozbija się na podłodze, i czuła, jak śmiertelny strach wyciska z niej pot wszystkimi porami. Zielone światełko na wieży rozplywało się i zgasło, wszystko zalała ciemność, a nogi się pod nią ugięły.

Michael poluzował cienki stalowy drut, który zarzucił na długą wytworną szyję Rose McCullen, i patrzył, jak po paru uderzeniach serca otwiera oczy i mruga zszokowana. Przytrzymał w rękach jej cały ciężar ciała, aż doszła do siebie i stanęła o własnych siłach. Wciągała powietrze ciężkimi bolesnymi skurczami. Pociągnął ją do tyłu i posadził na krześle z wysokim oparciem, do którego przywiązał drut i włączył lampę stojącą.

Była jeszcze piękniejsza, niż zapamiętał, nawet z tymi załzawionymi oczami i nabrzmałymi na szyi żyłami. Wyłączył Ninę Simone i usiadł na wprost Rose. Mrugała pośpiesznie i patrzyła tylko na jego buty. Jej oddech stał się lżejszy, a palce badały pętlę na szyi.

– Nie ruszaj – ostrzegł i posłusznie położyła dłonie na podłokietnikach krzesła. – Pamiętasz mnie?

Nie odpowiedziała. Podniósł jej głowę, wsuwając dłoń w jej długie włosy. Zmrużyła oczy, ale rozpoznała go i zaskoczona krótko skinęła.

– Pamiętasz mnie? – powtórzył poważnym głosem, robiąc pauzy po każdym słowie.

Kiwnęła głową.

– Skąd?

– Zaliczyłam cię.

Teraz Michael kiwnął głową.

– Zgadza się, podła szmato. Zaliczyłaś mnie. W Paryżu. Dlaczego?

– Ja...

Wymierzył jej siarczysty policzek, od którego zarzuciło jej głowę w prawo. Potem jej głowa powoli wróciła do pozycji wyjściowej. Przerazona otworzyła szerzej oczy i rozwarła wargi, żeby krzyknąć. Michael stłumił jej krzyk pętlą.

Z jej gardła dobył się zwierzęcy pisk. Z dziurki nosa pociekła krew. Strużka skrzyła, mijając łuk Kupidyna, i dotarła do kącika ust, gdzie kobieta wytarła ją opuszkami palców.

– Rose?

Patrzyła na niego osłupiała.

– Rose? – powtórzył.

– Tak?

– Dlaczego?

Wciągnęła głęboko powietrze i odparła drżącym głosem:

– Kazali mi iść z tobą do łóżka. Dali mi coś, jakby kapturek dopochwowy. Miałam go włożyć i zatrzymać twoje nasienie. Kiedy byliśmy...

po. Miałam je przelać do probówki i przechować w wiaderku z szampanem, dopóki nie zaśnie. Wtedy miałam wyjść z hotelu, a probówkę zostawić nocnemu portierowi.

Michael uderzył ją ponownie, tym razem o połowę słabiej, i szarpiąc za pętlę, skierował jej twarz ku górze.

– Posiadasz tylko tę twarz, prawda? – spytał szorstko. – Tylko ją. To z niej żyjesz?

Zaszlochała.

– Tylko ją.

– Kim są oni?

– Nie wiem... ja...

Poczuła ruch i podniosła rękę.

– Nie! Nie bij mnie więcej. Naprawdę nie wiem. Pracowałam dla jednej agencji i jej dyrektor przedstawił mnie na przyjęciu swojemu przyjacielowi. Nie pamiętam nazwiska tego człowieka. Nie pamiętam, czy się przedstawił.

– Bogaty gość?

– Oni wszyscy są bogaci. Zapłacili mi dziesięć tysięcy funtów i więcej ich nie widziałam. Przysięgam, Michael.

– Opisz go.

Skierowała wzrok do wewnątrz. Znowu wytarła krew z górnej wargi i próbowała się skupić.

– Elegancko ubrany, po pięćdziesiątce. Długie siwe włosy zaczesane gładko do tyłu. Opalony... A, i palił kubańskie cygara. Zrobił mi długi wykład o ich zaletach. – Popatrzyła na Michaela. – Nosił szylkretowe okulary.

– Kaufmann – warknął.

Zostawił, żeby pójść do kuchni, gdzie znalazł lód, skruszył go w ręczniku kuchennym i wręczył jej opatrunek.

– Przyłóż to. Nos nie jest złamany. Znów będziesz piękna, Rose. Aż do następnej ofiary. Albo klienta.

– Dziękuję – wymamrotała.

– Dlaczego wysłałaś mojej żonie to zdjęcie?

– Kazali mi. Powiedzieli, że to cię wytrąci z równowagi i nie będziesz tak wszystkiego analizować.

– Mieli rację – przyznał.

Jej oczy spozierające znad opatrunku były wielkie i śmiertelnie przerażone.

– W dodatku powiedziałaś, że nie możesz mieć dzieci. Bardzo mnie to poruszyło, Rose.

Popatrzył w sufit.

– Tak mi przykro – wyszeptała zrozpaczona. – Przepraszam.

Zdjął z jej szyi drut, zwinął go i schował do kieszeni.

– Normalnie przedstawiłbym ci teraz szereg straszliwych gróźb, gdybyś kiedykolwiek komukolwiek pisnęła o tym słowo. Bez problemu znajdę cię ponownie. Myślisz, że to konieczne?

– To nie jest konieczne – potwierdziła.

Było piętnaście po pierwszej. Parking naprzeciwko hali przylotów świecił pustkami, a ostre światło w hali wycinało kwadraty w zmęczonych oczach Michaela. Od rozmowy z Lene minęły cztery godziny, ale udało mu się zdążyć na ostatni samolot z Londynu i nie mógł się wprost doczekać, co powiedzą w Avis na to, że wynajęty samochód odstawił na lotnisku innym niż Heathrow, w dodatku na zwykłym parkingu i nie uiścił opłaty. Ani tamtego mandatu za parkowanie.

Mercedes stał tam, gdzie go zostawił. W czasach, kiedy jeszcze nic nie wiedział i tkwił w błogiej nieświadomości o spisku, jaki przeciwko niemu uknuli Kaufmann z Monellem. To był stan, w którym najchętniej by pozostał. Stan, który nie zmuszał go do dokonywania trudnych, zmieniających życie wyborów. Na tym przecież polegała sztuka bycia prywatnym konsultantem do spraw bezpieczeństwa: żeby nie być osobiście zaangażowanym w żadną ze spraw. Pocił się ze złości.

Wcisnął guzik elektronicznego kluczyka i zamek otworzył się z krótkim opóźnieniem. Zastanowiło go to, ale wsiadł i wcisnął do końca okrągły czerwony guzik startu. Silnik zabuczał posłusznie. Michael włączył światła, tyłem wyjechał z miejsca i opuścił szybę – po czym samochód stanął, a światła zgasły.

Ponownie włączył start. Silnik i światła mijania włączyły się od razu, ujechał kawałek i silnik znowu zgasł. Michael rozejrzał się, ale na tym poziomie parkingu nie widział żywej duszy.

Okno od strony pasażera opuściło się, chociaż niczego nie dotykał. Silnik się uruchomił. Potem zgasł. Światła się włączyły. Zgasły.

W końcu zobaczył Kaufmanna. Podstarzały playboy szedł w jego stronę środkową alejką parkingu. Poły długiego płaszcza powiewały na wietrze, a

laska stuknęła rytmicznie o betonową podłogę. Podniósł obleczoną w rękawiczkę dłoń i pokazał elektroniczny klucz podobny do jego własnego. Michael schylił się, żeby ze schowka wyjąć swojego sig sauera.

Nie było go tam.

Kaufmann uśmiechnął się przepaszająco.

Podjechał ciemny samochód dostawczy i zatrzymał się obok mercedesa. Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Gdy Kaufmann był góra dwa metry od niego, Michael wyłączył dźwięk w telefonie i schował aparat do lewej skarpetki po wewnętrznej stronie kostki. Kaufmann położył dłoń na dachu mercedesa, żeby odciążyć chorą nogę, i popatrzył w dół, na Michaela. W jego wzroku nie było widać cienia triumfu. Wyglądał na równie zmęczonego co Michael. Po drugiej stronie jego samochodu stali teraz dwaj wysocy i krzepcy młodzieńcy w skórzanych kurtkach. Na ich twarzach malowała się typowa dla zawodowych żołnierzy wyćwiczona czujność. Michael obstawiał, że ci służbę odbyli w którejś z elitarnych jednostek. Byli bardzo spokojni i ściszonymi głosami rozmawiali po francusku.

– Powiedz, Michael, dlaczego mężczyźni nie mogą się oprzeć kobietom w skórze? – spytał Kaufmann.

– Nie mam pojęcia.

– Bo pachną nowym samochodem.

Kaufmann poklepał dach mercedesa.

– Pewnie już wiesz, że to, co trzymam w ręce, to nadajnik i odbiornik, który skopiował sygnał radiowy twojego klucza.

– Słyszałem o tym. Jesteś bardzo sprytny, Eriku.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej i podniósł wzrok na stojących po drugiej stronie mężczyzn.

– Bądź tak miły i wysiądź. I zaklinam cię, nie rób głupot. Jest parę spraw, o których musimy pomówić, a nie dowiem się niczego od kogoś, kto właśnie dostał kulkę w łeb.

Michael wysiadł i od razu został zrewidowany przez dwie zręczne dłonie. Telefon wpadł do buta i pozostał niezauważony.

Kaufmann wymienił spojrzenia i skinięcia z jednym z Francuzów. Zapalił cygaro i z obojętną miną patrzył na Michaela zza cienkiego woalu dymu.

– Żeby bić kobiety, Michaelu... – pokręcił głową – ...zwłaszcza wyjątkowo piękne, o to, szczerze mówiąc, nigdy bym cię nie podejrzewał. Nie sądziłem, że upadniesz tak nisko. Ale chyba nigdy nikogo nie znamy do końca, prawda?

– To podła suka – zauważył Michael.

– Ale lojalna. Bądź uprzejmy zdjąć kurtkę.

Jeden z młodych mężczyzn sprawdził jego kurtkę.

Kaufmann uniósł brew.

– Nie masz telefonu?

– Nie lubię ich. Mają tendencję do zdradzania pozycji właściciela.

Kaufmann pokiwał głową. Przez chwilę palił zamyślony.

– I co teraz? – spytał Michael.

– Naprawdę nie wiesz? Ci tutaj, moi zaufani współpracownicy zajmą się resztą. Michael, tak naprawdę nie dałeś nam wyboru i przez ciebie teraz ograniczam szkody. Byłem zmuszony improwizować, a bardzo tego nie lubię. – Kaufmann odwrócił się i uszedł parę kroków, po czym zatrzymał się i zatoczył ręką bezradnie. – Michael, kurwa, po co to drażyłeś? – Żal w jego głosie wydawał się szczery. – Co to dla ciebie znaczy? Tyle co nic. Gdybyś miał problemy, zawsze mógłbyś się zgłosić do Bertrama. Hojny jest. Ozłociłby cię. Przecież się znacie, do diabła!

– Erik, to jest chory człowiek.

Kaufmann zrobił krok w przód i z całej siły uderzył Michaela w brzuch. Mężczyzna się skulił, cofając, uderzył w stojącego najbliżej najemnika i kopniakiem podciął mu nogi. Wywiązał się tumult, przypominający bardzo krótki i nierówny mecz rugby, w którym Michaelowi udało się wsunąć swój telefon do kieszeni kurtki jednego z Francuzów.

W dłoni Kaufmanna pojawił się pistolet z tłumikiem. Był to sig sauer Michaela.

– Dość już, cholera. Wstań i nie zachowuj się jak idiota. Bądź mężczyzną, weź to na klatę.

Młodzi najemnicy postawili Michaela na nogi, wykręcili mu ręce do tyłu i skuli policyjnymi kajdankami.

Michael się uśmiechnął, pomimo bólu.

– Wybacz. Wiem przecież, że twoim zdaniem Bertram jest Mesjaszem, który powrócił.

– Wcale tak nie uważam. – Mężczyzna mocno wgrzył się w cygaro. – To człowiek, który ma obsesję na punkcie własnej śmiertelności i swoich zobowiązań wobec rodziny, pracowników i firmy. Nie zliczę, ile razy próbowałem go odwieść od tego szalonego projektu, ale nie chciał słuchać. A ja od początku wiedziałem, że prędzej czy później dojdzie do takiej sytuacji jak

ta. Za dużo tu było zmiennych i zbyt wiele osób musiałoby trzymać gębę na kłódkę. A to niemożliwe. Ludzie za dużo gadają.

Zgniół cygaro eleganckim ręcznie szytym butem.

– Żegnaj, Michael. Jesteś świrem, ale upartym, to ci muszę przyznać.

– Kwestia genów – mruknął.

Kaufmann uśmiechnął się smutno. Michael kątem oka zauważył, jak jeden z jego giermków wciąga do strzykawki przezrzystą ciecz. Jego kolega stojący za Michaeliem ścisnął mu szyję w mocnym jak skała chwycie duszącym, a igła była coraz bliżej.

– Śpij dobrze – rzucił Kaufmann.

– Czeka! Czeka! kurwa! – wołał Michael. – Erik! Co z tym dzieckiem? Musisz mi powiedzieć.

Kaufmann skinieniem dał znać stojącemu za Michaeliem mężczyźnie, żeby poluzował chwyt.

– To dziewczynka, nawet urocza – odparł. – Jeśli ktoś lubi dzieci, czego o mnie zdecydowanie nie można powiedzieć. – Uśmiechnął się i dodał: – Ma oczy po ojcu. A w ogóle wysłałem też paru swoich ludzi, żeby odwiedzili twoją siostrę. Wiem, że jesteście blisko i pewnie powiedziałaś jej mnóstwo okropnych rzeczy, o których nie powinna wiedzieć. Przykro mi.

Michael zaczął się szarpać, chciał podskoczyć do Kaufmana i rozerwać jego twarz na strzępy, kiedy igła wbiła mu się w szyję.

Kilka sekund później kolana się pod nim ugięły i wszystko zaczęło się ze sobą zlewać.

– Erik... ty jebany, zwyrodniały skur...

Pierwszym impulsem, jaki dotarł do Michaela, był hałas opon na asfalcie tuż pod jego głową leżącą na czymś zimnym i twardym. A potem znów wszystko znikło: hałas, zimne i twarde podłoże, reszta świata.

Kiedy znów się obudził, słyszał, jak deszcz bębni w metal, i z dziwną obojętnością stwierdził, że znajduje się w ciemnym nadwodziu furgonetki, zanim środek usypiający znów wyjął wszystkie wtyczki.

– Michael!

Czuł się, jakby pływał w morzu w księżycową noc, nie widząc żadnych bąbelków, które by mu powiedziały, gdzie jest góra, a gdzie dół.

– MICHAEL!

Kobiecemu głosowi towarzyszyło wciskanie w jego udo jakiegoś twardego spiczastego przedmiotu.

Nie przestawała, wołała w nieskończoność. Michael pokręcił głową i prawie od tego zwymiotował. Potem spróbował usiąść i zwymiotował na prawdę. Dalej czuł przeszywający, chemiczny ból głowy, ale opróżnienie żołądka przyniosło mu pewną ulgę. Język Michaela smakował skarpetami biskupa, jakby to ujął jego zmarły przyjaciel Keith Mallory, a w ustach miał Saharę.

Żeby choć ta baba się przymknęła. I co to było, co tak bardzo bolało go w nodze?

– Co? – wymamrotał i zmusił ołowiane powieki, żeby się podniosły.

Deszcz dudnił w dach samochodu.

– Michael!

Kobieta na wprost niego powoli wyłoniła się z ciemności. Ramineh She-razi. Słabe światło kontrolki w szoferce i świateł jadących z naprzeciwka samochodów sprawiało, że jej jeden policzek świecił nienaturalną bielą, a drugi sztuczną zielenią. Wyglądało to bardzo dziwnie. Jakby była tropikalną rybą.

– Co, kurwa?!

Głos Ramineh był przeszywający i ponaglący, ale przy tym zmiękczony płaczem. Siedziała z szeroko rozsuniętymi nogami, żeby utrzymać równowagę. Jej dłoni nie widział, więc domyślił się, że skuto ją na plecach, podobnie jak jego.

Znowu wcisnęła mu w udo obcas szpilki.

– Przestań wreszcie! – wrzasnął.

Szłochała niepohamowanie, maskara rysowała czarne paski na jej biało-zielonych policzkach. Biała jedwabna bluzka była do wyrzucenia.

Jeden z porywaczy odwrócił się i spojrzał na nich obojętnie. Nic nie powiedział, a kiedy ponownie usiadł przodem do jezdni, włączył radio. Samochód zjeżdżał z autostrady i wewnętrzny kompas Michaela podpowiadał mu, że jechali na zachód. Domyślał się, dokąd jadą: na wyspę Monella. Ta myśl go paraliżowała.

– Co się dzieje? – załkała. – Nic nie rozumiem. Nie rozumiem! Dlaczego tu jestem?

Michael popatrzył na nią z wściekłością.

– Nie możesz być tak głupia, żeby nie wiedzieć, co się dzieje. Twój sponsor Bertram Monell wypowiedział umowę i cię zwolnił. To właśnie się stało. Na twoim miejscu raczej bym się nie spodziewał trzymiesięcznego wypowiedzenia ani odprawy.

Jego słowa wywołały kolejną serię rozdzierających szlochów.

Kiedy mijali oświetlony drogowskaz, Michael dostrzegł, że między jej zniszczoną bluzką a czarnymi materiałowymi spodniami coś błysnęło. Jemu zabrali pasek, ale jej najwyraźniej nie. Może przez słynną francuską szarmanckość. Zmusił swój otępiały mózg do pracy.

I zaczął się przesuwac bliżej niej, jednocześnie obracając się wokół własnej osi, żeby znaleźć się między jej nogami, plecami do niej.

– Co ty wyprawiasz? – przestraszyła się.

– Mogłabyś się przymknąć na jedną sekundę? – wymamrotał. – Próbuję cię ocalić przed pewną śmiercią. Chociaż Bóg mi świadkiem, że nie zasłużyłaś.

Céline Dion zaczęła motyw z *Titanica*.

– Tylko nie to – jęknął Michael.

Czuł teraz klamrę paska lekarki między zdrętwiałymi, niemal pozbawionymi czucia palcami.

– Dlaczego zdradziłaś Louise Nykvist? – spytał przez ramię.

Kobieta zeszywniała.

Czuł jej oddech na karku.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem, jakimi kłamstwami cię nakarmiła.

Rozpiął jej pasek i szybko wysunął go ze szlufek.

– Daruj sobie! – syknął. – Czas na zmyślanie bajek dawno minął. Chcę znać prawdę, rozumiesz? Jeśli jej nie usłyszę, to cię tu zostawię. Potraktuj to jak obietnicę. Wiem wszystko o Monellu i jego żonie w szwajcarskiej klinice. Próbowali, jak nakazuje tradycja, prawda? Ona co prawda była za stara, ale on miał za dużo kasy, żebyś mogła odmówić.

– Skąd na Boga... – urwała, jakby nagle ugryzła się w język. Michael czekał, ale nic więcej nie powiedziała.

Upuścił pasek na podłogę i zaklął siarczyście. Jechali długim zakrętem w prawo i siła odśrodkowa dociskała go do niej, gdy jego palce przemierzały podłogę jak przerażone pająki. Czuć było od niej pot i strach. W końcu znalazł klamrę i odwrócił ją między palcami.

– Kiedy zaczęło być naprawdę groźnie, podałaś Louise jakiś środek, po którym nie odróżniała skalpela od śrubokręta. Sam wybrałbym propofol. Powoduje głęboką dezorientację i pełną utratę pamięci, więc potem głównie by z tego pamiętała. Do śmierci żyłaby w przekonaniu, że to ona popełniła błąd.

Odsunął się od niej i od jej ciężkiego milczenia.

– Mów, do diabła! – wrzasnął.

– Tak. Tak, kurwa! Masz rację. To był propofol. Tak mi przykro...

– Stul pysk! Już jedna psychopatka próbowała mi dziś tłumaczyć, jak jej przykro. Jesteście chore i mam nadzieję, że będziecie się smażyć w piekle.

– Ja na pewno – wymamrotała przybita. – Proszę, przekaż Louise, że potwornie, straszliwie tego żałuję!

Michael nie miał litości:

– Jeszcze czego. Czyli znalazłaś swojego jednorozca i wystawiłaś Bettinę Horst Monellowi. To jasne, że ci zaufała, dlaczego miałyby nie ufać. Rami-neh, widziałem cię na tamtym koncercie. Kurwa, to nagranie jest w sieci!

Jej milczenie posłużyło za odpowiedź.

Czasu było niewiele. Ciasne kajdanki odcięły mu dopływ krwi do palców i Michael powoli przestawał czuć, w którą stronę zapina się klamra. Próbował ją oderwać od paska. Szarpał i ciągnął, w końcu się udało. Pomyślał o Idzie i poczuł zimny pot między łopatkami. Jeśli ci dranie wyrwali jej choć włos z głowy, to zamierzał zadbać, aby pożałowali, że się urodzili. Zamierzał ich zabić w najbardziej okrutnym średniowiecznym stylu.

– Nie wiedziałam, że ją zabiją – wymamrotała.

Jej głos był ledwie słyszalny.

Michael skrzywił się z bólu, manewrując klamrą, swoimi martwymi dłońmi i kajdankami.

– Sądziłaś, że ją wypuszczą? Że gwiazda światowego formatu zwoła konferencję, aby opowiedzieć dwustu dziennikarzom o tym bardzo dziwnym przeżyciu, a potem wszyscy zapomną?

– Nie wiem – znów łkała. – Bertram wiedział, że to, co się stało w Szwajcarii, to była moja wina. Zagroził, że znajdzie mnie wszędzie.

– Czyli Monell szantażował ciebie, a ty zaszantażowałaś Louise. Naprawdę dobrana z was para. Wątpię, czy nawet w piekle będą chcieli takich jak wy. Jak to się odbyło, wtedy z Bettiną?

Pociągnęła nosem bezradnie.

– Dowiedziałam się, że zawsze opuszcza salę koncertową konkretnymi drzwiami. Miała lecieć do Nowego Jorku i pomyślałam, że chętnie da się podwieźć na lotnisko komuś, komu ufa.

– Co jej powiedziałaś?

– Kiedy wyszła, opuściłam szybę. Ręką dałam jej znać, żeby podeszła, i wtedy pogratulowałam jej znakomitego występu oraz dodałam, że jeszcze raz przejrzałam jej wyniki i jednak coś znalazłam. I że muszę z nią porozmawiać, zanim wyjedzie.

– A ona oczywiście uwierzyła – mruknął do siebie.

– Była bardzo ufna – stwierdziła Ramineh rzeczowym tonem i Michael udusiłby ją gołymi rękami, gdyby wciąż nie były skute.

– Był z nami jeden z ludzi Kaufmanna. Pomógł jej włożyć do bagażnika torbę i skrzypce, a kiedy wsiadła do samochodu, wbił jej igłę w szyję. W ciągu trzech sekund straciła przytomność. Nie wiem, czego użyli.

– A potem?

– Wjechaliśmy do centrum i na podziemny parking. Mnie założyli na głowę czarny worek i zabronili go zdejmować przed upływem kwadransa. Na siedzeniu obok zostawili minutnik. Potem pojechałam do domu.

Michael trzymał między palcami szpilę sprzączki i obracał na różne strony zamek kajdanek.

– Wróciłaś do domu i napiłaś się kawy? To znakomicie, Ramineh. Niezła jesteś, naprawdę. Prawdziwy cud przyrody. A twoim najnowszym aktem miłosierdzia była podróż do Hamburga, żeby się upewnić, czy Maria de la Reyes i pozostałe dziewczyny są zdolne zająć w ciążę, pobrać od nich jajeczka, zapłodnić i z powrotem zagnieździć. Mam rację?

Milczała i już miał powtórzyć, kiedy wyszeptała:

– Skąd to wiesz? To niemożliwe. To bardzo, bardzo tajny projekt, Michael, rozumiesz? Nikt nie może się o tym dowiedzieć. Nikt.

Michael spojrzął na nią przez ramię. Patrzyła przed siebie wzrokiem tak zagubionym, że chyba u nikogo jeszcze takiego nie widział. Zastanawiał się, jakim demonem patrzyła teraz w oczy albo czy właśnie osuwała się w otchłań obłądu. Ale szybko ją zignorował i skupił się na kajdankach.

Istniało pięć nieautoryzowanych sposobów na otwarcie policyjnych kajdanek i wszystkie Michael potrafiłby odtworzyć we śnie. Kiedy był konsultantem do spraw bezpieczeństwa w Shepherds & Wilkins, w okresach przestojów organizowali sobie zawody, kto pierwszy wyswobodzi się z kajdanek albo plastikowych pasków. I przeważnie wygrywał on. Każda z pięciu

metod ignorowała dziurkę od klucza. Najlepsza była wsuwka do włosów z giętkiej blaszki. Po przełamaniu wzdłuż miało się dwa kawałki elastycznego metalu. Wystarczyło taki kawałek wcisnąć wzdłuż ząbkowanej szczęki obręczy kajdanek do środka, między zębatkę a sprężynowy rygiel, co pozwalało otworzyć kajdanki. Wprawnemu królowi lockpickingu zajmowało to kilka sekund.

Problem w tym, że nie dysponował cienką, giętką spinką, tylko twardą szpilą klamry paska, która mogła się okazać za krótka, żeby trącić rygiel.

Stękał, przeklinał, walczył z własnymi grubymi, zdrętwiałymi palcami. I cały czas myślał o Idzie.

W końcu obręcz na lewej ręce się otworzyła, co Michael uczcił triumfalnym okrzykiem, szczęśliwie zagłuszonym przez deszcz i hałas kół na asfalcie.

Idę obudził przeszywający dźwięk, który brzmiał jak wycie duszy potępionej. Krzyk został raptownie ucięty, a ją wywołano z głębi długiego chaotycznego snu. Skołowana otworzyła oczy i słyszała tylko własne bicie serca. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje ani tym bardziej skąd pochodził tamten głos.

Była na dyżurze przez bite szesnaście godzin i w tym czasie ledwie miała czas pójść do toalety. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była tak zmęczona.

Usiadła, potarła oczy i zorientowała się, że dźwięk musiał pochodzić z nowego alarmu antywłamaniowego. Wcisnęła guzik lampki nocnej, ale nie działał. Wzięła do ręki leżący na nocnej szafce telefon i jęknęła na widok mnóstwa esemesów i wiadomości od Michaela i Lene.

– *Shit* – mruknęła i nerwowym gestem odsunęła sobie włosy z czoła. – *Shit, shit...*

Shit.

Wszystkie wiadomości brzmiały jednakowo: „Uważaj na siebie”. „Wyjdź z domu”. „Jedź do Johna. Natychmiast! JUŻ!”.

Ida wsłuchiwała się w ciemność. Docierał do niej rozproszony hałas nocnego ruchu ulicznego i szmer gałęzi wiśni, które ocierały się o okno. Wiedziała jednak, że nie była sama. Zagrożenie było namacalne. Wyczuwała je w zagęszczeniu atmosfery i własnym oddechu. Przerzuciła nogi na podłogę i zakradła się do drzwi prowadzących do łącznika, który biegł w poprzek mieszkania. Jej ciało było napięte i odporne, stanowiło pole bitwy między in-

stynktami, które kazały jej uciekać, a pierwiastkiem racjonalnym, który podpowiadał, że ucieczka na oślep była samobójstwem.

Ugryzła kostkę palca, kiedy jakiś cień przesunął się za oknem wychodzącym na ogród. Usłyszała kroki na żwirze. Milimetr po milimetrze uchyliła drzwi na korytarz i przystawiła oko do szpary.

Było ich co najmniej dwóch i ten drugi był w domu. Obserwowała zarys mężczyzny w ciemnym ubraniu i z pistoletem maszynowym. Bezszelestnie i metodycznie przeszukiwał kuchnię i jadalnię. Potem odwrócił się i jego postać wypełniła większą część drzwi.

Ida zakradła się przez sypialnię do łazienki łączącej jej pokój z pokojem Michaela. Drzwi po stronie Michaela znajdowały się za garderobą, nigdy z nich nie korzystał. Nie była nawet pewna, czy w ogóle miały z tamtej strony klamkę.

Wszystko było kwestią czasu. I szczęścia.

Popatrzyła na telefon i przeszło jej przez myśl, żeby zadzwonić na policję, ale wiedziała, że wówczas tamci usłyszą jej głos. Poza tym policja mogła przyjechać na sygnale i zabójcy dziesięć razy zdążą ją zabić i uciec, zanim ktoś kopniakiem wyważy drzwi.

O ile w ogóle by przyjechali, w co wątpiła. Z tego co wiedziała, przyjeżdżali, tylko gdy akurat nie było szefostwa, więc nikt nie mógł im zabronić, oraz jeśli dało się interweniować, nie produkując za dużo papierkowej roboty po fakcie. Priorytetem były dla nich fotoradary, które znajdowały się obecnie co kilka metrów na każdej drodze dojazdowej.

Zatrzymała wzrok na swoim odbiciu w lustrze nad umywalką. Przez matową szybę docierało słabe światło księżyca i ulicznych latarni. Z trudem się rozpoznała: twarz blada jak ściana, drżące wargi i olbrzymie oczy. Wyglądała jak przerażony szop pracz.

Ten w środku uwinął się z pokojami o wiele szybciej, niż się spodziewała. Usłyszała teraz, jak na skrzypiących zawiasach otwierają się drzwi do pokoju Michaela, i wstrzymała oddech. Obcy człowiek kręcił się po pokoju, ale najwyraźniej nie zauważył pokrytych tapetą drzwi do łazienki.

Był bardzo, bardzo blisko. Dzielił go od niej tylko kawałek drewna. Kiedy znów usłyszała go na korytarzu, bezszelestnie wsunęła się do pokoju Michaela, skąd właśnie wyszedł.

Jej sypialnia to następny punkt na trasie mężczyzny, który nie musi być Sherlockiem Holmesem, aby stwierdzić, że łóżko nadal jest ciepłe, więc jego właścicielka nie może być daleko.

Stała przed szafką na broń. Było tam dostatecznie dużo narzędzi zbrodni i amunicji, żeby wybić całe Daesz, ale za żadne skarby nie umiała sobie przypomnieć szyfru, chociaż była przekonana, że niedawno jej go zdradził. Chciało jej się płakać z frustracji, ale miała kompletną pustkę w głowie.

Więc pobiegła do drzwi francuskiego balkonu.

Do ziemi było półtora metra. Potem mogłaby przez krzaki przedostać się na sąsiednią posesję. A tam zniknąć w nieprzebytym dendrarium. Gdyby tylko udało jej się tam dostać, byłaby uratowana.

Złamała paznokiec na opornych haczykach i zakłęła bezgłośnie, ale udało jej się otworzyć drzwi. Wyglądało na to, że droga była wolna, i właśnie miała przekładać nogę przez balustradę, kiedy z bliska usłyszała charakterystyczny świszczący odgłos. Kula z wytłumionej broni uderzyła w mur tuż obok jej głowy i sypnęła jej w twarz chmurą farby i tynku. I poleciała dalej w noc.

Ida oczywiście zastanawiała się, gdzie był drugi z zabójców. Teraz wiedziała.

Cofnęła głowę i zamknęła drzwi. Wzrokiem wyłapała tylko cień. Mężczyzna stał ukryty za drzewami i krzakami, ale gdy ją usłyszał, odwrócił się i oddał strzał, który o mały włos nie zabił jej na miejscu. Nigdy by nie przypuszczała, że ktokolwiek może się poruszać tak szybko i z tak śmiertelną precyzją.

A zaraz potem się w niej zagotowało. Dwaj zawodowi płatni mordercy przeciwko samotnej okulistce po czterdziestce!

To nie fair! To naprawdę było nie fair.

Z nadludzką siłą, której nie miała nawet w marzeniach, podniosła ciężkie podwójne łóżko Michaela na bok, przechyliła je i pozwoliła, żeby opadło na drzwi balkonowe. Zaraz potem przewróciła na podłogę garderobę i zablokowała nią drzwi na korytarz.

Ten na zewnątrz oddał serię przez drzwi balkonowe i w powietrzu fruwały odłamki szkła, wypełnienie materaca i części odzieży. Jedna z kul zaczęła szarpnąć jej koszulkę.

Ida rozpaczliwie szarpała klamkę szafki z bronią. Usłyszała kroki w korytarzu, a po chwili drzwi zaczęły uderzać o szafę.

Szyfr, kurwa!

Przycisnęła czoło do zimnej zielonej stali szafki i była gotowa się poddać. Na zmianę klęła i się modliła. Co on wtedy powiedział?

Nagle wyrwał jej się okrzyk ulgi. No przecież jej urodziny! 10-10-72!

Szarpnęła drzwi, wyjęła strzelbę, pudełko z nabojami i zaczęła wpychać naboje do magazynku, cały czas patrząc na drzwi do korytarza. Najniższy panel był wyłamany i widziała w nim czarny but.

Upuściła naboje na podłogę i z jękiem uklękła, żeby je pozbierać, kiedy kolejna seria zostawiła na ścianie od strony korytarza równy rząd dziur. Gdyby nie upuściła przeklętych naboji, ta seria przecięłaby ją w połowie.

Położyła się płasko na podłodze, dosięgła ostatnich dwóch naboji, wciśnęła je do magazynku i zaczęła strzelać w drzwi i ścianę najszybciej, jak była w stanie pociągać spust i przeładowywać.

W wąskim pomieszczeniu nadal dudniło od strzałów, a jej zaczęło od nich dzwonić w uszach.

Pociski wyrwały w ścianie pięć dymiących dziur wielkości piłki ręcznej. Ciągnęły się od podłogi po skosie i kończyły na wysokości głowy dorosłego.

Przez parę sekund słyszała tylko to wysokie dzwonięcie w głowie. Potem dotarł do niej zdławiony jęk, odgłos z trudem wydychanego powietrza i czegoś ciężkiego, upadającego na podłogę w korytarzu. Podłoga zawibrowała od tego upadku. Ida ostrożnie przysunęła twarz do jednej z dziur.

Po drugiej stronie ściany leżało nieruchome ciało. Przesunęła po nim wzrokiem mniej więcej do wysokości szyi i zamknęła oczy. Twarz mężczyzny była jedną wielką raną pozbawioną anatomicznych cech rozpoznawczych. Dolna szczęka była odstrzelona. Język wystawał z tej koszarnej jamy i leżał wprost na szyi.

Ida rzuciła na bok strzelbę, osunęła się po ścianie i ukryła twarz w dłoniach. Potem zaczęła się trząść, adrenalina buzowała, a ona nie czuła najmniejszej satysfakcji, jedynie głęboką rozpacz. Miała dość. Niech tamten w ogrodzie po prostu przyjdzie. Niech ją zabije, jeśli tego właśnie chce. Nie będzie się bronić. Nic już nie będzie robić.

Z całkowitą obojętnością usłyszała, jak otwierają się drzwi balkonowe. Jak łóżko się odchyła, przez chwilę balansuje na boku i z łoskotem spada na podłogę.

Stał nieruchomo na wąskim balkonie. Młody mężczyzna o ładnej twarzy i głęboko osadzonych niebieskich oczach. Pistolet maszynowy wyglądał jak przedłużenie jego dłoni. Odślonił białe zęby w leniwym półśmiechu i podniósł broń na wysokość jej głowy.

Patrzyła na tego chłopaka w czerni, wciągnęła głęboko powietrze i wstrzymała oddech.

On był zwieńczeniem wszystkiego.

Michael próbował stanąć na rozbujaney i śliskiej podłodze samochodu, ale tak długo siedział poskręcany, że nogi zupełnie go nie słuchały. Przewrócił się na Ramineh, która nawet tego nie odnotowała, pogrążona w swoim osobistym bezkresnym piekle. Wreszcie mu się udało, ale zaraz poślizgnął się i uderzył głową w ścianę przyczepy. Do tej pory wszystkie jego poczynania skutecznie zagłuszały deszcz, radio i dźwięk opon, ale naturalnie w pewnym momencie jego szczęście się wyczerpie. Za chwilę któryś z porywaczy obejrzy się za siebie i będzie po wszystkim. Nie wątpił, że obaj byli doskonale wytrenowanymi zawodowcami i mieli refleks jak łowcy wiewiórek.

Ten na miejscu pasażera przełączał akurat kanał w radiu, a kierowca trzymał papieros w ręce i co jakiś czas, pstrykając, strzepywał popiół przez otwarte okno. Jechali w tej chwili wąską boczną drogą. Odległości między zabudowaniami były znaczne, a kabinę z rzadka oświetlały nadjeżdżające z naprzeciwka samochody.

Michael odzyskał czucie w stopach i stanął pewniej na rozchybotanej podłodze. Kajdanki zwisały mu z prawego nadgarstka. Rozpaczliwie próbował ułożyć w głowie jakiś plan. Na chwilę mignął mu prędkościomierz. Jechali mniej więcej setką, co z jednej strony było dobre – a z drugiej fatalne.

Zmrużył oczy i uświadomił sobie, że o żadnym planie A nie może być mowy. Że jego jedyną szansą było wywołać chaos i liczyć na szczęście w ciągu tych paru sekund, które miał, zanim któryś z nich się odwróci i pośle mu kulkę między oczy.

Obie pięści miał równie silne, zacisnął lewą, a w prawą chwycił kajdanki tak, że otwarta obręcz sterczała jak hak.

Stanął w rozkroku, zgiął kolana, pochylił się do przodu i lewą pięścią z całej siły uderzył kierowcę w tył głowy.

Mężczyzna był kompletnie nieprzygotowany i rąbnął czołem w kierownicę. Kiedy poderwał głowę do góry, Michael wbił mu koniec kajdanek do prawego oczodołu i szarpnął. Kierowca wrzasnął dziko i podniósł ręce do twarzy, a samochód wpadł w poślizg na mokrej jezdni i jechał prosto do rowu. Michael pociągnął mocniej, z siłą najczystszej desperacji, i patrzył na drgającą wskazówkę prędkościomierza, która nadal pokazywała sto kilometrów na godzinę. Kolega tamtego jedną ręką złapał kierownicę i z powrotem przekierował na właściwy pas. Drugą ręką próbował wyjąć pistolet w

kabury naramiennej. Michael uderzył go kantem dłoni w szyję, ale nie trafił i jego dłoń ześlizgnęła się po obleczonym w skórę ramieniu. Znak drogowy informował, że właśnie przejeżdżali nad jakąś rzeką. Zabójca na miejscu pasażera wypiął pas bezpieczeństwa, żeby mieć pole manewru i dosięgnąć swojej broni, więc przez chwilę miał zajęte obie ręce. Samochód z hukiem uderzył w barierki i stanął na dwóch kołach.

Przez trwającą wieczność sekundę wszyscy znajdowali się w stanie nieważkości. Gdzieś za jego plecami głośno krzyczała Ramineh. Potem samochód ponownie opadł na cztery koła i siła uderzenia rzuciła Michaela na kolana. Stopa kierowcy musiała się zaklinować przy pedale gazu, bo gnali dalej z tą samą prędkością. Samochód znów uderzył w barierkę, aż wszystkim zadzwoniły zęby, okręcił się wokół własnej osi i przeleciał w powietrzu nad głębokim rowem, wpadł na pole i stoczył się stromym zboczem, na którego końcu wśród mocnych starych drzew znajdował się rezerwat zwierzyny łownej. Roślinność tam była gęsta jak mur i nieprzebyta.

Michael ze wszystkich sił próbował się odpychać od siedzeń, gdy ich światła mijania padły na gruby pień, który mógłby być masztem dowolnego okrętu wojennego. Drzewo rośło z nedorzeczną prędkością i Michael poczuł w ustach smak krwi wywołany perspektywą straszliwej kolizji.

– *Merde!* – krzyknął szamoczący się płatny zabójca, a jego wrzeszczący kolega za kierownicą w ogóle nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

Twarde zderzenie, które kładło kres wszystkiemu, wyrzuciło Michaela ponad siedzeniami. Kierowca znów na ułamek sekundy uderzył głową w kierownicę, zanim poduszka powietrzna nie odrzuciła mu głowy do tyłu. Nadal przyciskał oburącz wyłupane oko. Michael głową i tułowiem uderzył w deskę rozdzielczą, jego nogi zostały w naczepie. Pasażer okładał go na oślep pięściami, kopał i uderzał kolbą pistoletu, ale Michael utknął, nieruchomy i bezbronny.

Kierowca kopniakiem otworzył drzwi i oślepiiony wypadł na mokrą trawę, wyjąc z bólu. Tylne drzwi się otworzyły i Ramineh jakimś cudem też udało się wyjść.

Michael podniósł głowę i zdążył mruganiem pozbyć się krwi z oczu, żeby zobaczyć w świetle jedyne działającego reflektora ich samochodu, jak kobieta ze związanymi na plecach rękami próbuje się wspiąć zboczem na drogę.

– Nie uciekaj, idiotko – mruknął.

Otworzyły się drzwi od strony pasażera, zabójca wychylił się i dwukrotnie strzelił jej w plecy. Upadła na ziemię jak szmaciana lalka i powoli sturlała się po mokrej trawie.

To było ostatnie, co wyłapały zmysły Michaela, zanim Francuz przekierował pistolet na niego.

Ida wyczuła, że zabójca dostrzegł coś niepokojącego na zewnątrz domu. Przerzucił nogę przez balustradę. Był teraz w połowie w środku i w połowie na zewnątrz. Zawahał się chwilę, zanim odwrócił głowę w prawo.

Usłyszała na zewnątrz wystrzał i krzyknęła. Zasłoniła dłońmi usta, zamknęła oczy.

Rozległ się drugi strzał i mężczyzna wpadł do pokoju bezwładny – i martwy.

– IDA? IDA!

Głos dochodził z ogrodu. Ida go rozpoznała, ale nie wierzyła własnym uszom.

– Lene!

Usłyszała szybkie kroki i zobaczyła dłoń na balustradzie, a między szczelami ukazała się blada twarz Lene z wielkimi oczami.

– Obiecuj, że mnie nie zastrzelisz, jeśli tam wejdziesz – poprosiła.

– Obiecuję – zapewniła Ida osłupiała. A potem się skuliła i zaczęła płakać.

Odłamki szkła pękały pod podeszwami butów Lene i zaraz stała przed nią.

– Jest ich więcej?

– Wydaje mi się, że tylko dwóch.

– Gdzie drugi?

Ida wskazała na dziury w ścianie.

– W korytarzu. Nie żyje.

Lene pachniała nocą, bezdymnym prochem, deszczem, potem i Trésorem. Usiadła obok Idy i objęła ją ramieniem.

Parę minut siedziały w milczeniu i usłyszały pierwszy radiowóz od strony Kildegårdsvej. Lene popatrzyła na nią, schowała pistolet do kabury na biodrze i rozmasowała palce.

– Dlaczego nigdy nie odbierasz telefonu? – spytała surowym tonem.

– Byłam padnięta. Ledwie umyłam zęby i zasnęłam jak kamień. Przepraszam.

Lene westchnęła i wstała.

Włączyła latarkę, odsunęła szafę, otworzyła drzwi i obejrzała denata.

Z ust wyrwał jej się okrzyk zaskoczenia i wróciła do Idy, trzymając w ręce mały srebrny krzyżyk.

– A wydawało mi się, że to sympatyczny miły człowiek – oznajmiła smutno.

– Znałaś go?

– Bardzo powierzchownie. Przedstawił się jako Rafael. Był w Legii Cudzoziemskiej i to by się zgadzało, z tego, co widzę.

Na podjazd wjechał pierwszy radiowóz. Usłyszały rozkazy i trzeszczące radia, a ściany i ich twarze oświetliły niebieskie i czerwone światła.

Lene podniosła Idę z podłogi.

– Lepiej stąd wyjdźmy, zanim jakiś przewrażliwiony idiota weźmie nas za terrorystki. Dlaczego nie ma światła?

Piętnaście minut później siedziały przy stole w kuchni. Jeden z ratowników włączył bezpiecznik i kuchnia była w pełni oświetlona. Karetki odjechały, a na miejsce przyjechał samochód wydziału kryminalistycznego. Po domu kręcili się policjanci i ubrani w białe kombinezony technicy, ale Lene zabroniła im wchodzić do kuchni.

Ida siedziała z kocem na ramionach i co jakiś czas przeszywał ją dreszcz.

Lene zaparzyła herbatę i przy okazji odnalazła jeden z największych skarbów Michaela: dwudziestoczteroletnią single malt z gorzelni w szkockich górach o niemożliwej do wypowiedzenia nazwie.

– Myślisz, że miałby coś przeciwko temu, żebyśmy ją otworzyły?

– Oczywiście, że nie – zapewniła ją Ida.

Ich spojrzenia się spotkały i uśmiechnęły się do siebie: Michael by je rozszarpał.

Lene nałała im do szklanek i uniosła swoją:

– Zdrowie.

Wypiły i Lene znów popatrzyła na swój milczący telefon. Próbowwała zadzwonić do Michaela niezliczoną ilość razy. Miała właśnie schować aparat do kieszeni, kiedy zabrzmiał dzwonek przypisany Bjarnemu. Mimowolnie pomyślała o Kicie Krupp i jej serce zrobiło fikołka. Będzie musiała wybrać dla niego inną melodyjkę.

– Bjarne?

– Michael wylądował na lotnisku w Kastrup półtorej godziny temu.

– Półtorej godziny?

– Zgadza się.

Lene popatrzyła Idzie w oczy. Zobaczyła w nich niepokój, ale również pełne zaufanie. Miała nadzieję, że go nie zawiedzie.

– Dzięki, Bjarne.

– Mogę spróbować zlokalizować jego telefon – zaoferował się.

Ida skuliła się i wrzasnęła zaskoczona, kiedy Lene otwartą dłońią mocno uderzyła w stół.

– Oczywiście. Jesteś geniuszem.

– Chwila.

Lene chodziła w kółko, zapaliła papierosa i zaciągała się szybko i płytko.

– Zaczęłaś palić? – zdziwiła się Ida.

– Co? Nie. Nie tak naprawdę. Przynajmniej mam nadzieję. Czy tak? – spojrzała na papierosa. Nagle tak łatwo jej to przychodziło. Zbyt łatwo. Na szczęście w paczce zostały tylko trzy papierosy, a jej nawet się nie śniło, że mogłaby kupić następną. – Bjarne próbuje zlokalizować Michaela za pomocą jego telefonu – wyjaśniła.

– Sprytne.

– Cholera, dlaczego go nie posłuchałam?

Ida wstała, zdjęła z pleców koc i przytuliła bratową.

– Przyszłaś tu i uratowałaś mi życie. O nic się nie obwiniaj. Uważam, że jesteś fantastyczna, a Michael jest idiotą, skoro zrobił coś, przez co może cię stracić.

– Co ci powiedział?

– Coś tam o jakiejś modelce.

– Michael dostarczył nasienie genetycznie zaprojektowanemu dziecku Monella – powiedziała Lene pustym głosem. – Jesteś ciocią, Ido. Gratulacje.

– Co...? – Kobieta opadła na krzesło i osłupiała patrząc na Lene. – Co ty powiedziałaś?

Lene zgasiła papierosa w zlewie.

– Może to zresztą też trochę moja wina – przyznała. – Nasz związek stał się trochę jak kaktus, którego, jak sądziliśmy, nie trzeba było podlewać. A w każdym razie nie umieliśmy się dogadać, co do tego, które z nas powinno to robić.

Przerwał jej głos Bjarnego.

– Odsherred. Na południe od czegoś, co się nazywa Skarresø na drodze krajowej dwieście dwadzieścia pięć. Porusza się na północny zachód, i to szybko. Mniej więcej sto dziesięć na godzinę. Wysłać patrol? Zablokować drogę?

– Nie, nie, nie. Są na to za sprytni. Jestem pewna, że go porwali i na bank słuchają policyjnych częstotliwości. Ryzykujemy, że go zabiją i wrzucą do rowu jak Marię de la Reyes. Będę musiała to zrobić sama.

– Jesteś pewna?

– Nie. Ale tak zrobimy. Nie przestawaj go obserwować, a ja tam pojedę.

– O ile bateria się nie rozładuje albo oni nie zauważą jego telefonu – mruknął cicho. – Dziwne, że już dawno nie zauważyli.

– Dzięki za rozmowę, Bjarne. – Rozłączyła się. – Mają go – powiedziała przed siebie.

– Kto?

– Koledzy tych, którzy byli u ciebie.

Oczy Idy wypełniły się łzami, ręce drżały.

– Znajdziesz go i sprowadzisz do domu? – spytała.

Lene westchnęła.

– Tak, ale... Albo nie. Wiesz co? Tak właśnie zrobię. Po prostu go znajdę.

Wsunęła do pistoletu nowy magazynek, przeładowała, odbezpieczyła i schowała broń do kabury.

– Nadal uważam, że twój brat to dupek jakich mało – zastrzegła. – Ale go znajdę. Mogę pożyczyć twoje porsche?

– Jasne.

Ida została sama przy stole w kuchni. Przez otwarte okno słyszała, jak Lene biegnie szutrową alejką, klikanie zamka samochodu, a potem zobaczyła włączone światła.

Silnik zwiększył obroty i opony zapiszczały na asfalcie. A ona wciąż nie ruszyła się z miejsca. Słyszała, jak jej samochód oddala się pustą ulicą.

Lene dotarła do końca Lyngbyvejen, a potem kierowała się na północ w stronę wjazdu na obwodnicę numer trzy. Wskazówka prędkościomierza oscylowała w okolicach stu trzydziestu kilometrów na godzinę, ale nie

czuła, żeby jechała szybciej niż normalnie. Aerodynamiczny kształt i niski punkt ciężkości czyniły ją ślepą na prędkość. Samochód ścinał zakręty jak miecz samurajski.

Znów zadzwonił Bjarne.

– Gdzie jest teraz? – spytała.

– Między Svinninge a Snertinge... ale...

– Ale co?

Sto sześćdziesiąt na godzinę.

Przefrunęła na czerwonym przez pętlę obok jeziora Vintappersøen i zjechała na autostradę. Prędkość uderzała do głowy, ale to, co zaraz potem powiedział Bjarne, przerwało jej euforię.

– Nie porusza się.

– Jak to?

– Normalnie.

– Bjarne, kurwa. Zabili go?

Myślała jak szalona. Próbowwała odtworzyć w myślach mapę Zelandii.

– Wezwać eskortę? – spytał zamiast odpowiedzi.

Sto dziewięćdziesiąt.

Niewielki ruch wydawał się stać w miejscu, a autostrada zwężyła się do szerokości toru do minigolfa.

– Pożyczyłam od jego siostry porsche dziewięćset jedenaście carrera. Jadę właśnie dwieście kilometrów na godzinę i eskorta raczej nie pomoże mi dotrzeć tam prędzej.

Nagle uderzyła ją pewna myśl i bezwiednie wcisnęła gaz jeszcze mocniej. Silnik pod nią zabuczał posłusznie, a Lene wcisnęło w fotel.

– Virkø, Bjarne. Oni go wiozą na wyspę.

Siedziała za kierownicą jednego z najszybszych pogromców szos, ale Virkø to... wyspa.

– Tam się to zaczęło i tam się skończy – ciągnęła myśl, od której przechodziły ją ciarki. – To tam Monell przetrzymywał dziewczyny z Filipin. I zapewne również Bettinę Horst, kiedy ją... szykowali. Helle Englund powiedziała to niemal wprost, tylko byłam za mądra, żeby jej wysłuchać. Jestem cholerną idiotką. Idiotką, słyszysz?

Milczał.

– Możesz oczywiście zaprzeczyć – mruknęła urażona.

– Wybacz. Nie jesteś idiotką. Pomogło?

– Nie.

W jej głowie otworzyła się otchłań mrocznych, coraz bardziej potwornych rozważań, a Lene się w nią osuwała.

– Mów coś do mnie – poprosiła.

– Jasne.

– Nie przeszkodziłam ci chyba w czymś ważnym?

– W żadnym razie. Siedzę z Netflixem.

– Co oglądałeś?

– Trzy dni kondora.

Dwieście sześćdziesiąt.

To było jak mknąć przez galaktykę.

– To ten z Robertem Redfordem i Maxem von Sydowem?

– Dokładnie. Lene, musisz teraz zjechać na prawo.

– Mnie też śledzisz przez GPS-a?

– Mhm.

Rzuciła okiem na prędkościomierz. Spodziewała się w każdej chwili zobaczyć za sobą niebieskie koguty. Uciekłyby im. Nie miała czasu na wyjaśnienia.

– A jego telefon się przemieszcza?

– Nie. Chociaż...

Napięcie ścisnęło ją za gardło. Odchyliła głowę, żeby choć spróbować rozluźnić mięśnie.

– Co jest?

– Nie wiem. Telefon zdaje się jakby wibrować w miejscu. Jakby chodził w kółko, tylko że w nedorzecznie małym promieniu. A to przecież bez sensu. Raczej nie szuka soczewki kontaktowej. Chociaż to równie dobrze może być elektroniczny szum.

Ruszyła z kopyta na autostradzie przy Holbæk i niemal od razu zobaczyła przed sobą zjazd do Hedehusene. To było jak czary. Nigdy jeszcze nie poruszała się tak szybko i trudno jej było ukryć w głosie zwierzęcą ekscytację tym faktem. Przepęniało ją zupełnie nieodpowiednie w tej chwili pragnienie, aby głośno zachichotać. Stłumiła je. Bjarne nigdy by tego nie zrozumiał.

– Jeśli jeszcze przyśpieszę, zacznę się cofać w czasie – oznajmiła tylko.

– To by może nie było takie złe. Mogłabyś wówczas odebrać Michaela z lotniska, zanim został porwany – zauważył drętwo. – Chociaż może powinnaś jednak odrobinę zwolnić. Jego siostra pewnie chciałaby swój samochód z powrotem.

– Nigdy go nie dostanie – postanowiła Lene. – Nigdy.

Przez następnych dwadzieścia minut mówili niewiele. Wcześniej tego wieczora padało i czerń jezdní lśniła.

– Znow się przemieszcza – oznajmił Bjarne. – Siedemdziesiąt kilometrów na godzinę i niemal idealnie na północ, drogą dwieście dwadzieścia pięć. Wygląda na to, że obrali kurs na Havnsø.

– Jak daleko mam do nich?

– Jakieś dwanaście kilometrów.

– A do tego miejsca, w którym się zatrzymali?

– Czekaj. – Kilka sekund później miał przed sobą pozycję. – Hej, prawie tam jesteś! Hamuj!

Wcisnęła hamulec i pas bezpieczeństwa wbił jej się w tors, kiedy samochód zwolnił. Lekko się zachybotał na mokrej jezdni, ale wciąż trzymał się jej, niezawodny jak skała.

– Dwieście metrów... sto – odliczał Bjarne.

Lene już widziała to miejsce.

Do najbliższych zabudowań, w których paliło się światło, było co najmniej pół kilometra. Na białych barierkach ochronnych ciągnął się długi i świeży pas ciemnej farby. Zaraz potem zobaczyła świecący na biało ślad po złamanych gałęziach w zaroślach przy drodze. Bariierka się skończyła i od tego miejsca ciągnęły się głębokie koleiny w ziemi. Nie było za to śladów gwałtownego hamowania.

Zatrzymała samochód, wyjęła pistolet i latarkę i wysiadła. Silnik auta zostawiła włączony.

– Jesteś na miejscu – oznajmił lakonicznie Bjarne.

– Za chwilę się rozłączę. Widzę ich samochód. Ciemnozielona furgonetka. Stoi na jakimś polu... i jest niemal owinięta wokół drzewa. Chryste, Bjarne, cholernie pokieraszowana. Kurde.

Poślizgnęła się na trawie i upadła. W tym samym ruchu podparła się wolną ręką i wstała. Zbocze było strome, mokre i śliskie. Przypadkiem spojrzała na swoją dłoń i zmarszczyła czoło. Obejrzała ją uważniej w świetle latarki. Była czerwona i lepka. Zakrwawiona.

Szalała ze strachu o Michaela i spodziewała się lada chwila znaleźć go martwego w wysokiej trawie.

Samochód musiał uderzyć w drzewo czołowo i odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni. Mokra gliniasta ziemia i darń były zdarte w półokręgu. Podeszła bliżej maski samochodu. Przednia szyba była rozbita, wyrwane drzwi po stronie pasażera leżały kawałek dalej, a drzwi kierowcy pozostały otwarte.

Lene podniosła pistolet.

– Michael?

Obeszła samochód i stanęła przy otwartych drzwiach przyczepy. Pomieszczenie było puste, ale w świetle latarki zobaczyła jeszcze więcej krwi na podłodze i ścianach.

Zajrzała do szoferki. Obie poduszki powietrzne się otworzyły i zwisały jak białe puste worki z kierownicy i deski rozdzielczej.

Przyklękła i końcówką długopisu podniosła z ziemi dwie lśniące dziewięćmilimetrowe łuski, które wsunęła do kieszeni. Ich zapach wskazywał, że dopiero co je wystrzelono.

– MICHAEL?!

Stała przez chwilę skołowana i rozejrzała się po pustej przestrzeni. Wyłączyła latarkę i przyglądając się ciemnej sylwetce samochodu, poczuła się samotna i zagubiona. Z leśnego gąszczu nie dochodził żaden dźwięk. Żadnych ptaków. Światła najbliższego domu wyglądały, jakby się paliły na innej planecie. Gwiazdy powoli wyłaniały się spomiędzy warstw ciemnych poszarpanych chmur, a żółta wygięta łódka księżyca sunęła po niebie.

– Michael... – powiedziała cicho.

Ciszę zakłócało jedynie subtelne buczenie silnika porsche. Zaczęła się wspinać na zbocze, kiedy stopą trafiła na coś metalowego. Poświeciła w to miejsce i zobaczyła w trawie otwarte policyjne kajdanki ze stali nierdzewnej. Otwarta obręcz była ciemna od zaschniętej krwi.

Zadzwoił jej telefon. Bjarne wydawał się zmartwiony i podekscytowany.

– Co ty właściwie robisz?

– Bjarne, tu jest krew, ale nie ma ciała. Mnóstwo krwi.

– Bo oni dojeżdżają do Havnsø. Nie sądzisz, że powinnaś już...?

Wsiadła do samochodu, a kajdanki położyła na siedzeniu obok.

– Tak, tak. Muszę tylko...

– Co? Jedźże!

Nigdy nie odzywał się do niej w taki sposób. Lene znów sobie obiecała, że spróbuje poznać go lepiej. Jeśli tylko jej na to pozwoli.

Wrzuciła bieg i wcisnęła gaz.

Świat i czas roztrzaskały się na senne chaotyczne kawałki. Miał wrażenie, jakby to wszystko przytrafiało się komuś innemu. Ciemność. Światła mijania jakiegoś samochodu. Dziecinne wrażenie, że ktoś go niesie. Ciemność. Mylące głosy i dźwięki bez ładu i składu. Trzaskanie drzwiami samochodu, które boleśnie odbijało się echem. Ciemność.

Wieźli go bezbronno jak zwierzę na rzeź.

Michael leżał w pozycji embrionalnej i stękał. Przy każdej nierówności jezdni treść żołądkowa podchodziła mu do gardła, a myśli szczelnie wypełniała porażająca pewność, że tym razem poniósł nieodwracalne szkody. Że uszkodził sobie mózg.

W końcu impulsy z zewnątrz zaczęły się łączyć. Dźwięki, dotyk i zapachy wyostrzały się i układały na właściwych miejscach w tym skrawku rzeczywistości, który wciąż napawał go bezgranicznym przerażeniem, a który mimo wszystko potrafił odtworzyć w myślach i się do niego odnieść.

Dotknął twarzy i oderwał skorupę zaschniętej krwi z okolic oczu. Wtedy się zorientował, że leżał na innej pacy jakiejś furgonetki.

Co za banał.

Kiedy samochód skręcił w prawo, martwe ciepłe ciało Ramineh Sherazi przysunęło się do niego jak żona do męża we śnie. Kiedy skręcił w lewo, ciało niechętnie się odsunęło.

W końcu się zatrzymali i kiedy otworzono tylne drzwi, podłogę zalało żółte światło latarni. Pociągnęli Michaela przez długość podłogi, postawili i kazali iść. Mówili do niego po angielsku z francuskim akcentem.

Zobaczył przed sobą grubą białą bandaż przecinający ciemną, wąską i zawziętą twarz. Bandaż zasłaniał prawe oko mężczyzny, a wzrok w drugim oku mógłby wystarczyć, aby Michael samoczynnie stanął w płomieniach. To musiał być kierowca, którego oskórował końcówką kajdanek.

Powietrze pachniało morzem i jodem, na obrzeżach pola widzenia, Michael dostrzegł szybkie migotanie białych mew, gdy przecinały niewidoczną barierę między ciemnością a światłem i znikwały.

Zwisał między dwoma zabójcami. Co jakiś czas potrafił zrobić kilka kroków o własnych siłach i wydawało mu się to niemal naturalne, a po chwili znów miał wrażenie jakby stracił nogi.

Słyszał niskie buczenie potężnego silnika diesla i z ciemności wyłonił się olbrzymi śnieżnobiały jacht. Wchodząc po trapie na pokład od strony rufy, niemal wpadł do wody, ale dwaj młodzi mężczyźni byli zarówno silni, jak i czujni i błyskawicznie szarpnęli go, aż uderzył brodą o mostek.

Nieobecny myślami, podziwiał wzrokiem piękny drewniany pokład pod swoimi stopami. Zawleczono go do salonu wyglądającego jak pałacowa komnata. Stały w nim białe skórzane kanapy, a na ścianach lśniły mahoniowe panele. Położono go na grubym dywanie, a pod krwawiącą głowę podsunęto mu ręcznik. Salon wyglądał jak lobby dubajskiego hotelu.

Na lazurowoniebieskim ręczniku białymi literami było napisane „M/S Aragon”. Tę samą nazwę widział na rufie statku.

Buczenie silnika przybrało na sile. Portowe latarnie przesuwwały się z jednego okna do drugiego. Wypływali.

Jęknął cicho, kiedy obok jego twarzy pojawiły się dwa czarne ręcznie szyte skórzane buty. Nie miał siły podnieść głowy, żeby zobaczyć, do kogo należą. Zaraz zresztą jego nadwyrężone śluzówki zaatakował gorzki zapach dymu z cygara. Bezradnie przełykał ślinę, żeby powstrzymać wymioty.

– Rzeczywiście jesteś wybitnie irytującym kawałem skurczybyka – oznajmił Erik Kaufmann z jakiegoś miejsca odległego o tysiąc kilometrów. Jego głos brzmiał, jakby mówił do pustej beczki po ropie. – Dlaczego nie potrafisz przyznać, że przegrałeś, i po prostu umrzeć jak każde inne cywilizowane stworzenie? Dlaczego musimy w kółko odbywać tę samą rozmowę?

– Chyba nie jestem specjalnie... cywilizowany – wymamrotał Michael w miękki, pachnący płynem do prania ręcznik frotte.

To ostatnie słowo było nieskończenie długie i piekielnie trudne, bo miało za dużo przeklętych spółgłosek.

– *Cywilizowany* – poprawił go tamten oschle i głównie z własnej próżności.

Kaufmann usiadł na jednej z kanap. Buty, jedwabne skarpetki i ciemne, starannie odprasowane nogawki znajdowały się półtora metra od twarzy Michaela. Nogi się skrzyżowały i jeden czarny but podrygiwał jak metronom. Ten ruch działał usypiająco.

– Nie jesteś, jak Boga kocham – dodał z żalem.

W jego głosie nie było niechęci ani groźby. Brzmiał neutralnie i jeśli cokolwiek dało się w nim wyłapać, to może odrobinę rezygnacji.

– Ale teraz koniec – ciągnął. – Słyszysz?

Zabrzmiało to, jakby sam w to nie wierzył, co Michael stwierdził z satysfakcją i zamknął oczy.

– Słyszę cię – mruknął.

Porsche przecięło słabo zaludnioną willową okolicę przy Havnsø. Lene nie odnotowała ani świateł, ani silnych uderzeń, gdy ograniczniki prędkości dociskały amortyzatory zawieszenia. Nie widziała mężczyzny na wieczornym spacerze z psem ani pary nastolatków całujących się w cieniu za sklepem. Samochód z piskiem opon i w poślizgu pokonał ostatni zakręt przed portem i Lene wyskoczyła z niego, zanim do końca się zatrzymał.

Basen portowy wypełniały ciemne kształty żaglówek i trawlerów. Wybiegła na molo i dotarła do zielonych latarni przy wejściu do portu. Tam zrozpaczona patrzyła na biały spiętrzony kilwater, ciągnący się za dużym jachtem motorowym, który oddalał się od brzegu. Wzburzona woda uderzała w pale pod jej stopami. Wciąż widziała w ciemności światła rufowe. A potem pojawiły się zielone światła burtowe, kiedy statek obrał kurs bardziej na północ.

Stała nieruchomo parę minut. W końcu wyjęła telefon.

– Widzisz go? – spytała Bjarnego.

– Zniknął. Ale widzę ciebie. I co zamierzasz zrobić?

Lene rozglądała się w desperacji.

– To port. Musi tu być jakaś łódka, którą mogę pożyczyć.

– Znasz się na łódkach?

– Moje jedyne morskie doświadczenie to rower wodny na sadzawce Peblingesøen – przyznała.

– To poszukaj, może znajdziesz tam jakiś rower.

– A ty się znasz? – zdenerwowała się.

– Nie, ale ludzie z marynarki się znają. Lene, pozwól mi wezwać pomoc – błagał.

Lene tupnęła w deski molo.

– To są zawodowcy. Jeśli Michael żyje, to trzymają go teraz na tej w chuj przegiętej luksusowej łódce. I w każdej chwili mogą mu obwiązać nogi łańcuchem kotwicy, zrzucić go w najgłębszym miejscu i poczęstować kawą służby celne, oddział frogmanów albo marynarki wojennej oraz wyrazić najszczęśliwszy żal, ponieważ nie mają pojęcia, o co chodzi. Ta łódź jest pew-

nie naszpikowana elektroniką niczym prom kosmiczny i każdą jednostkę namierzą z odległości dziesięciu mil morskich.

Bjarne milczał.

– Pewnie masz rację – przyznał wreszcie niechętnie.

Lene przeszła pod żurawiem i zeszła w dół, na jedną z mniejszych kei. Przystanęła obok łódki rybackiej z aluminium, z potężnym sinikiem zaburtowym na rufie i konsolą sterowniczą na środku. Łódka była przycumowana nylonową liną i nie było widać, aby była zabezpieczona kłódką albo łańcuchem.

Rozejrzała się pośpiesznie i wskoczyła do środka. Łódź odrobinę się zakołysała, ale poza tym okazała się zaskakująco stabilna.

Na konsoli Lene znalazła manetkę gazu, radio VHF, wskaźnik poziomu paliwa, obrotomierz i prędkościomierz. Oraz pustą stacyjkę.

– A jak stoisz z odpalaniem na krótko? – spytała.

– Akurat nieźle. Pierwszy samochód ukradłem, gdy miałem czternaście lat. – Jego głos się ożywił.

– Słucham?

– Wychowałem się w Vestegnen. Tam to było normalne.

Lene zamrugwała.

– Okej. To zaczynamy.

– Znajdź kabel niebieski i czerwony.

Michael siedział przemoczony i skulony w małej dwukołowej przyczepce. Ciągnął ją meleks obsługiwany przez dwóch Francuzów, którzy towarzyszyli mu aż od Kastrup. Siedział z kolanami pod brodą i trząśł się z zimna. Porywacze nauczeni doświadczeniem związali go teraz z przodu białymi paskami zaciskowymi. Naprzeciwko znajdowały się zwłoki Ramineh She-razi owinięte w gruby przejrzysty plastik. Dostrzegwał pod nim jej białą martwą twarz. Jechali wąską szutrową drogą, która pięła się stromo, prowadząc do najwyższego punktu na wyspie.

Nad krajem przetaczał się zimny front i w dach meleksa oraz plastik wokół ciała lekarki dudniły ciężkie krople. Michael w jakimś sensie cieszył się, że padało. Zimno i woda zmywały mu krew z twarzy i rozjaśniały umysł. Nawet w tej bolesnej, nienaturalnej pozycji czuł wreszcie wszystkie części ciała i o dziwo wydały mu się nienaruszone.

Deszcz był oczywiście błogosławieństwem chwilowym, ponieważ jednocześnie pozbawiał jego ciało sił i ciepła. Zaciśnął zęby, żeby nie stuknęły, ścisnął mocno kolana i trzymał dłonie przy ciele, żeby tracić jak najmniej ciepła.

Meleks powoli wytoczył się spomiędzy drzew i przed nimi otworzyła się równina. Michael widział jakieś budy i kontenery, dużą okrągłą betonową klapę na środku i pierwsze segmenty turbiny wiatrowej Monella, których biel zdawała się świecić w mroku. Z boku leżały olbrzymie łopaty turbiny, a w górze migwały lampki na żurawiu, ostrzegając przelatujące nisko samoloty i pilotów, którzy korzystali z helipada Monella. Wiatr wył żałośnie w metalowych prętach.

Meleks się zatrzymał. Kierowca podszedł do jednej z bud, otworzył kłódkę, wszedł do środka i uruchomił stojącą na zewnątrz betoniarkę, która zaczęła się obracać z ogłuszającym chrzęstem. Jednocześnie wokół placu budowy zapłonęły silne robocze reflektory, nadając mu wygląd oświetlonego stadionu. Michael nie potrzebował dymku nad głową mężczyzny, żeby wiedzieć, do czego zostanie użyta ta nowa porcja betonu. W zdrowym oku tego z bandażem płonęła nienawiść. Bezceremonialnie otworzył tylną klapę i wyciągnął ciało Ramineh. Uderzyło w ziemię z głuchym, wilgotnym odgłosem. Razem z kolegą podnieśli je za oba końce i powlekli przez betonową klapę do kwadratowego zagłębienia, które spokojnie mogło posłużyć za sarkofag dla niej i Michaela.

Ale on nie zamierzał z godnością odchodzić z tego świata. Poczłogał się do krawędzi przyczepki, spadł twarzą na mokry żwir, zamilczał ból i wijąc się, dotarł do chaszczy na skraju lasu. Próbował nawet wstać, ale wtedy jeden z zabójców coś krzyknął.

Został zauważony.

Mężczyźni zaczęli się śmiać i komentować z rozbawieniem jego żalosne, pełzające i próżne wysiłki. Pierwsza kula musnęła zewnętrzną stronę uda i Michael wrzasnął z bólu. Następna uderzyła w ziemię obok jego policzka i przysypała mu głowę cienką warstwą żwiru.

Ćwiczyli na nim celność. Na zmianę starali się umieścić kule swoich wytłumionych pistoletów jak najbliżej jego głowy i kończyn. Michael zagryzł zęby i wił się dalej, przy akompaniamencie histerycznego rechotu Francuzów.

Po drugiej stronie krzaków znajdował się głęboki kanał melioracyjny, niewidoczny dla Michaela i jego oprawców. Michael ześlizgnął się do lodo-

watej wody i związanymi rękami rozpaczliwie szukał czegoś, czym mógłby się bronić. Robotnicy wyrzucali do kanału niepotrzebne materiały budowlane i zniszczone narzędzia. Wystawił głowę nad brudną czarną powierzchnię, wziął haust powietrza i znów zanurkował w stronę dna. Tym razem natrafił palcami na coś długiego, okrągłego i drewnianego. Zacisnął na tym czymś dłonie i stanął na błotnistym nierównym dnie. Cały jego tułów wystawał z wody.

Zamrugał, żeby oczyścić oczy z błota, i przy okazji znów zaczerpnął powietrza. W tym samym momencie ten z bandażem rozsunął krzaki i między gałęziami ukazała się jego uśmiechnięta twarz. Nagle zdrowe oko otworzyło się szerzej, a usta rozwarły się, żeby ostrzec kolegę.

Michael z całej siły zamachnął się swoją bronią. Okazała się nią łopata ze złamanym trzonkiem. Zardzewiały sztych trafił mężczyznę dokładnie ponad linię włosów i rozłupał mu czaszkę z dźwiękiem pękającego kokosa. Mężczyzna padł na twarz, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku, i zjechał do kanału głową w przód.

Drugi wołał coś w tle, kiedy Michael przyciągnął do siebie zwłoki jego kolegi i gorączkowo szukał przy nim pistoletu. Widział już dzień tamtego na żwirze, kiedy w końcu znalazł broń. W tym samym momencie po drugiej stronie kanału ukazała się sylwetka młodego najemnika. Michael dwukrotnie strzelił mu w pierś.

Potem całkiem się wyprostował. Czarny, oblepiony błotem i krwią, cały dygocząc z zimna. Popatrzył w dół na ранego mężczyznę. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat. Z ran w klatce piersiowej sączyły się wąskie strużki dymu z prochu. Na młodej twarzy malowała się mieszanka bólu, szoku i niedowierzania. Michael przyglądał się obojętnie, jak z nosa mężczyzny zaczęła płynąć spieniona krew.

Na koniec strzelił mu w głowę.

Dziesięć minut później od tego w kanale odzyskał swój telefon. Trzymał go dwoma palcami i ze smutkiem patrzył, jak dołem wylewa się woda.

W jednej z bud znalazł piłę i przy pomocy ostrza wyswobodził się z plastikowych pasków. Potem przez parę minut wykonywał milczący, ale żywiołowy taniec, kiedy krew niczym tysiące igieł powoli wracała do dłoni. A najlepsze, że w kieszeni skórzanej kurtki jednego z Francuzów znalazł nie-

otwartą paczkę caporali i teraz siedział sobie w suchej szopie i z rozkoszą palił trzeciego już papierosa.

Wreszcie wstał i podszedł do krawędzi rozległego placu. W dole, niemal przy samej plaży leżała rozległa oświetlona rezydencja Monella. Pewnie tam czekano, aż najemnicy uporają się z grzebaniem Ramineh i jego pod warstwą zbrojonego betonu.

Po tym, jak przez ostatnich kilka godzin co chwila otrzymywał zapowiedź bliskiej śmierci, czuł teraz dziwną, fatalistyczną obojętność. Może ta beztroska brała się po prostu z wychłodzenia. Czytał, że następstwem hipotermii bywa czasem euforia – krótkotrwała. Albo zwyczajnie człowiek po jakimś czasie nie ma siły dłużej bać się śmierci i on tę granicę przekroczył.

Nagle jego wzrok wyłapał na wodzie mały trójkątny kształt. Zmrużył oczy, żałował, że nie ma lornetki. Kształt wyglądał jak mała otwarta łódka. Nie miała zapalonych świateł, ale stawała się coraz większa i płynęła w kierunku plaży dokładnie pod nim.

Za konsolą stała pojedyncza postać.

Po kilku sekundach dostrzegł w tej postaci coś, co kazało mu zakląć z trwogą.

– Jezu, Lene – wymamrotał bezradnie. – Nie zbliżaj się. Ty uparta, szalona babo. Tylko pogorszysz sprawę. Nie pomagasz mi ani trochę.

Z drugiej strony podziwiał ją i był jej wdzięczny.

Musiał tam zejść.

Rzucił okiem na meleks, ale stwierdził, że to bez sensu. Za bardzo się rzucał w oczy – mimo że poruszał się bezgłośnie.

Erik Kaufmann nerwowo kręcił się po jednym z pokoi w rezydencji Monella. Gospodarz wykonywał swoje rytualne ćwiczenia oddechowe, siedząc w pozycji jogi na jednym z tych japońskich podestów. To były jedyne meble w tym domu – o ile można je nazwać meblami. Gdyby chore kolano Kaufmanna mogło mówić, nazwałoby je raczej relikdami z czasów hiszpańskiej inkwizycji.

W pewnym momencie Monell podniósł powieki i popatrzył na niego.

– Możesz sprawdzić, jak się miewają dziecko i Hana?

W odpowiedzi westchnął ciężko i przewrócił oczami, ale posłusznie ruszył w stronę rzędu płaskich ekranów. Światło w apartamencie dziecięcym było przyściemnione i złote. Rozpoznał koncert fletowy Mozarta i zrobił

zbliżenie na łóżko. Hana leżała na boku, ramieniem obejmowała dziewczynkę. Wyglądało na to, że obie smacznie spały.

– Mają się świetnie, Bertram. To w tej chwili kompletnie nieistotne, ale jest im jak w raju.

Monell skierował ku niemu wzrok dziwnie nieobecny i roztargniony. Kaufmann pomyślał z nienawiścią, że tamten pewnie dalej sobie wyobrażał, że siedzi w sercu kwiatu lotosu i z uwielbieniem wpatruje się w stopy księcia Siddharthy.

– Eriku, za bardzo się martwisz.

– A ty martwisz się o wiele za mało!

Miliarder otworzył szerzej oczy i zaczął wyprowadzać się z transu.

– Tak uważasz?

– Wysłałem swoich ludzi do siostry Sandera – zaczął Kaufmann, z trudem trzymając nerwy na wodzy. – Dwóch doskonale wytrenowanych żołnierzy operacyjnych. I oni przypadli. Zniknęli. Było ich dwóch przeciwko nieuzbrojonej kobiecie w średnim wieku, okulistce z Gentofte. Powiedz mi, co u licha mogło pójść nie tak?

– Pytanie retoryczne, bo przecież nie było mnie tam i nie byłem świadkiem akcji, ale tak, to brzmi dziwnie – przyznał Monell, wciąż nie do końca obecny.

Kaufmann z frustracji mocno uderzył pięścią w we własną otwartą dłoń.

– To niemożliwe!

– Ale i tak udało ci się złapać Michaela i Ramineh, prawda?

Zamilkł w odpowiedzi i nie potrafił spojrzeć tamtemu w oczy.

– Eriku, udało ci się, prawda? – w głosie Monella wreszcie zabrzmiał niepokój.

– Prawda. Chociaż Sander jakimś sposobem uwolnił się z kajdanek i okaleczył Jacques'a. I rozbili samochód. Ramineh próbowała uciec, ale ją zlikwidowali. Potem musieliśmy im podstawić nowy samochód na kompletnym odludziu. Więc też nie powiedziałbym, że wszystko poszło gładko i nie zostawiliśmy śladów.

Monell nie odrywał od niego oczu.

– Słyszałem, jak Aragon wpływał do poru jakąś godzinę temu.

– Tak. I jedyne, co te dwa matole miały do zrobienia, to pochować ich oboje na górze przy turbinie. Ale też jakoś się nie odzywają.

– Próbowalesz do nich dzwonić? – spytał Monel.

Kaufmann z najwyższym trudem się pohamował. Nie było na świecie osoby, której inteligencję szanowałby bardziej niż Bertrama Monella, ale faktem było, że naturalnym środowiskiem wielkiego wynalazcy było i jest laboratorium. Poza laboratorium, ogrodem i salą zebrań zarządu był jak dziecko we mgle.

– Oczywiście, że dzwoniłem. Kiedy ty medytowałeś, nie robiłem nic innego, do diabła!

Monell dopiero teraz w pełni dołączył do niego w rzeczywistości i wstał.

– Przecież to katastrofa! Co robimy?

Kaufmann nie odpowiedział. Pokuśtykał do przeszklonej ściany i popatrzył w ciemność. Deszcz smagał kuloodporną szybę. Na karku czuł zatroskany wzrok Bertrama.

Po chwili wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy musimy robić cokolwiek. Jeśli Sander naprawdę im się wywinął, to sam nam się objawi, jako anioł zemsty wygnany z piekła. Tak naprawdę myślę, że możemy się go spodziewać lada chwila. – Wstukał numer. – Wysyłam tam land rovera. Możliwe, że już go tam nie ma, ale tak czy inaczej muszę to wiedzieć.

Wyspa wylaniała się z morza ciemna i złowieszcza. Lene widziała światło w oknach budynku od strony północnej, ale poza tym wyspa wyglądała na niezamieszkałą. Kiedy podpłynęła bliżej, dostrzegła białą spienioną wodę w miejscu, w którym fale rozbijały się o brzeg. Potem, w pobliżu najwyższego punktu wyspy zobaczyła cztery albo pięć białych błysków. Pięć małych gwiazdek. To mogły być tylko błyski z lufy pistoletu, chociaż strzałów nie słyszała.

Pchnęła w przód manetkę gazu i woda trysnęła po obu stronach dziobu.

Jednocześnie uderzyła dnem w leżący na dnie kamień i rzuciło ją na konsolę. Łódka skręciła ostro, minęła inny kamień i zaryła w następny. Aluminiowa skorupa dudniła jak dzwon. Lene wzięła do ręki cumę i wślizgnęła się do wody, która sięgała jej do pach. Fale były wyższe i silniejsze, niż się spodziewała. Raz po raz zalewały jej głowę. Dno z kolei było kamieniste i niepewne.

Krztusząc się i plując, znalazła oparcie dla stóp, ale zaraz ześlizgnęła się bokiem z niewidocznego, gładkiego głazu. Instynktownie podparła się rękami o dno, przez co wypuściła cumę i łódka zaczęła dryfować bokiem

wzdłuż brzegu. Próbowwała do niej podpłynąć, ale po kilku metrach dała sobie spokój. Łódka oddalała się zbyt szybko pchana wiatrem i prądem.

W końcu na czworaka wyczołgała się na wąską piaszczystą plażę. Wstała, rozejrzała się i wypatrzyła prześwit w poza tym ciemnych, nieprzebytych zaroślach. Wciąż oszołomiona ruszyła w tamtą stronę i znalazła się na wąskiej ścieżce, biegnącej między smaganymi wiatrem sosnami i niskimi krzakami, gdzie niemal natychmiast na kogoś wpadła. Zderzyli się czołami z taką siłą, że rzuciło ich na ziemię.

Lene masowała czoło i nagle zmrużyła oczy:

– Michael...? Michael, to ty? Kurwa, aua!

– Na to wygląda.

Poruszali się na oślep, aż złapali się za ręce. Jego były lodowate.

– Jesteś cały? – spytała.

– W żadnym razie, ale dzięki, że przyszedłeś.

Usłyszeli samochód, przejechał na niskim biegu tuż obok ich kryjówek. Pociągnął ją za sobą w głąb chaszczy, a kiedy światła samochodu ich omiotły, dostrzegła ściągniętą, bladą jak ściana twarz Michaela. Teraz, z bliska czuła, że trząsnął się z zimna. Przycisnęła się do niego i po krótkiej, niezręcznej chwili objął ją ramionami.

– Żeby cię ogrzać – wyjaśniła szeptem.

– Dzięki. Jadą na górę na tamtą przeklętą polanę.

– Co tam zastaną?

Wargami niemal dotykał jej ucha. Do tego stukał zębami, przez to ledwie można go było zrozumieć.

– Dwóch martwych ekszołnierzy i Ramineh Sherazi. Lene, oni ją zastrzelili. Zabili z zimną krwią.

Ramiona opadły mu wzdłuż ciała, ale Lene złapała go za rękę i pociągnęła go za sobą. Czuła się, jakby ciągnęła drzewo.

– No chodź. Musimy uciekać.

– Chyba nie jestem w stanie – wyjaśnił spokojnie. Nie masz pojęcia, co...

– Oczywiście, że jesteś w stanie. – Słyszała lekkie drzenie paniki w swoim głosie.

Wyżej, na polanie trzasnęły drzwi samochodu i rozległo się szczekanie psa.

– Myślisz? – dopytywał.

– Oczywiście. Nie masz wyjścia.

W tej odrobinie światła księżycyca, jaka przedostawała się spomiędzy gałęzi, widziała jego profil. Nasłuchiwał uważnie.

– Tam jest pełno mojej krwi. O ile ten pies nie jest kompletnym idiotą, w parę sekund podejmie trop – zauważył.

– Dokładnie. Więc na co czekamy?

– Na górniczą orkiestrę dętą?

Objęła go w pasie i chwiejnie ruszyli w stronę plaży.

– Gdzie twoja łódka? – spytał.

– Straciłam ją, kiedy zesłam na ląd.

– Super. Więc dokąd idziemy, Lene? To jest wyspa. Wrócimy w to samo miejsce, wiesz o tym, prawda? Bo Australia to to nie jest.

Zacisnęła zęby, żeby go nie kopnąć. W końcu sam zrezygnowany wzruszył ramionami i poszli dalej w stronę wody.

Minutę później wskazała jakieś miejsce w ciemności.

– Tam jest port – ożywiła się. – Czyli łódki. Mają ich tam mnóstwo. Zajmiemy jedną i odpłyniemy.

Zatrzymali się u stóp wysokiego na dwa metry granitowego muru, który przechodził w jeszcze wyższy płot z siatki ciągnący się w głąb lasu.

– Kurwa – mruknęła.

Światła nielicznych i rozproszonych latarni niewielkiego portu padały na bladą zakrwawioną twarz Michaela. Lene pomyślała, że zyskał właśnie kilka kolejnych blizn do swojej imponującej kolekcji. Deszcz od strony morza smagał ich niemal poziomo i oboje drżeli z zimna.

Poczuła, że Michael wwierca się w nią martwymi, zapadniętymi oczami.

– Właśnie wpadłem na genialny pomysł – oznajmił. – To nie jest wyspa na środku Oceanu Spokojnego ani w archipelagu Hebrydów Zewnętrznych. Tak naprawdę jesteśmy tylko siedem mil morskich od stałego lądu. Czemu po prostu nie zadzwonimy po policję i nie zaczekamy w jakimś suchym i przyjemnym miejscu, aż nas uratują?

– Zapomniałam wyjąć telefon z kieszeni, kiedy weszłam do wody – wymamrotała.

– Czyli straciłaś i łódź, i telefon?

Było jej zbyt mokro i zimno, żeby naprawdę się wkurzyć, chociaż na to zasługiwał.

– Martwiłam się o ciebie, do cholery!

– Nie musiałybyś się martwić, gdybyś miała łódź albo telefon. A pistolet?

Wyciągnęła go z kabury, wyjęła magazynek i wysunęła parę naboju na dłoń.

– Chyba nic mu nie jest.

– Co z Idą? Widziałaś się z nią? – spytał.

– Oczywiście.

– Nic jej nie jest?

Lene przyglądała się badawczo górnej krawędzi muru.

– Nic a nic.

– Na pewno? – zdawał się nie dowierzać. – Nie mówisz, jakbyś była tego pewna.

– *Jestem* pewna. Zatrzymała się u Charlotte, która pewnie w tej chwili namawia ją na wycieczkę do Glyptoteki albo na weekendowy kurs o fińskich pejzażystach w Szkole Ludowej w Askov. Idziemy? Słyszę tego psa.

Schowała pistolet do kabury, sięgnęła ręką i wymacała kilka nierówności między cegłami. Podciągnęła się, a Michael splótł dłonie i ją podsadził. Przez chwilę leżała na brzuchu na szerokim murze. Kiedy opuściła rękę, żeby go wciągnąć, stał odwrócony plecami i patrzył w stronę, z której przyszli. Wytarł z twarzy deszcz i krew.

– Michael?

– Patrz.

Między drzewami, przy plaży, jakieś dwieście metrów od nich zobaczyła białe światła latarek obławy. Pies szczekał jak opętany. Michael złapał ją za rękę i wspiął się na mur.

Po drugiej stronie skradali się między rozproszonymi starymi drewnianymi chatami, w których dawniej niewielka rybacka społeczność trzymała sieci, sprzęt i łodzie. W końcu zobaczyli przed sobą basen portowy i Aragona w całej jego śródziemnomorskiej okazałości. Lene miała właśnie przejść przez plac rozładunkowy ze starym dźwigiem, kiedy Michael mocno złapał ją za ramię.

Bez słowa pokazał na wiatę piętnaście metrów dalej. Lene zobaczyła zarys nieruchomej postaci stojącej na czatach. Mokra kurtka mężczyzny lśniła, ale poza tym niemal wtapiał się w mrok pod zadaszeniem.

Wargi Michaela dotykały jej ucha.

– Ty musisz go zdjąć – wyszeptał. – Nie jestem w formie, żeby w tej chwili unieszkodliwić pluszowe misie.

Lene kiwnęła głową i bezszelestnie zniknęła w wąskim przejściu między dwiema szopami.

Michael uklęknął, nieruchomy jak posąg. Spijał deszcz z warg i patrzył na czujnego wartownika. Mężczyzna przeniósł ciężar ciała na drugą stopę. A potem jego postać zlała się z cieniem człowieka, który poruszał się szybko i pewnie. Rozległ się odgłos uderzenia kijem bejsbolowym w arbuz i mężczyzna osunął się na ziemię.

Sprawdzili, czy na olbrzymim jachcie nie ma innych ludzi poza nimi. Teraz Michael kuśtykał wzdłuż relingu sterburty i zrzucił cumy. Statek dryfował bokiem w stronę wału, trzeszczało przeciążone włókno szklane. Potem wszedł po krótkich schodkach i dołączył do Lene na mostku kapitańskim.

Wyglądała jak pokiereszowana zmoknięta mysz. Ale pewnie i tak znacznie lepiej od niego. Nie zwracała na niego uwagi. W skupieniu patrzyła na długą i skomplikowaną konsolę sterowniczą.

– Co to w ogóle jest? – jęknęła. – Tu jest więcej urządzeń niż w airbusie trzysta osiemdziesiąt.

Michaelowi przemknęło przez myśl, że być może popełnił kardynalny błąd, zbyt szybko zrzucając cumy. Jacht sunął teraz tyłem w głąb basenu. I znów rozległ się ten nieprzyjemny dźwięk, gdy jego skorupa uderzyła w kamienne molo.

Każdy taki dźwięk oznaczał pewnie wydatek rzędu kilku tysięcy euro na naprawę.

Rozejrzał się skonsternowany.

– Może zacznij od podstaw – zaproponował. – Gdzieś musi być zapłon.

Wskazała zagłębienie w jednej z konsoli.

– On/off. Tu jest. Ale nie ma kluczyka, cholera.

– Doskonale – stwierdził. Uklęknął i zabrał się za wyłamywanie mahniowej obudowy.

– Czekaj chwilę – rzuciła niespodziewanie.

Popatrzył na nią. Jej oczy lśniły.

– Masz lepszy pomysł?

– Być może.

Pogrzebała w kieszeniach i triumfalnie podniosła pęk kluczy. Wskazała na małe czarne coś, zawieszony na kółku.

– Bjarne skonstruował mi coś takiego. To jakby... nie wiem dokładnie, co robi, ale to rodzaj wzmacniacza, który kopiuje sygnał radiowy elektro-

nicznych kluczyków, więc można ukraść samochód, jeśli oryginalny klucz jest w pobliżu.

– Tak, dość dobrze znam ten gadżet. Ale to jest łódź, Lene.

– To co? Nie zaszkodzi spróbować.

Michael z jeszcze większą desperacją kontynuował swój akt wandalizmu.

A Lene stanęła na wprost odległych światel rezydencji Monella i wyciągniętą ręką skierowała w tamtą stronę urządzenie. Zawzięcie wciskała guzik i patrzyła wyczekująco na śpiącą elektronikę panelu sterowniczego. Nic się nie działo.

– Pozdrów ode mnie Bjarnego i przekaz mu, że prawdziwy z niego książe – warknął Michael przez ramię.

– *Fuck...* nie rozumiem.

W końcu uklękła obok niego i też zaczęła wyrywać drewniane panele z zawiasów.

Przez skorupę przeszedł długi, żaloszny dźwięk. Jacht zagrział jak wieloryb trafiony harpunem.

– Ciekawe, czy jest ubezpieczony – mruknęła.

Michael właśnie miał odpowiedzieć, kiedy okna mostka kapitańskiego eksplodowały. Kula odbiła się rykoszetem od kierownicy jakieś dziesięć centymetrów od twarzy Lene.

Położyli się płasko na suchym pachnącym drewnie tekowym i patrzyli na siebie w milczeniu. Lene podała mu pistolet.

– W tym jesteś lepszy – wyjaśniła.

Kiwnął głową, wstał pośród odłamków szkła, podszedł do drzwi i zeskończył na pokład.

Dostrzegł dużego czarnego owczarka niemieckiego, który w długich susach zbliżał się po molo. Kilka metrów za nim biegł jego opiekun z pistoletem w jednej i smyczą w drugiej ręce. Michael trafił psa w połowie skoku. Zwierzę zwinęło się w kłębek, chowając głowę między tylne nogi, spadło z pomostu i zniknęło pod wodą.

Mężczyzna zatrzymał się, jakby uderzył w szklaną ścianę. Wstrząśnięty patrzył w miejsce, w którym zginął pies. Potem przeniósł na Michaela wzrok pełen smutku i nienawiści.

Michael przestrzelił mu udo. Mężczyzna upadł, oburącz ściskając nogę.

Od strony placu przeładunkowego nadbiegały jeszcze dwie ciemne postacie. Kierowały się w stronę mola, kiedy Michael otworzył ogień zaporowy, celując w ziemię tuż przed nimi. Obracał się miarowo i opróżnił ma-

gazynek ze wszystkich piętnastu naboii. Potem włożył nowy i posłał jeszcze kilka strzałów w stronę zacienionego placu, na którym już nikogo nie było.

Prawie wypadł za burzę, gdy Aragon nagle szarpnął do przodu. Potężne silniki osadzone głęboko pod pokładem krzepiąco zadudniły, woda trysnęła za rufą, a dziób zaczął się odwracać od mola. Kiedy skierował się w stronę otwartego morza, jacht majestatycznie przepłynął przez wejście do portu.

Michael podciągnął się i jednym susem znalazł na mostku, gdzie z szerokim uśmiechem powitała go Lene. Stała za kierownicą i manewrowała dwiema czerwonymi lśniącymi dźwigniami, jakby całe życie była szyperką na jachtach miliarderów. Michael oparty o ściankę mostku patrzył na jej ładną twarz oświetloną różnokolorowymi kontrolkami deski rozdzielczej.

Wytała oczy z deszczu i wyglądała wspaniale. Ale ją stracił, co było nie do zniesienia.

– Jak ty to zrobiłaś? – spytał.

Uśmiechnęła się.

– Nie wiem. Znalazłam niebieski i czerwony kabel, zetknęłam je ze sobą i *voilà*. Najprawdziwsze czary. Dowiedziałam się też, jak działa napęd strugowodny. Świetna sprawa.

– Dobra, nie przywiązuj się za bardzo do tej łodzi – ostrzegł. – Wydaje mi się, że będziesz musiała ją zwrócić.

– Zwrócę, bez obaw. Przejmiesz ster, żebym mogła poszukać apteczki?

Michael patrzył na światła rezydencji Monella, jakąś milę morską dalej wzdłuż wybrzeża.

– Co mówisz?

Popatrzyła na niego i uniosła brew.

– Michael, na pewno mają tu apteczkę. Szkoda, że siebie nie widzisz. Wykrwawiasz się.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją.

– Owszem, jest i to bardzo. Trzymaj kierownicę albo włącz autopilota.

– Lene, by to szlag. Zastrzeliłem psa – wyznał ze smutkiem.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wiem.

Przez chwilę przyglądała mu się podejrzliwie, mrużąc oczy. W końcu wzruszyła ramionami i oddaliła się w poszukiwaniu apteczki.

Michael przejął ster i obrał kurs dziewięćdziesiąt stopni bardziej na północ. Pociągnął do siebie manetki gazu i patrzył przed siebie przez rozbitą

szybę. Światła zabudowań Monella powoli się zbliżały. Głębokościomierz wskazywał, że pod kilem mieli trzysta metrów wody.

Jeszcze raz sprawdził magazynek pistoletu. W schowku pod rozkładanym stolikiem znalazł foliowy worek, którym dokładnie owinał pistolet, po czym wsunął go sobie za pasek na plecach. Słyszał, jak Lene krząta się gdzieś na niższych pokładach jachtu.

Uruchomił autopilot i na końcu panelu sterowniczego znalazł radio VHF. Włączył je i zaczekał, aż na wyświetlaczu pokazała się nazwa statku, tonaż, sygnał wywoławczy i pozycja. Podniósł czerwoną plastikową klapkę chroniącą przycisk alarmowy, ściszył maksymalnie dźwięk radia i dociskał guzik do chwili, gdy na wyświetlaczu pojawiło się potwierdzenie o wysłaniu sygnału MAYDAY do wszystkich jednostek i stacji nabrzeżnych w okolicy. Następnie, uśmiechając się pod nosem, jako rodzaj zagrożenia wybrał PIRACY. Po chwili dodał jeszcze FIRE ON BOARD.

W tym momencie na wszystkich statkach handlowych, promach i jachtach w promieniu trzydziestu mil morskich rozległ się alarm będący w stanie postawić na nogi zmarłego i automatycznie uruchamiający Morską Służbę Ratowniczą z jej śmigłowcami dalekiego zasięgu Augusta Westland.

Wyłączył radio, zanim nadeszły pierwsze wiadomości zwrotne. Włączył za to ploter nawigacyjny. Okazało się, że znajdowali się mniej więcej pół mili od domu Monella i że bez problemu może podpłynąć na jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu.

Ustawił ster w stronę brzegu.

– Dokąd płyniemy i co ty wyprawiasz? – spytała Lene zza jego pleców. Popatrzyła na ekran plotera i odstawiła sporych rozmiarów apteczkę. – Myślałam, że chcemy jak najprędzej dotrzeć do Havnsø, i poruszyć niebo i ziemię?

– To dokładnie robimy, ale ciągniemy coś za sobą od strony sterburty. Cały czas znosi nas w lewo. Idź, sprawdź, czy nie widać czegoś w wodzie, zanim się to wkręci w śruby i utkniemy tu albo wypchnie nas na ląd.

Posłusznie zeszła na pokład. Przesuwała się powoli wzdłuż relingu lewej burty. Michael szedł za nią, choć nieco wolniej.

Wychyliła się i intensywnie wpatrywała w wodę wzdłuż statku. Wiatr rozwiewał jej włosy.

Michael wskazał na wodę.

– Tam!

– Gdzie, kurwa?!

Włosy przykleiły jej się do twarzy. Michael spojrział na brzeg. Pięćdziesiąt metrów. Kil muskał piasek, drapiąc delikatnie. Lene wychyliła się jeszcze bardziej. Wtedy wciągnął głęboko powietrze, łapał ją za pasek i dekolt i wyrzucił za burtę.

Aragon przepłynął powoli obok Lene, która wynurzyła głowę i pluła wściekle wodą. Bok statku wyglądał jak góra lodowa, kiedy mijał jej bladą, kipiącą ze złości twarz.

- MICHAEL! Ty przeklęty dupku.
- Muszę wrócić po to dziecko, Lene! Po prostu muszę!
- Odbiło ci?! Wyciągnij mnie!

Odwrócił się plecami do potoku bluzgów i klątw. Zdjął z haka koło ratunkowe i rzucił jej. Oczywiście trafił ją w sam środek twarzy i Lene na chwilę zanurzyła się, krzycząc z bólu. Stwierdził, że to raczej nie poprawi jej nastroju.

Potem przeszedł na rufę i czekał, aż znów się pokaże.

– Płyn do plaży i ukryj się, dopóki nie będzie po wszystkim! – zawołał. – Wezwałem przez radio ratowników, w ciągu godziny zaroi się tu od helikopterów i skuterów marynarki.

Brnęła przez wodę, trzymając się koła. Z nosa leciała jej krew.

- Jak oni cię znajdą?! – zawołała.
- Wyślę sygnał! – odkrzyknął.
- Jaki?
- Zobaczysz.

Poczłapał z powrotem na mostek, włączył napęd strugowodny i szarpnął manetki gazu do tyłu. To był ostatni moment. Kil zarył już w dno i minęło kilka nieskończenie frustrujących sekund, zanim potężne brązowe śruby jachtu ponownie zaczęły przetaczać masy wodne i statek ruszył do tyłu, uwalniając się z lepkiego uścisku dna.

Ustawił kurs na pełne morze, włączył autopilota i zszedł na dół.

Wrócił na mostek kilka minut później i ustawił silniki w pozycji neutralnej. Aragon znajdował się na wysokości zabudowań Monella i Michael wiele by dał, żeby zobaczyć minę pana domu, gdy ujrzy niespotykaną atrakcję na morzu tuż przed swoim nosem. Deszcz chwilowo ustał. Michael włączył

projektory na maszcie i skierował je w stronę lądu. Widział jasny piasek japońskiego ogrodu Bertrama Monella i uśmiechnął się diabolicznie. Za sobą miał w pełni oświetlone salony, kajuty, kambuzy i łazienki. Poniżej w maszynowni znalazł szafki pełne łatwopalnych płynów: acetonu, najróżniejszych lakierów i farb, podpałek do grilla, benzyny technicznej. Wzbogacił te cudowne składniki o kilka butelek koniaku i tequili i rozlał we wszystkich pomieszczeniach, przez jakie przechodził. Na koniec zapalił racę i wrzucił pod pokład.

Efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania.

Aragon majestatycznie sunął w ciszy pod kopułą skłębionych płomieni. Michael pobiegł na przód statku i odpalił dwie czerwone flary spadochronowe, które najpierw długo wnosiły się ku ciemnym deszczowym chmurom, zanim stanęły w ogniu. Teraz nawet ślepiec, stojąc na drugim brzegu, musiał się zorientować, że coś złego działo się w okolicy Virkø.

A potem pomyślał o wielkich pojemnikach na propan, z których czerpały gaz kambuzy na statku, i z lubością pomyślał, co będzie, kiedy dotrze do nich ogień.

Nie wspominając o niemal czterech tysiącach litrów diesla w bakach.

Ubranie parowało na nim od gorąca i Michael po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł, że jest mu przyjemnie ciepło.

Hana, Kaufmann i Monell stali obok siebie na jednym z szerokich tarasów i oglądali płonący statek. Zielona woda była rozświetlona do samego dna.

Statek się zbliżał. Chwiejna sylwetka Michaela na tle ognia skojarzyła się Kaufmannowi z demonem wszechniszczenia. Hana tuliła do piersi śpiące niemowlę, a obaj mężczyźni z kamiennymi twarzami obserwowali infernalne show. Iskry docierały aż do nieba.

Kaufmann spokojnie wyjął cygaro ze skórzanego etui w wewnętrznej kieszeni marynarki. Podsunął je do nosa, ponownie podniósł wzrok na Aragona i wzdychając, schował cygaro z powrotem. Nadal miał przy sobie pistolet Michaela. Teoretycznie cel znajdował się w zasięgu strzału, ale widok skazanego na śmierć statku był tak ostateczny, absolutny i przejmujący grozą, że wydało mu się niestosowne strzelać w jego stronę z pistoletu. Wiatr niósł od morza dym ze zwęglonego włókna szklanego, sztucznych tworzyw i drewna.

– Dlaczego on nie może po prostu umrzeć – wymamrotał Monell.

Jego szare oczy świeciły jak odłamki szkła, a chudą twarz oświetlało chybotliwe czerwone światło płomieni.

Kaufmann spojrział na niego z pogardą.

– Bo to po prostu nie mogło się udać – oznajmił.

– Co masz na myśli?

– Bertram, ostrzegałem cię. Powtarzałem to w nieskończoność, ale ty, kurwa, nie chciałeś słuchać. To teraz śpij, jak sobie pościeliłeś.

To powiedziawszy, zostawił tamtych dwoje na werandzie. Utykając, zszedł po schodach do bezcennego ogrodu Monella i zaczął go przemierzać.

– Erik!

Kaufmann się nie odwrócił.

Monell zrozpaczony rozejrzał się za Haną, ale weszła do domu razem z dzieckiem.

Michael obserwował budynki przez lornetkę. Widział wyraźnie Monella na werandzie i Kaufmanna, który zajął pozycję w ogrodzie. I czekał. Z pustymi rękami. Ogień mógł teraz w każdej chwili dotrzeć do butli z gazem i zbiorników na paliwo, a wówczas on razem z łodzią zmienia się w kulę ognia, którą będzie widać z księżyca. Za przeszkloną ścianą za plecami Monella dostrzegł drobną postać młodej kobiety. Trzymała coś na rękach i w piersi Michaela poruszył się jakiś niespokojny impuls.

Wrócił na mostek, chociaż bariera gorąca była jak mur i musiał wstrzymać oddech. Inaczej płuca spaliłyby mu się jak papier ryżowy. Przesunął manetki gazu lekko w przód i szybko wrócił na pokład. Obserwował ład, w miarę jak Aragon zbliżał się do brzegu.

Wtedy wybuchły butle w okolicy kuchni. Rozerwały boki statku i biały ogień położył się na wodzie jak rozłożone skrzydła. Huk był ogłuszający.

Michael popatrzył na swoje dłonie. Były całkowicie opanowane. Znów spojrział na Kaufmanna i ocenił odległość.

Nawet śmiertelnie ranny Aragon był łodzią niezwykłą. Na desce wszystkie kontrolki nadal świeciły na zielono, silniki spokojnie buczały pod pokładem, grube wały napędowe były nieruchome, a brązowe śruby odpoczywały w wodzie.

Przy pomocy wsuniętego przez rozbite okno bosaka Michael przesunął obie manetki do końca w przód. Dwa silniki diesla w maszynowni w parę sekund osiągnęły moc siedmiu tysięcy koni i statek uniósł się jak ptak mor-

ski, który zrywa się do lotu. Michael zeskokczył na boczny pokład i patrzył, jak brzeg rośnie z niemożliwą prędkością. Płonące elementy konstrukcji spadały mu na głowę, ubranie na nim robiło się czarne i zaczynało się zwęglać, poczuł zapach spalonych włosów.

Wreszcie wyskoczył za burtę wprost do cudownie zimnej wody. Przepląnął pod wodą tyle, ile dał radę, i wynurzył się niedaleko brzegu kawałek dalej, łapczywie chwytając powietrze.

Aragon gnał przez noc, dziób unosił się wysoko nad rufę, a śruby miały wodę, tworząc wiry. Michael odwrócił się w wodzie i zafascynowany oglądał huragan śmierci i zniszczenia, który sam wywołał. Aragon uderzył w przybrzeżne skały. Napędzany potężnymi śrubami uniósł się i roztrzaskał na wióry pomost kąpielowy. Przez jedną niewiarygodną chwilę wydawało się, że jacht porusza się w powietrzu, ale zaraz oderwało się dno, a nadbudowa przechyliła się groźnie. Konający statek położył się na boku, zaś płonąca skorupa zawałiła się pod własnym ciężarem.

Michael wyczołgał się na plażę, wstał i odpakował pistolet.

W świetle płomieni dostrzegł Kaufmanna jakieś sto metrów dalej. Mężczyzna stał nieruchomo na środku ogrodu do medytacji i wpatrywał się w Michaela. W jego oczach była obietnica nieprzyjemnego spotkania w piekle.

Statek z głośnym hukiem ostatecznie wyzionął ducha nieopodal miniaturowej góry Fidzi Monella. Na kilka sekund ogród i zabudowania zalało chwiejne żółte światło. Potem rozległo się złowieszcze dudnienie. Pękły olbrzymie baki z włókna szklanego i kilka tysięcy litrów paliwa wylało się ze statku do morza, zalało plażę i zapłonęło z głuchym hukiem.

Michael zasłonił sobie dłońmi oczy i usta.

W górę wzbił się olbrzymi siarkowożółty grzyb ognia i wysał mu z płuc cały tlen.

Po chwili powietrze wróciło i wypełniło przestrzeń jak potężny wiatr. Było gęste od popiołu, który kleił się do twarzy i rąk.

Michael podniósł pistolet na wysokość oczu i ruszył w stronę Kaufmanna. Ten odwrócił w jego stronę lwią głowę, a spojrzenia, jakie mu posłał Michael, nie zapomni nigdy. Długie jężory płonącego paliwa dotarły do nóg mężczyzny i pełzły w górę, ale ten nawet nie pisnął. Michael rozważał, czy nie strzelić mu w głowę i nie uwolnić go od bólu, który musiał być nie do zniesienia, ale wtedy Kaufmann sam nieskończenie powoli wyjął pistolet z kabury pod pachą. Równie nieśpiesznie przeładował broń, otworzył

usta i wsunął do nich lufę. Cały czas nawet na milimetr nie odrywając wzroku od twarzy Michaela – i pociągnął za spust.

Upadł na twarz, klękając z dłońmi zanurzonymi w płonącym paliwie – i ogień pochłonął go całego.

Michael pokonał ostatnie stopnie i wszedł na szeroką werandę. Trudno było oddychać ciężkim od sadzy powietrzem, żar był nieopisany, a noc rozświetlona jak dzień w środku lata. Z najwyższego stopnia patrzył, jak na drugim końcu werandy Bertram Monell wrzeszczy i szarpie się z młodą czarnowłosą kobietą, próbując wyrwać jej niemowlę. W końcu wyszarpnął nagie dziecko z owczej skóry, w którą było zawinięte, kopnął kobietę w brzuch i odwrócił się do Michaela, jedną ręką trzymając dziecko za kostkę.

Kobieta na podłodze zwijała się z bólu i przyciskała dłonie do podbrzusza.

– DOŚĆ! – ryknął Michael i wszystko zamarło.

Był w wojsku kapitanem i do wydawania komend dysponował głosem, który niósł się przez największe place defilad.

Monell płakał z bezradnej wściekłości. Dziecko wisiało głową do dołu i krzyczało przeraźliwie. Jego głos przeszywał Michaela do szpiku kości. W drugiej ręce Monell trzymał japoński sierp do ryżu, zapewne ostry jak brzytwa.

Patrzył na Michaela z obłędem w oczach.

– Odłóż pistolet albo przysięgam, że rozplątam to dziecko wzdłuż. Będziesz mógł zabrać swoją część.

Michael przyklęknął i ostrożnie położył broń na podłodze. Wstał i wbił wzrok w twarz mężczyzny.

– Monell, ona nie należy do ciebie.

Tamten podszedł bliżej. Michael zmusił się, żeby nie patrzeć w miejsce, w którym przed chwilą leżała kobieta. Teraz jej nie było. Dziecko krzyczało, zaciskało powieki, a twarz pociemniała mu od nagromadzonej krwi. Zaciskało pięści i wolną nogą kopało powietrze.

Monell osłupiały patrzył na płonące morze ropy.

– Zniszczyłeś mi ogród. Statek. Wszystko.

Michael podniósł ręce, sygnalizując, że się poddaje. I spróbował dyplomatycznie, na tyle, na ile był w stanie:

– Monell. W tej chwili musisz się naprawdę dobrze zastanowić. Jestem pewien, że znajdziemy jakieś rozsądne wyjście. Takie, które będziesz mógł zaakceptować.

Tamten go nie słuchał. Patrzył z mieszaniną dzikiej żądz i smutku na dziewczynkę, która nieprzerwanie wypluwała sobie płuca wrzaskiem. Cała była czarna od sadzy i dymu.

– Kopnij pistolet w moją stronę! – zawołał.

Michael zrobił to, a gdy mężczyzna podniósł broń, popatrzył na niego bez cienia emocji.

– Bądź tak miły i nie traktuj mnie jak idioty. Wiesz równie dobrze jak ja, że ta wyspa jest cmentarzem. Przyjadą tu ze swoimi koparkami, lekarzami sądowymi i kretyńskimi staronordyckimi wyobrażeniami o moralności, a ja trafię do zakładu zamkniętego. Wiesz o tym!

Michael pokiwał głową i wbijał sobie paznokcie w dłoń.

– Trafisz do zakładu i zasługujesz na to. Jesteś obłąkany. To tam jest miejsce dla obłąkanych przestępców.

Zawodowy negocjator nie przyznałby mu zbyt wielu punktów za to sformułowanie. Wiedział o tym, ale nie umiał się powstrzymać.

Monell uśmiechnął się jak żywy szkielet i przystawił pistolet do głowy dziecka.

– Powinienem ci podziękować, przynajmniej jesteś szcze...

Przerwał mu huk. Z domu wyszła tamta młoda kobieta z dymiącą dubeltówką na ramieniu. Monell, trafiony w uda i podbrzusze, leżał pod balustradą werandy. Michael rzucił się w przód i złapał dziecko, zanim uderzyło w podłogę.

Podniósł się i klęcząc na jednym kolanie, patrzył, jak kobieta sztywnym krokiem podchodzi do Monella. On zdążył już odpłynąć. Na starannie polakierowanych cedrowych deskach rosła kałuża krwi. Kobieta dotknęła lufą gardła miliardera i pociągnęła za spust. Dopiero wtedy odrzuciła broń i usiadła obok Michaela.

Minęło pięć minut, zanim dziecko uspokoiło się w objęciach Michaela, a kobieta doszła do siebie po panicznym ataku płaczu.

– Erik odebrał mi syna. Godzinę po narodzinach – wyszeptwała.

Michael wpatrywał się w niebieskie oczy dziecka. Może to sobie wmaśniał, ale miał wrażenie, że dziecko patrzyło na niego tak, jakby go rozpo-

znało. Choć to oczywiście niemożliwe.

Przynajmniej przestało płakać, co już było błogosławieństwem.

– Wiem. – Michael pokiwał głową. – A raczej domyśliłem się, że tak to wyglądało. Musieli mieć jakąś tożsamość gotową do użycia. Akt urodzenia. Ramineh Sherazi pewnie odbierała twój poród i wpisała do dokumentów dane dziecka Marii de la Reyes zamiast twojego.

– Tak dokładnie zrobili. Mój syn oficjalnie nigdy się nie urodził. Ale to nieprawda!

– Oczywiście, że nie. To tylko biurokracja.

– Urodziłam dwa miesiące po Marii. Wiedziałam, że ja będę miała wykarmić dziecko Marii, a ona już im nie będzie potrzebna. Próbowałam jej pomóc stąd uciec.

Popatrzyła na niego.

– Wiesz, że tu były też inne dziewczyny? Nie tylko Maria. Była jeszcze Marissa i Kayla. Mieszkały tutaj. Przynosiłam im posiłki i sprzątałam u nich, ale nie wolno mi się było do nich odzywać. I tak to robiłam, przez drzwi, kiedy nikogo nie było w pobliżu, a potem... potem...

– One zniknęły?

– Tak. Najpierw Kayla, kilka dni po niej Marissa. Nie zaszły w ciążę i Bertram się wściekł. I później Maria. Zrobiło się wtedy sporo hałasu. Ściągali ją z psami, słyszałam strzały przy starym hangarze na łodzie. Tak bardzo się modliłam, żeby jej się udało. Była niesamowicie silna.

– Ona nie żyje – oznajmił Michael. – Przykro mi. Dotarła na drugi brzeg, ale została zastrzelona. Była wyjątkowa, tak jak mówisz.

Kobieta patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. Usta jej drżały.

– W jakimś sensie wiedziałam, że... że kiedy ja będę gotowa, to na Marię zapadnie wyrok. Czuję się tak...

Michael wziął ją za rękę i ścisnął mocno aż na niego spojrziała. Płomienie odbijały się w jej złotych, zapłakanych oczach.

– Zapomnij o tym, słyszysz? W niczym tu nie zawiniłaś. W niczym. Martwiłaś się o własne dziecko. Musiałaś zrobić to, co zrobiłaś. I pomogłaś na tyle, na ile byłaś w stanie. To oni są winni! To wszystko było dziełem złych, obłąkanych ludzi, a ty nie ponosisz za to żadnej winy.

– Nie?

– Oczywiście, że nie.

Wypuścił jej rękę.

– A w ogóle to jestem Michael.

– Hana. Ty jesteś ojcem?

– Na to wychodzi – potwierdził i zakręciło mu się w głowie. – A co z twoim synem? Gdzie on jest?

Popatrzyła z powagą przed siebie i rękawem kimona wytarła oczy i nos.

– Zanim odpowiem, muszę wiedzieć, czy Erik nie żyje.

– Jest martwy jak kamień.

– To Erik był ojcem – oświadczyła. – Ale Bertram myślał, że nim był. Myślisz, że z moim synem jest coś nie tak?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Jestem pewien wszystkiego, co mówię, a tobie nie wolno się o nic obwiniać. O nic, rozumiesz? Co niby miałyby być z nim nie tak? Kaufmann nie był psychopatą ani idiotą. W rzeczywistości był po prostu nadzwyczajnie lojalny. Zbyt lojalny. Psychopaci nie potrafią tacy być.

Aragon nadal płonął. Ogień rozświetlał niebo nad wrakiem. Michael trzymał niemowlę w ramionach, jakby było z nim zrośnięte. Hana znów się rozpłakała i Michael ostrożnie uwolnił jedną rękę, żeby objąć chude ramiona kobiety.

– Powiedzieli, że mam się nią zajmować, karmić ją i się nią opiekować – łkała.

– Z tego, co widzę, spisałaś się doskonale – pochwalił ją Michael. – Hana, gdzie jest twój syn?

Podniosła na niego oczy jak szparki i wykrzywiła twarz ze strachu i szoku.

– U moich rodziców w Turcji. W Ankarze. Erik co wieczór pozwalał mi się z nimi łączyć przez Skype'a na pięć minut. Tylko tyle mi dali. Wiem, że dobrze się chowa.

Niemowlę zasnęło, a Michael gorączkowo szukał w myślach czegoś, czym mógłby pocieszyć tę dziewczynę, kiedy na drugim końcu werandy ukazała się ociekająca wodą rudowłosa furia.

Po raz drugi w ciągu ostatnich godzin jakiś człowiek patrzył na Michaela tak, jakby był najpodlejszym i najbardziej odrażającym stworzeniem na tej ziemi. Nie chciał wstawać, żeby nie budzić dziecka, i tylko posłał Lene szeroki uśmiech, który nie został odwzajemniony. Zabrał rękę z pleców Hany i dokonał prezentacji:

– Hano, to moja żona. Ma na imię Lene.

– Była żona – warknęła Lene. – A my już się poznałyśmy.

Hana wstała i grzecznie się ukloniła. Lene jednak patrzyła już tylko na małego człowieczka w objęciach Michaela.

– A to, Lene, to jest... Yyy... – Popatrzył na Hanę i zmarszczył brwi. – Jak ona się u licha nazywa? Projekt X?

Hana wzięła od niego dziecko, żeby mógł wstać.

– Ja nazywam ją Maria. Po matce.

Dziecko wsunęło sobie kciuk do buzi i ssało przez sen.

Michael popatrzył na Lene.

– Pasuje jej, prawda?

– Jak najbardziej – wymamrotała. Cały czas jak zahipnotyzowana patrzyła na dziecko z czymś na kształt rozpaczliwej tęsknoty. Czule, ale z tłumioną frustracją dotknęła czoła dziewczynki. A potem odwróciła się do wszystkich plecami, oparła o jeden z filarów i patrzyła na rzekę ognia, która zaczynała podchodzić pod zabudowania. W płomieniach stał bambusowy zagajnik z grobami Rebekki i Silasa. Para nagromadzona w bambusowych pniach sprawiała, że pękały i wybuchały z głośnym hukiem.

Hana patrzyła najpierw na nią, a potem na Michaela, który tylko pokręcił głową i przytknął palec do warg.

Nadleciał pierwszy helikopter. Kołował nad wyspą i w świetle jego reflektorów Michael zobaczył na wodzie duże jednostki, które szybko zbliżały się do brzegu.

– Nadciąga kawaleria – oznajmił i stanął przy balustradzie obok Lene.

Hana kołysała dziecko w ramionach.

– Hano, wszystko się ułoży – powiedział i z niepokojem zerkał na milczącą Lene. – Wkrótce zobaczysz się z synem.

– Naprawdę tak myślisz?

– Jestem tego pewien.

– A ty co zrobisz z Marią?

Michael popatrzył w dół na drobną buzię.

– Co tylko będę mógł.

Lekarze sądowi i kryminaliści z całego kraju przez bite dwa tygodnie przeszukiwali wyspę. Przed zgliszczami zabudowań znajdowało się tyle grobów co na dużych wykopaliskach archeologicznych. Co w jakimś sensie

było nawet adekwatnym porównaniem, pomyślał Michael, kiedy sprawnie lawirował między rozstawionymi białymi pawilonami, tymczasowymi chłodniami, buczącymi generatorami, kontenerami, koparkami i budami.

Aragon stał się nędznym cieniem swojej dawnej świetności. Brudnym od sadzy pokurczonym lewiatanem wyrzuconym przez morze na niegościnnie brzeg zaludniony przez bezlitosnych piromanów. W powietrzu do teraz czuć było ostry zapach spalonego włókna szklanego, drewna i tworzyw sztucznych.

Nad wyspą krążyły dwa śmigłowce prasowe, ale uwaga świata jest ulotna i wkrótce oba zniknęły.

Michael odsunął brezent i wpuścił do jaskrawo oświetlonego pawilonu Jacoba Winthera. W środku technicy ustawili prowizoryczne stoły z płyt pilśniowych wspartych na kozłach. Na nich w białych podłużnych plastikowych tacach leżały szkielety, które do tej pory udało się skompletować.

Zaprowadził mężczyznę do tacy numer cztery. Do plandeki, którą zamknięto tacę przyklejono czarno-białe zdjęcie uśmiechniętej Bettiny Horst. Miednica szkieletu zdecydowanie należała do kobiety. Czaszka była nienaruszona poza gwieździstym otworem wlotowym w potylicy. Zęby były białe i idealnie równe.

Michael stanął za Jacobem.

Minęło kilka minut, zanim jego plecy zaczęły drżeć i mężczyzna podniósł dłonie do twarzy, żeby stłumić łkający, zdławiony oddech. Michael podał mu chusteczkę. Suchy, niski szloch wstrząsał ciałem Jacoba, który bez końca wpatrywał się w leżący przed nim szkielet.

Potem znów minęła wieczność, zanim się odwrócił.

Michael uważnie przyglądał się jego twarzy. Widział w niej tylko najgłębszą rozpacz. Miał gorącą nadzieję, że ktoś kiedyś zdoła mu pomóc otrząsnąć się i żyć dalej. Położył dłoń na jego ramieniu.

– Nie musisz już szukać – powiedział cicho. – Bettina jest tutaj.

EPILOG

Wiosna

Ida i Michael nie byli w wiejskim kościele, odkąd ich ojciec stracił w nim posadę. Jednocześnie wydawało im się oczywiste, że dziewczynkę należy ochrzcić w świątyni, którą znali z dzieciństwa i w której sami zostali ochrzczeni i przyjęli komunię. Ubrali ją w ich rodzinną szatkę do chrztu, chociaż zasadniczo była na nią za ciasna. Niemowlę uważnie i z powagą obserwowało otoczenie i zdawało się nie mieć nic przeciwko temu miejscu czy samemu obrzędowi. Przez wysokie okna za ołtarzem wpadały rozproszone promienie słońca. Parafianie rozeszli się po niedzielnej mszy i w kościele została pastorka, dziecko, Michael, Ida i Louise Nykvist.

Michael chciał, żeby świadkiem była Hana, ale dziewczyna poprzysięgła nigdy więcej nie przyjeżdżać do Danii, co było w pełni zrozumiałe.

Stali wokół chrzcielnicy i młoda pastorka wykonała znak krzyża nad szeroko otwartymi ciemnoniebieskimi oczami dziewczynki.

– Niech ten święty znak krzyża na twojej twarzy i w twoim sercu będzie dowodem twej przynależności do ukrzyżowanego Pana Jezusa Chrystusa. – Kobieta uśmiechnęła się do Michaela i Idy. – Jakie imię wybraliście dla dziecka?

– Maria de la Reyes Sander – oznajmiła Ida głośno i uroczyście.

Po chrzcinach pożegnali się z pastorką. Zeszli po schodach i Ida nałożyła małej duże różowe okulary przeciwsłoneczne, co Maria de la Reyes Sander zniosła ze stoickim spokojem.

– To nie jest reality show – burknął Michael.

Louise uśmiechnęła się i zrobiła kilka zdjęć.

– A ja uważam, że wygląda supercool. Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek zobaczę jednorożca z krwi i kości.

– Półjednoróżca – poprawiła ją Ida. – Ewentualne błędy w oprogramowaniu pochodzą od tego typu.

Michael się nie uśmiechnął.

– Dziękuję, siostrzyczko. I całe szczęście. Nie miałbym pojęcia, co począć z jednostką idealną. Czułbym się, jakby mi powierzono pieczę nad watykańską kolekcją sztuki. Nie zaznałbym chwili spokoju.

– Myślę, że się przyzwyczaisz – zapewniła go Louise. – W każdym razie jest to najspokojniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam. Co zrobisz, jeśli któregoś dnia zaczniesz grać na skrzypcach?

– Roztrzaskam je i powyłamuję jej wszystkie małe paluszki – oznajmił. – Może cię podwieźć, pani doktor?

– Jeśli możecie mnie podrzucić na stację, to będę wdzięczna.

Chwilę milczeli.

– A co z Bettiną Horst? – spytała wreszcie Louise. – Wyobrażam sobie, że przebrnięcie przez zawirowania prawne było drogą przez mękę. Kto ostatecznie jest ojcem i kto matką?

– Dobre pytanie – przytaknął Michael. – Ona i Jacob nigdy nie rozmawiali o dzieciach, ale gdyby mieli je mieć, to chcieliby mieć własne. To akurat zostało postawione bardzo jasno. Jacob nie rościł sobie żadnych praw ani w Urzędzie Stanu Cywilnego ani przed Komitetem Adopcyjnym. Jajeczka Bettiny Horst zostały pobrane bez jej zgody, a w całej sprawie nie ma precedensów poza tym, że mnie można było uznać za biologicznego ojca.

– Co było wspaniałe – przytaknęła Ida – zwłaszcza że ty swoich plemników pozbyłeś się całkiem dobrowolnie.

Michael skwitował tę uszczypliwość sztywnym uśmiechem. Posadził Marię de la Reyes Sander w wózku spacerowym, skąd dziewczynka z powagą oglądała chmury sunące po błękitnym niebie.

Louise popatrzyła na niego.

– Dziękuję, Michael. Za wszystko.

Przytulił ją mocno.

– To ja dziękuję. Nigdy nie zrobiłaś niczego złego. Pamiętaj o tym, Louise.

Cztery miesiące później

Łydki zaczęły ją mrowić z braku tlenu i Lene wbiła w żwir rydel ogrodniczy, odepchnęła się od niego i wstała. Gałązka wierzby płaczącej rosnącej za grobem Josefine głaskała ją po plecach. Lene podniosła wzrok i zanurzyła go w soczystej zieleni nad swoją głową. Nauczyła się na żądanie włączać i wyłączać hałas ruchu ulicznego z Allégade. Ten skrawek Starego Cmentarza na Frederiksbergu był jej małą wysepką w zgiełku wielkiego miasta i zawsze nią będzie. Często tu przychodziła. Może za często. Ale zmarłych przecież też należy odwiedzać i wspominać.

Uśmiechnęła się i jak zwykle puściła oko do małego granitowego kamienia. „Josefine Jensen 1993–2012. Na zawsze w naszych sercach”.

Potem się odwróciła i opuściła jej grób.

Normalnie odwiedziny u córki wypełniały ją jakimś melancholijnym spokojem albo ulgą, dawały poczucie przynależności. Ale nie dziś. Dziś czuła tylko pustkę, chociaż miasto aż kipiało od ludzi, słońca, dźwięków, aktywności, budynków, przeżywanego życia, tęsknot i potrzeb, które właśnie teraz spełniały się i powstawały wszędzie wokół niej.

Zastanawiała się, czy nie wstąpić do kościoła, ale zamiast tego przeszła przez ulicę i weszła do parku Haveselskabets Have, gdzie pulsowało letnie życie miasta.

Usiadła na ławce przy jednej z sadzawek. Odbijały się w niej drzewa i niebo.

Nic nie stało w miejscu. Życie trwało nadal, chociaż tak bardzo pragnęła móc zatrzymać czas i samą siebie. Tylko na godzinę, dzień albo miesiąc. Słońce za jej plecami powoli przemierzało niebo po swojej ustalonej trasie, a Lene widziała, jak jej własna sylwetka rośnie na tafli sadzawki.

Zerwała się nagle, aż ptak z krzaka obok wzbił się w niebo, zanim cała jej sylwetka odbiła się w zielonej mętnej wodzie.

Potem stała nieruchomo w cieniu i śledziła tego ptaka wzrokiem. Nagle wszystko wydało jej się jasne i proste.

Michael siedział na leżaku na zalanym słońcem trawniku i jednym okiem czytał gazetę, a drugim obserwował Marię de la Reyes i psa. Córka planowo nauczyła się chodzić i biegać, ale rudy kanadyjski retriever prześcignął ją wzrostem i wagą, chociaż był znacznie młodszy. Dziewczynka biegła po trawie w samym pampersie, a pies bawił się, kiwając ją od tyłu i raz po raz przewracając.

Wyglądali, jakby ta zabawa miała im się nigdy nie znudzić. O ile to była zabawa, bo Maria prychała i gaworzyła obruszona za każdym razem, gdy lądował na ziemi, za to rzadko płakała. Tylko po swoim opieprzała psa na czym świat stoi.

– Cholera, dalibyście spokój – mruknął Michael zmęczony. Sięgnął pod leżak i wymacał brudną piłeczkę tenisową.

Pies stał okrakiem nad małą i lizał ją po twarzy, a ona się broniła. Michael gwizdnął i rzucił piłkę w najdalszy kraniec ogrodu. Pies pognał za nią i Michael mógł wrócić na strony ze sportem w otwartej gazecie.

Maria z kolei zniknęła w jednej ze swoich ulubionych kryjówek między krzakami jeżyn. Pies wrócił, Michael wyszarpnął mu piłkę z pyska i znowu rzucił.

– Nie przeszkadzam?

Michael podniósł wzrok.

– Jasne, że nie – zapewnił ją zaskoczony.

Nie widział Lene niemal od roku, ale wyglądała jak zwykle, tylko miała na sobie lekką jasną sukienkę.

– Masz na sobie sukienkę – stwierdził głupio. – Nie wiedziałem, że no-sisz takie rzeczy.

Zaczerwieniła się i wzruszyła ramionami.

Maria wystawiła głowę spomiędzy krzaków i oceniła sytuację. Po czym znów się schowała. Michael z trudem podniósł się z leżaka, wytarł psią ślinę w spodenki i z uśmiechem podał jej rękę.

– Cześć – powiedział cicho.

– Cześć.

Rzuciła okiem na dom.

– Co u Idy?

– Dobrze. Naprawdę świetnie. Wprowadziła się do swojego chłopaka, więc... zostaliśmy w domu we dwojkę. Albo trójkę, jeśli liczyć psa.

Ten przybiegł uradowany, wyhamował raptownie na widok obcego, wypuścił piłeczkę i podszedł do Lene, machając ogonem. Kucnęła i podrapała go za uchem.

– Ma jakieś imię?

– *Fuckoff*.

– Pytam poważnie. Jak się wabi? To by było bardzo nie w twoim stylu nie nadać mu imienia.

– Skipper – odburknął.

Pies położył się na plecach i zademonstrował pięknie wykształcone narządy płciowe.

Michael popatrzył w niebo.

– A co u Marii? To znaczy twojej córki?

– Skąd mam wiedzieć. Chyba okej. Lekarz jest zadowolony. Wczoraj znalazłem ją z na wpół zjedzoną dżdżownicą w ręce... Po tym, jak jej szukałem przez pół godziny.

– Więc wygląda na to, że dobrze jej tu.

– Tak.

Wpatrywała się w niego i już się domyślał, co teraz będzie.

– Jest parę rzeczy, których nie dokończyliśmy, kiedy rozpiętało się to piekło – zaczęła.

– Chodzi ci o papiery rozwodowe?

– Tak.

– Oczywiście. Możemy się tym zająć od razu – zapewnił ją. – Wejdziemy do środka? Młoda dama i tak powinna się udać na południową drzemkę, więc dobrze się składa.

Lene popatrzyła na psa, który nadal płał się w uwadze skupionej na sobie.

– Pomyślałam, że może powinniśmy z tym trochę poczekać. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko – zaproponowała.

Michael odwrócił się do niej zaskoczony.

– Dlaczego? Dlaczego mielibyśmy czekać? Czekać na co?

Lene przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Miała na sobie sandały – do kompletu z sukienką.

– Czy ty musisz absolutnie utrudniać to najbardziej, jak tylko się da? To jakieś twoje niepokonane pragnienie?

– W żadnym razie, ale dlaczego mi nie wyjaśnisz... Chyba że chodzi ci o...

– Tak, o to mi chodzi.

Michael na chwilę zagłębił się w estetycznym studium nad jej ustami, jej nosem, oczami, szyją. I wrócił wzrokiem na te usta, szerokie i zdradzające poczucie humoru. Tyle w niej było do oglądania.

– A co z twoją przyjaciółką?

– Nie będę ukrywać, że było to przyjemne doznanie i nie zamierzam się go wstydzić. Ale nie mam potrzeby go powtarzać.

Pies poderwał się z ziemi i przednimi łapami uderzył go w krocze.

Michael skulił się lekko.

– To świetnie, Lene. Zdecydowanie przyda mi się pomoc, codziennie mamy tu jakąś katastrofę.

– Romantyk z ciebie. Więc od czego mam zacząć?

– Wejdźmy do środka, pokażę ci grafik.

– Masz jakiś grafik?

– Oczywiście, że mam grafik.

Gdy ruszyli w stronę domu, Maria wyłoniła się spomiędzy krzaków i do nich dołączyła. Z powagą patrzyła w trawę, ale co jakiś czas zerkała na Lene.

Ta spojrzała w dół i się uśmiechnęła.

– Czy ona... No wiesz, wykazuje jakieś oznaki nienormalnie wielkiego talentu?

– Ani trochę. Ma udokumentowaną zdolność do przyciągania komarów i pszczoł, do zjadania ziemi i dżdżownic oraz picia wody z miski psa. Chyba uważa siebie za jakiś rodzaj psa. Tak sądzę.

Dziecko skierowało na Lene poważne oczy, a ona opuściła dłoń i złapała małą za rękę.

I weszli do domu.

Zaczynało zmierzchać, kiedy Michael ponownie wyszedł do ogrodu zapalić papierosa. Był w samym szlafroku. Uśmiechał się szeroko. Lene zademonstrowała dobrze rozwiniętą zdolność posługiwania się językiem niemowląt i Maria w uznaniu zasług obdarowała ją głową lalki.

Kiedy mała zasnęła, on i Lene się kochali. Nieporadnie i niezręcznie, ale namiętnie.

Pies wcisnął mu w tył kolana mokrą zimną kufę i Michael schylił się, żeby go poklepać.

W wieczornym świetle dostrzegł żółtą piłkę pod krzakami jeżyn. Podszedł tam i przyklęknął. Jeżyny zwisały ciężko i intensywnie pachniały latem. W cieniu pod krzakami panował chłód. Sięgając po piłkę, mimochodem spojrzął na ziemię. Między gałęziami rozciągała się idealna pajęczyna z nieruchomym pajakiem krzyżakiem w geometrycznym środku.

Maria de la Reyes Sander starannie oczyściła z liści i owadów kwadrat ziemi o boku długości mniej więcej trzydziestu centymetrów. Ziemia była

uklepana i wygładzona. Obok tego placyku leżała porzucona cienka gałązka.

Jego córka z dokładnością ryciny z podręcznika narysowała anatomicznie poprawny schemat pająka.